This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Princeton University Library
32101 063971392

VETVS & NOVVM TESTAMENTVM
DEI·SVB·NVMINE·VIGET
PRINCETON
UNIVERSITY
LIBRARY

63

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA
XX

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM XX

WYROK ZEUSA — Z WRAŻEŃ WŁOSKICH
ORGANISTA Z PONIKŁY — U ŹRÓDŁA
LUX IN TENEBRIS LUCET — BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA!
PÓJDŹMY ZA NIM! — LISTY O ZOLI

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

WYROK ZEUSA — Z WRAŻEŃ WŁOSKICH
ORGANISTA Z PONIKŁY — U ŹRÓDŁA
LUX IN TENEBRIS LUCET — BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA!
PÓJDŹMY ZA NIM — LISTY O ZOLI

WYDANIE TRZECIE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Февраля 1900 г.

WYROK ZEUSA

BAJKA GRECKA

(RECAP)
3048
.856
1891
V.20 no.1
561871

Raz, wieczorem, spotkali się na skałach Pnyksu Apollo i Hermes, i stanąwszy na krawędzi wiszaru, spoglądali na Ateny.

Wieczór był cudny; słońce przetoczyło się już z Archipelagu ku morzu Jońskiemu i zanurzało zwolna swą promienną głowę w turkusową, gładką roztocz. Ale szczyty Hymetu i Penteliku świeciły jeszcze, jakby oblane stopionem złotem, i prócz tego, na niebie była zorza wieczorna. W blaskach jej tonął cały Akropol. Białe marmury Propyleów, Partenonu i Erechtejonu wydawały się różowe i tak lekkie, jakby kamień stracił wszelką wagę, lub jakby były sennem zjawiskiem. Ostrze włóczni olbrzymiej Ateny Promachos spłonęło w zorzy, niby zapalona nad Attyką pochodnia.

Na niebie ważyło się na rozpostartych

skrzydłach kilka jastrzębi, które leciały na nocleg do gniazd ukrytych w skałach.

Ludzie wracali gromadami z robót polnych do miasta. Drogą do Pireu szły muły i osły, dźwigając zawieszone po bokach kosze, pełne oliwek lub złocistego winogradu; za nimi, w czerwonych obłokach kurzu, ciągnęły stada kóz krętorogich — przed każdem stadem kozieł białobrody, po bokach psy czujne, z tyłu pasterz, grający na multankach lub cienkiem źdźble owsianem.

Między stadami posuwały się zwolna wozy, wiozące boski jęczmień, ciągnione przez woły leniwe; tu i owdzie mijały się oddziały hoplitów, przybranych w miedź, dążących na nocną straż do Pireu lub Aten.

W dole miasto wrzało jeszcze życiem. U wielkiej fontanny, w pobliżu Poikile leżącej, młode dziewczęta, przybrane w białe szaty, czerpały wodę, śpiewając, chychocąc głośno, lub broniąc się chłopcom, którzy zarzucali na nie pęta, plecione z blu-

szczów lub winokrzewu. Inne, naczerpawszy już wody, z amforami, wspartemi na ramieniu, i ręką, wzniesioną do góry, szły do domów, lekkie i wdzięczne, do nimf nieśmiertelnych podobne.

Łagodny wietrzyk, z równiny attyckiej wiejący, donosił do uszu dwóch bogów odgłosy śmiechu, śpiewów i pocałunków.

»W dal godzący« Apollo, dla którego oczu nie było nic pod niebem milszego nad niewiastę, zwrócił się do Argoburcy i rzekł:

— O synu Mai, jakże piękne są Atenki!

— I cnotliwe, mój Promienisty — odpowiedział Hermes, — bo pod opieką Pallady zostają.

Srebrnołuki bóg umilkł i patrzał a słuchał dalej. Tymczasem zorze zwolna gasły, ruch stopniowo ustawał; niewolnicy scytyjscy zamknęli bramy, i wreszcie uczyniło się cicho. Noc ambrozyjska rzuciła ciemną, nabijaną gwiazdami zasłonę na Akropol, miasto i okolicę.

Lecz mrok nie trwał długo. Wkrótce

z Archipelagu wynurzyła się blada Selene i poczęła żeglować, jak srebrna łódź, po niebieskiem przestworzu. I znów rozświeciły się marmury na Akropolu, tylko świeciły teraz jasnozielonem światłem i były jeszcze do sennego zjawiska podobniejsze.

— Trzeba przyznać — rzekł »W dal godzący« — że Atene cudną sobie obrała siedzibę.

— Ha! mądra ona! Któż mógł lepiej od niej wybrać? — odpowiedział Hermes. — Przytem Zeus ma dziwną do niej słabość. Byle go tylko, prosząc o coś, pogłaskała po brodzie, zaraz nazwie ją swą Tritonegeją, córeczką kochaną, wszystko przyrzeknie i na wszystko skinieniem głowy pozwoli.

— Tritonegeja nudzi mnie czasem! — mruknął syn Latony.

— Zauważyłem to i ja, że ona staje się teraz nudna! — odpowiedział Hermes.

— Jak stary perypatetyk. A przytem i cnotliwa do obrzydliwości, zupełnie, jak moja siostra, Artemis.

— Albo, jak jej własne służki, Atenki.

Promienisty zwrócił się ku Argoburcy:

— Drugi raz już wspominasz, jakby naumyślnie o cnocie Atenek. Czy one naprawdę są takie niezłomne?

— Bajeczne, o synu Latony!

— Proszę! — rzekł Apollo. — A czy sądzisz, że jest w tem mieście choć jedna kobieta, którąby się oparła mnie?

— Myślę, że tak!

— Mnie, Apollinowi?

— Tobie, mój Promienisty!

— Mnie, który ją opętam poezyą, oczaruję pieśnią i muzyką?

— Tobie, mój Promienisty!

— Gdybyś był uczciwym bogiem, gotówbym pójść o zakład. Ale ty, Argoburco, jeśli przegrasz, ulotnisz się natychmiast razem ze swymi sandałami, z posochem, i tyle cię będę widział!

— Nie. Położę jedną rękę na ziemi, drugą na morzu i przysięgnę na Hades. Takiej przysięgi dotrzymuję nietylko ja, ale nawet członkowie magistratu w Atenach.

— No! to znów przesadzasz. Ale dobrze. Jeżeli przegrasz, musisz mi dostawić na Trinakię stado długorogich wołów, które ukradniesz, u kogo ci się podoba, tak, jak w swoim czasie, będąc jeszcze chłopięciem, ukradłeś moje stada na Pieryi.

— Zgoda. A co dostanę, jeśli wygram?

— Wybierz, co chcesz.

— Słuchaj mnie »W dal godzący«, będę z tobą szczery, co, jak wiesz, nie często mi się zdarza. Raz posłany przez Zeusa, nie pomnę już w jakiej sprawie, przelatywałem właśnie nad twoją Trinakią i ujrzałem Lampecyę, która wraz z Featuzą strzeże tam stad twoich. Od tej chwili nie mam spokoju. Lampecya nie schodzi mi z oczu, z pamięci, kocham ją i wzdycham do niej dniem i nocą. Jeżeli wygram, jeżeli znajdzie się w Atenach kobieta tak cnotliwa, że ci się oprze, dasz mi Lampecyę. Niczego więcej nie żądam.

Srebrnołuki począł kiwać głową.

— Że też miłość umie się zagnieździć nawet w sercu patrona kupców. Ale bar-

dzo chętnie. Dam ci Lampecyę, tem bardziej, że ona teraz nie może się pogodzić z Featuzą. Mówiąc nawiasem, obie są zakochane we mnie i dlatego się kłócą.

Radość wielka strzeliła z oczu Argoburcy.

— Więc zakład stoi — rzekł. — Jedno tylko: kobietę, na której chcesz popróbować swojej boskiej mocy, ja ci wybiorę.

— Byle była piękna!

— Będzie godna ciebie.

— Przyznaj się, żeś już jakąś upatrzył.

— Przyznaję.

— Dziewica, mężatka czy wdowa?

— Rozumie się, mężatka. Pannę czy wdowę mógłbyś sobie zjednać obietnicą małżeństwa.

— Jak jej na imię?

— Eryfika. Jest to żona piekarza.

— Piekarza? spytał, krzywiąc się Promienisty — to mi się mniej podoba.

— Cóż chcesz! ja w tych kołach najczęściej się obracam... Męża Eryfili niema obecnie w domu; pojechał do Megary. Ta

piekarzowa jest najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po matce ziemi.

— Ciekawym.

— Jeszcze jeden warunek, mój Srebrnoluki. Przyrzecz mi, że użyjesz tylko sposobów godnych ciebie i nie postąpisz w żadnym razie, jakby postąpił taki naprzykład gbur, jak Ares, lub nawet, mówiąc między nami, jak postępuje ojciec nasz wspólny, Chmurozbiórca.

— Za kogo mnie masz! — rzekł Apollo.

— Zatem wszystko umówione i mogę ci pokazać Eryfilę.

Powietrze zaraz zniosło obydwóch bogów z Pnyksu i po chwili zawiśli obaj nad jednym z domów opodal Stoa. Argoburca podniósł potężną dłonią cały wierzch domu, również łatwo, jak gospodyni, gotująca strawę, podnosi pokrywę garnka, i ukazując niewiastę siedzącą w zamkniętym od ulicy miedzianą kratą i wełnianą zasłoną sklepie, rzekł:

— Patrz!

Apollo spojrzał i skamieniał.

Nigdy Attyka, nigdy cała ziemia grecka nie wydała piękniejszego kwiatu nad tę niewiastę. Przy blasku potrójnego kaganka, siedziała pochylona nad stołem i zapisywała coś pilnie na marmurowych tabliczkach. Długie jej spuszczone rzęsy rzucały cień na policzki, chwilami jednak podnosiła głowę i oczy w górę, jakby namyślając się i przypominając sobie co jeszcze ma zapisać, a wówczas widać było jej cudne źrenice, tak błękitne, że przy nich turkusowa toń Archipelagu wydałaby się bladą i spłowiałą. Była to poprostu twarz Kiprydy, biała, jak piana morska, zaróżowiona, jak jutrzenka, o purpurowych jak syryjska purpura ustach i złocistej fali włosów — piękna, najpiękniejsza na ziemi — piękna jak kwiat, jak światło, jak pieśń!

Gdy spuszczała oczy, wydawała się cichą i słodką, gdy je podnosiła w zamyśleniu — natchnioną. Pod Promienistym poczęły drżeć boskie łydki, nagle wsparł głowę na ramieniu Hermesa i szepnął:

— Hermesie, ja ją kocham! Ta, albo żadna!

Hermes uśmiechnął się chytrze i byłby zatarł z radości ręce pod fałdami chleny, gdyby nie to, że w prawicy trzymał posoch.

Tymczasem złotowłosa wzięła nową tabliczkę i poczęła na niej pisać. Rozchyliły się przytem jej boskie usta i zaszemrał jej głos, do głosu formingi podobny:

— ...Członek Areopagu Melanokles za chleb przez dwa miesiące: drachm czterdzieści pięć i cztery obole... napiszmy dla okrągłości drachm czterdzieści sześć... Na Atenę! napiszmy pięćdziesiąt — mąż będzie kontent. Ach ten Melanokles... Gdybyś ty nie mógł przyczepić się do nas o fałszywą wagę, dałabym ja ci kredyt... Ale z tą szarańczą trzeba być dobrze...

Apollo słów nie słuchał, poił się tylko dźwiękiem głosu, urokiem postaci i szeptał:

— Ta albo żadna!

Złotowłosa mówiła, pisząc dalej:

— Alcybiades, za przaśne placki na miodzie z Hymenu dla hetery Chryzalis: min

trzy. Ten nigdy nie sprawdza rachunków, przytem poklepał mnie raz na Stoa po łopatce... napiszmy więc: min cztery. Kiedy głupi, niech płaci... Ale też i ta Chryzalis!... Chyba karmi plackami swoje karpie w sadzawce, albo może Alcybiades umyślnie ją tuczy, by ją potem sprzedać kupcom fenickim za kółka z kości słoniowej do uprzęży.

Apollo na słowa nie zważał — poił się tylko głosem i szeptał do Hermesa:

— Ta albo żadna!

Lecz syn Mai nakrył nagle dom, i cudne zjawisko znikło, a Promienistemu zdawało się, że razem z niem nikną gwiazdy, czernieje księżyc i świat cały przesłania się ciemnością krain kimeryjskich.

— Kiedy się zakład ma rozstrzygnąć? — spytał Hermes.

— Dziś, natychmiast!

— Ona pod niebytność męża sypia w sklepie. Możesz tam stanąć na ulicy, przed tą kratą. Jeśli odsunie zasłonę i kratę ci otworzy, ja zakład przegrałem.

— Przegrałeś! — zawołał »W dal godzący«.

I nie tak szybko letnia błyskawica przebiega nocą między wschodem a zachodem, jak on pomknął nad słone fale Archipelagu. Tam uprosiwszy Amfitrytę o pustą skorupę żółwia, nawiązał na niej promieni słonecznych i z gotową formingą powrócił do Aten.

W mieście było już zupełnie cicho, światła pogasły, tylko domy i świątynie bielały w blasku księżyca, który wysoko wypłynął na niebo.

Sklep leżał w załamaniu murów, a w nim, za kratą i zasłoną spała prześliczna Eryfila. Promienisty, stanąwszy na ulicy, począł uderzać w struny formingi. Pragnąc obudzić lekko swą ukochaną, zagrał z początku tak cicho, jak cicho wieczorem wiosennym brzęczą roje komarów nad Illisem. Lecz pieśń wzbierała stopniowo, niby górski strumień po boskim deszczu i coraz potężniejsza, słodsza, bardziej upajająca, napełniła całe powietrze, które poczęło drżeć

lubieżnie. Tajemniczy ptak Ateny przyleciał cichym lotem od strony Akropolu i siadł na poblizkiej kolumnie nieruchomy.

Wtem nagie ramię, godne Fidyasza lub Praksytela, bielsze od pentelickich marmurów, odsunęło zasłonę... W Promienistym zamarło serce ze wzruszenia.

I rozległ się głos Eryfili:

— Co tam za chłystek włóczy się po nocy i brzdąka! Niedość się człowiek w dzień napracuje, jeszcze mu w nocy spać nie dadzą!

— Eryfilo! Eryfilo! — zawołał Srebrnołuki.

I począł śpiewać:

Z Parnasu wyniosłych szczytów,
Gdzie w blasku i wśród błękitów
Natchnione muzy koleją
Natchnione pieśni mi pieją:
Ja bóg! ja światłość uczczona,
Spływam!... Ty otwórz ramiona,
A wieczność będzie mi chwilą
Na piersi twej, Eryfilo!...

. . . . . .

. . . . . .

— Na świętą mąkę ofiarną! — zawołała żona piekarza: — ten urwis do mnie śpiewa i mnie tu chce zbałamucić!... A nie pójdzieszże ty do domu, utrapieńcze?!

Promienisty, chcąc ją przekonać, że nie jest zwykłym śmiertelnikiem, zaświecił nagle tak, że od jego blasku zajaśniała ziemia i powietrze — lecz Eryfila widząc to zawołała:

— Schował nicpoń latarkę pod chleną i za jakiegoś boga mi się tu podaje. O, córko możnego Diosa! podatkami umieją nas cisnąć, a niema na to nawet straży scytyjskiej w mieście *), by takich wartogłowów do kozy brała.

Apollo nie dał za wygraną i śpiewał dalej:

— Ach, otwórz ramiona białe,
Ja ci wieczystą dam chwałę...
Nad wszystkie w niebie boginie,
Imię twe w świecie zasłynie —

*) Do czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem w mieście używani byli w Atenach niewolnicy scytyjscy.

Ja nieśmiertelność dam tobie,
Ja cię tak, piękna, ozdobię
Potęgą boskiego słowa,
Że żadna w Grecyi królowa
Nie będzie tak uwielbiona!

. . . . . .

Ach otwórz, otwórz ramiona!...

. . . . . .

Z błękitów obedrę morze,
Z purpury i złota zorze,
Z skier gwiazdy, a z rosy kwiaty,
I z tej świetlistej tkaniny
Uczynię dla mej jedynej
Tęczowe Kiprydy szaty...

I głos boga poezyi brzmiał tak cudnie, że cud wywołał. Oto wśród ambrozyjskiej nocy zadrgała złocista włócznia w ręku stojącej na Akropolu Ateny, i marmurowa głowa olbrzymiego posągu zwróciła się nieco ku Katapolis, by lepiej słuchać słów pieśni... Słuchały niebo i ziemia; morze przestało szumieć i legło ciche przy brzegach; nawet blada Selene przerwała swą nocną po niebie wędrówkę i stanęła nad Atenami nieruchoma.

A gdy Apollo skończył, wstał lekki wiatr i niósł pieśń przez całą Grecyę, gdziekolwiek zaś zasłyszało choć jeden jej ton dziecko w kolebce, tam z tego dziecka miał wyrosnąć poeta.

Lecz nim jeszcze syn Latony skończył, gniewna Eryfila poczęła krzyczeć głośno:

— Głupiec jakiś! rosą tu będzie kupczył i gwiazdami. Że męża w domu niema, to myślisz, że wszystko ci wolno? Hej, szkoda, że czeladzi nie mam pod ręką, nauczyłabym ja cię rozumu! Ale i tak oduczę cię, mydłku, włóczyć się po nocy z bałabajką!

To rzekłszy, porwała za dzieżę z kwasem rozczynowym, i chlusnąwszy przez kratę, oblała Promienistemu promienistą twarz, promienisty kark, promienistą chlenę i formingę. Jęknął na to Apollo, i zakrywszy swą natchnioną głowę połą mokrej chleny, odszedł we wstydzie i złości.

A czekający na Pnyksie Hermes brał się za boki, stawał na głowie i wywijał z radości posochem.

Gdy jednak strapiony syn Latony zbli-

żył się ku niemu, chytry opiekun handlarzy udał współczucie i rzekł:

— Przykro mi, żeś przegrał, o »W dal godzący!«

— Idźże precz, francie! — odrzekł z gniewem Apollo.

— Pójdę, tylko mi oddasz Lampecyę.

— Bogdaj ci Cerber łydki poszarpał. Nie dam Lampecyi i mówię: idź precz! bo ci twój posoch na głowie połamię.

Argoburca wiedział, że gdy Apollo zły, to niema z nim żartów, więc odsunął się przezornie i rzekł:

— Jeśli mnie chcesz oszukać, to bądźże ty nadal Hermesem, a ja zostanę Apollinem. Wiem, że nade mną potęgą górujesz i że skrzywdzić mnie możesz; ale na szczęście jest ktoś od ciebie mocniejszy, i ten nas rozsądzi. Wzywam cię, Promienisty, na sąd Kronidą!... Chodź ze mną!

Zląkł się imienia Kronida Apollo, nie śmiał odmówić, i poszli.

A tymczasem zaczęło świtać. Attyka wy-

chyliła się z cienia. Różanopalca jutrzenka weszła na niebo od strony Archipelagu.

Zeus spędził noc na szczycie Idy — a czy spał, czy nie spał i co tam robił, nikt tego nie wiedział, bo Mgłonośca osłonił się mgłą tak gęstą, że nawet Hera nic przez nią dostrzedz nie mogła. Hermes drżał trochę, zbliżając się do ojca bogów i ludzi.

— Słuszność po mojej stronie — myślał, — lecz nuż Zeus zbudził się gniewny, nuż nim wysłucha, porwie każdego za nogę, zakręci nad głową i ciśnie na jakie trzysta staj ateńskich. Jeszcze na Apollina ma on wzgląd jakiś, ale ze mną, choć synem jego jestem, nie będzie robił ceremonii.

Lecz płonna była obawa syna Mai. Kronid siedział na ziemi wesół, bo mu noc zeszła wesoło, i w chwale radosnej ogarniał świecącemi oczyma krąg ziemski. Ziemia, uradowana ciężarem ojca bogów i ludzi, rodziła pod nim jasną majową trawkę i młode hiacynty, a on, wspierając się o nią dłońmi, przebierał palcami w kędzierza-

wem kwieciu i cieszył się w sercu wyniosłem.

Widząc to, syn Mai ochłonął, i oddawszy pokłon rodzicielowi, śmiało zaczął Promienistego oskarżać — a nie tak gęsto padają płatki śnieżne w czasie zadymki, jak gęsto padały jego słowa wymowne.

Gdy skończył, Zeus milczał przez chwilę, a potem ozwał się do Apollina:

— Prawdaż to wszystko, Promienisty?

— Prawda, ojcze Kronidzie — odrzekł Apollo, — ale jeśli po hańbie, jaka mnie spotkała, jeszcze mi zakład płacić każesz, tedy zstąpię do Hadu i cieniom będę świecił.

Zeus zamyślił się znowu i rozważał.

— Więc ta kobieta — spytał nakoniec — pozostała głuchą na twoją muzykę, na twoją pieśń i odtrąciła cię ze wzgardą?

— Wylała mi dzieżę kwasu na głowę, o Gromowładny!

Zeus zmarszczył brwi, a od tego zmarszczenia zadrżała zaraz Ida. Odłamy skał zaczęły się toczyć z hukiem w morze, a lasy pokładły się, jak kłosy, które wiatr żenie.

Struchleli obaj bogowie i z bijącemi sercami czekali wyroku.

— Hermesie — rzekł Zeus, — oszukuj, ile chcesz, ludzi, ludzie chcą być oszukani. Ale bogom daj pokój, albowiem jeżeli gniewem zapłonę i rzucę cię w eter, to spadłszy, zanurzysz się tak głęboko w toni oceanu, że nawet brat mój Pozejdon, nie wydobędzie cię stamtąd trójzębem.

Boski strach chwycił Hermesa za gładkie kolana, Zeus zaś mówił dalej coraz potężniejszym głosem:

— »Kobieta cnotliwa, zwłaszcza gdy kocha innego, może się oprzeć Apollinowi...

...Ale z pewnością i zawsze oprze mu się kobieta głupia...

...Eryfila jest głupia, nie cnotliwa, i dlatego mu się oparła...

...Przetoś ty oszukał Promienistego... i Lampecyi mieć nie będziesz... A teraz, idźcie w spokoju!«

. . . . . .

Bogowie odeszli.

Zeus został sam w swej chwale rado-

snej. Przez chwilę patrzał milcząc w ślad za odchodzącym Apollinem i mruknął z cicha:

— O tak! Jemu potrafi się oprzeć kobieta głupia.

I zaraz potem, ponieważ był niewywczasowan bardzo, skinął na Sen, który siedząc na poblizkiem drzewie w postaci krogulca czekał na rozkazy ojca bogów i ludzi.

Z WRAŻEŃ WŁOSKICH

NERVI

Może być w każdym opisie rzeczy i krajów, choćby najbardziej znanych i omówionych, coś takiego, czego nie było w poprzednich, mianowicie: nowy i odmienny stosunek oczu i osobistej duszy do otaczającego świata. Każdy, kto był we Włoszech, niechybnie zostawił w nich część duszy, każdy natomiast ma w sobie ich widzenie, jakby swoją osobistą Italię, i tem się tłómaczy zjawisko, dlaczego, mimo dzieł naukowych, wyczerpujących, mimo artystycznych opisów, kreślonych przez genialne pióra, powstają ciągle nowe opisy, nowe szkice, nowe wspomnienia.

Niech to tłómaczy i te moje, których zażądaliście ode mnie, a które powstają między jednym a drugim rozdziałem «Połanieckich», trochę dla rozerwania myśli, trochę dla wy-

poczynku, trochę dla rozproszenia tego smutku, którym napełnia się świerkowy las zakopiański w dni długie, a szare i dżdżyste.

Dziwnie, raz w życiu, spotkałem się ze słynnym poetą czeskim, Vrchlickim. Było to w późną noc, na praskim Przykopie, przy księżycu. Zamieniliśmy kilkanaście słów, rozeszli się i nie zetknęli więcej. Lecz w rok lub we dwa później, doszedł mnie tom poezyi Vrchlickiego, w których znalazłem echo tego spotkania: «Tyś jest jak obłok — mówi do mnie Vrchlicki — który wiatr nosi po szerokim świecie, a ja, jak czeska chata, patrząca okienkami na zawsze jednaki widnokrąg». — I rzeczywiście, odmienne są nasze losy: istotnie jestem, jak obłok, który wiatr nosi, czasem aż do umęczenia. Ostatnim razem przepędził mnie nad Włochami — więc, co można było ujrzeć i spamiętać w przelocie — to wam posyłam — na żądanie.

Zatem trochę mórz, widzianych w blasku słonecznym, lub w zorzach, i nieco żagli rybackich, i dużo słońca, i dużo cie-

nia z oliwnych ogrojców, i kilka okruchów z grobowców, widzianych na różnych *„campo santo“* — i nieco wrażeń rzymskich — i nic więcej. Jeśli to wszystko rozjaśni wasze kartki, tem lepiej dla was i dla mnie.

O Nervi ledwie kto u nas słyszał. Pegli, San-Remo, Mentona, Monte-Carlo i Nizza, leżące z tamtej strony Genui, przed i za pograniczną Ventimiglią, roją się od chorych, ratujących resztki zdrowia, i od hulaków, tracących resztki mienia — tu jeszcze niewiele osób przyjeżdża: najwięcej Niemców i trocha Anglików. A jednak przyjazd tu łatwy. Ledwie kilka małych stacyi, nawet bez innych nazw, prócz cyfr porządkowych, dzieli Nervi od Genui. Po półgodzinnej jeździe w wagonie, jest się na miejscu, a droga, choć tak krótka, daje już pojęcie o tej Rivierze «di Levante», która, ogólnie biorąc, może z tamtą «di Ponente» iść śmiało w zawody.

Lecz lepiej jeszcze jest jechać z Genui powozem. Więcej się widzi, a strata czasu niewiele większa. Wprawdzie w początku następuje nieco rozczarowania. Chciałoby się prędko wyjechać z miasta, zobaczyć szerszą przestrzeń i morze, a tu pospolita ulica genueńska ciągnie się i ciągnie; wysokie domy, zakrywające morze, zdają się przedłużać bez końca. Sklepy, jak zwykle na krańcach miasta, nędzne, ludność szara, portowa, bez wybitnego typu. Tu i owdzie trochę bielizny i kolorowych szmat na sznurach; w przerwach ulicy puste i zapylone place, tu rusztowania nowo wznoszonych kamienic, tam szopy drewniane niewiadomego przeznaczenia — i znów szeregi domów z wązkim pasem nieba u góry, — oto co się widzi przy wyjeździe.

Lecz zwolna bruk uliczny zmienia się w zbitą, pełną kurzawy drogę, po której zaprzężone w jeden za drugim muły ciągną przy odgłosie dzwonków i biczów ciężkie dwukolne wozy; domy przerywają się, rzedną, widnokrąg się rozszerza. Po bokach

widać, zamiast kamienic stare mury za zrębem, przybranym w kaktusy, w bluszcz, w powoje, w winograd lub przypołudniki*), których trójgraniaste liście, zwieszone w pękach na zewnątrz, wydają się jakby wielkie grona, przetykane żółtem, albo liliowem kwieciem.

Po chwili widnokrąg jeszcze szerszy. Wszędy pełno murów i tarasów. Na stokach wzgórz, wśród czerni cyprysów, wśród palm, podobnych do strusich piór, lub wśród pinii, bieleją wille; na trawnikach przed niemi grają fontanny. Na dalszych wzgórzach domy i domy, poprzyczepiane wszędzie, ponalepiane, jak gniazda mew, lub jaskółek, pojedyńczo, lub po kilkanaście razem. Gdzieniegdzie świeci odrapana chata wiejska, pomalowana czerwono lub różowo, z nieodłączną bielizną i chustkami na sznurze, które porusza wiatr, ale które tu już grają w słońcu. I znów mur, przez który kipi zieloność, znów winograd, gaje cytryn,

*) Mesenbrianthemum.

pomarańcz, szare i srebrne oliwniki, pinie, rzucone zuchwale ze szczytów urwisk w błękit, jakby ręką biegłego artysty, jabłonie pokryte kwieciem, jak śniegiem, różowe migdały, brzoskwinie i wszędy powódź laurów.

Wpoprzek drogi suche łożyska potoków, zasypane żwirem, wąwozy, przez które ciągnie wiatr, pachnący morzem, mosty, nasypy, czarne otwory tunelów lub olbrzymie łuki wiaduktów, po których przelatują ze świstem i chmurą dymu pociągi. Kraj zgiełkowy, rojny, jakby nadto zastawiony, wyglądający, jak przeładowana sprzętami izba — i przez to ciasny. Ma się wrażenie, że tu wszystkiego za dużo, i oczy, przywykłe do jednostajnych płaszczyzn i jednostajnych barw w krajobrazie i do wielkich głębin powietrznych, tęsknią mimowoli do czegoś, na czemby się mogły oprzeć i w czemby się mogły zatopić najdłużej. Wydaje się bowiem, że niema tu jakiejś nuty ogólnej, w której zlewają się rozdźwięki, że tu jest jakiś niepokój, że nic nie może ukoić się i usnąć, jak naprzykład śpi czasem w ja-

sne południowe godziny las sosnowy — i wreszcie, że ten kraj niema duszy poważnej i zamyślonej.

Lecz to są pierwsze wrażenia. Mijamy Bisagno i szereg przylądków, tworzących po prawej stronie drogi jakby wspiętą falę kamienną, która zasłania dalszy widok — i oto Sturla. Znów koła powozowe turkocą po kamiennych płytach i wysokie domy zwierają się w wązką uliczkę. Ale trwa to krótko. Sturla urywa się nagle i otwiera się widok na morze.

Droga idzie szczytem wyniosłego wiszaru, u którego stóp pieni się fala. Zdaje ci się teraz, że oddychasz swobodniej i szerzej, i że ktoś przebił olbrzymie okno w krajobrazie na przestrzeń, na powietrze, na spokój i jasność toni błękitnej, równej, nieskończonej. Przeładowany mnogością przedmiotów i skrępowany ciasnotą widnokręgu, wzrok był jakby ptak, zamknięty w klatce — teraz może lecieć, jak mewa między wodą a niebem, póki mu siły stanie.

A przytem morze ma i powagę, i zamy-

ślenie — dziwne zarazem słoneczne i błękitne. Przed chwilą jeszcze zdawało się nam, że kraj ten nie zdoła nigdy zasnąć, a teraz gdy wiatr cichnie, morze śpi pod stopami wiszaru, ciche, jednostajne, ogromne, przykryte blaskiem, który, drgając jaskrawo na topieli wydaje się jej snem.

Od Sturli traci się morze tylko chwilami z oczu, wówczas, gdy je przysłonią albo urwiska Quarto, palmy i pinie Quinto, albo wreszcie domy Nervi. Ciągną się tu te domy, jak i w innych nadbrzeżnych miasteczkach, podwójnym szeregiem, tworząc jedną, na kilka kilometrów długą, ulicę. Lecz Nervi jest większe i okazalsze od poprzedniej Sturli lub następnego Recco. Lepiej osłonione od innych miejscowości stokami góry Giugo, wybrane zostało na stacyę klimatyczną, napływ cudzoziemców ożywił ruch handlowy i dał większe widoki zarobku, skutkiem czego i ludność nagromadziła się liczniej. Słodycz klimatu Nervi musiała zresztą już dawniej zwrócić na siebie uwagę, skoro możne rodziny genueń-

skie rade budowały tu wille i domy letnie. Wszystkie te wille leżą od strony morza i spływają ku niemu cienistą i kolorową rzeką palm, pinii, eukaliptusów, cyprysów, pomarańcz, cytryn, bzów i róż. Między ogrodami są wązkie uliczki, dające przystęp do brzegu. Boczne ich ściany stanowią mury ogrodowe; gałęzie rozmaitych drzew, wystając z jednej i drugiej strony i łącząc się z sobą w wielu miejscach nad ulicką, tworzą nad nią jakby rodzaj sklepienia. Słońce też nie oświeca prawie nigdy tych przejść, w których panuje wieczny cień, chłód i wilgoć, i z których wychodzi się na pełne światło morskiego brzegu, jakby się wyszło z ciemnego klasztornego korytarza.

Niektóre wille, jak Gropallo, Serra lub Croce, ukryte wśród starych pinii, pełne pogody i wdzięku w liniach, z bramami, na których ubiegłe lata wycisnęły już piętno, podnoszą włoski charakter miasteczka i przywodzą na myśl patrycyuszowską przeszłość genueńską razem ze wspomnieniami

dawnej potęgi, dawnego bogactwa, artyzmu i sławy. Inne, nowe, jak willa Ponzone, odbijając niepokojem stylu nowożytny niepokój i eklektyzm, psują ogólną harmonię i rażą kształtami, godnymi pagody, wykwintne uczucia oczu i dusz wybranych. Lecz i tu natura naprawia błędy człowieka. Bujne eukaliptusy, strzelają w górę, nakształt gotyckich wieżyczek, zasłaniają nieład architektonicznych linii, a za lat kilka zasłonią go zupełnie. U spodu budynku srebrzą się oliwki, złocą pomarańcze i płyną potoki kamelii, białych, czerwonych, różowych, podobnych do stad barwnych motyli, lub do kolorowych gwiazd, ponabijanych w ciemną zieleń.

Willa Ponzone ma i tę zasługę, że otwierając swoje bramy dla gości leżącego naprzeciw hotelu Eden, ułatwia im przystęp do morza. Za tylnymi murami ogrodów jest tu wysoka krawędź skalista, na której urządzono miejsce przechadzki dla gości. Morze leży o kilkanaście metrów niżej od tej krawędzi. Wiatr dochodzi do niej z trudnością,

bo wysokie mury bronią przystępu, kurz nigdy, bo od ulicy dzieli ją cała szerokość ogrodów. Za to słońce świeci tu i grzeje od rana do wieczora. Miejsce jest wązkie, ale ciepłe i zaciszne. Z tyłu mur, z przodu morze, dzikie rzuty skał, wbiegające w toń, tu i owdzie schodki, powykuwane w skale, wiodące na dół; domek celniczy, wieża willi Gropallo, w której niegdyś strażowano od rozbójników morskich, na północ zarysy Riviery «di Ponente», zakryte mgłą siną i różową, z drugiej strony Recco, błyszczące w świetle, i morze — oto wszystko, co stąd można zobaczyć.

Wszystko to jednak takie jest włoskie, takie pobrzeżne i morskie, takie skąpane w świetle i błękicie, że oczu od tego oderwać trudno. Tu też skupia się życie Nervi; tu przesiadują przejezdni i chorzy; tu, w szerszych miejscach, rozkładają przekupnie swoje stragany, napełnione «tartarugą», wyrobami z małżowin i z oliwnego drzewa, koralami i delikatnymi filigranami ze srebra. Na innych sprzedają jedwabie,

lub wielkie chusty z perkalu, malowane w kwiaty i drzewa. Bose dziewczątka o rozczochranych czuprynach i czarnych oczach, częstują cudzoziemców gałązkami bzu, pęczkami fiołków, konwalii, lub anemonów. Z dołu zapraszają do łodzi rybacy. Niektórzy goście snują się u stóp krawędzi po głazach. Czasem z Genui przyjeżdżają nowo zaślubione pary i, siadłszy zdala od ludzi, ze wspartemi o siebie głowami, topią oczy w bezmiarach morskich, czyniąc na resztę życia zapas wspomnień świetlanych i błękitnych. A morze szumi im i przybiega łagodnie aż do ich nóg. Ostatecznie morze jest duszą Nervi — i nie wille, nie ogrody, nie palmy, nie gaje kwitnących cytryn, ani tęcza róż i kamelii — tylko ono stanowi największy jego urok. A nie we wszystkich miejscowościach, zwłaszcza nie wszędzie na Rivierze «di Ponente»; jest tak samo. W Pegli, w San-Remo, w Mentonie, w Monte-Carlo, Nizzy i Cannes, niema takiego skupienia się wyłącznie w morzu. Tam ciągnie człowieka za drugą rękę życie, jego prze-

pych, jego zabawy; tu, gdy oddzielą cię od miasta te wysokie mury, spieczone słońcem, gdy znajdziesz się na owym wązkim zrębie skalistym — pozostaje ci tylko morze i nic więcej. Ma się uczucie, jakby się było gdzieś na pełni, daleko od świata, wśród ogromów i na woli bożej. To też kto tu przyjdzie, brata się z morzem, uczy mu się oddawać, kochać je i nie potrafi związanych z niem wrażeń zapomnieć.

Bo godzi ono w sobie dwie cechy, na pozór sprzeczne. Jest wiecznie jednakie i wiecznie zmienne, więc i uspokaja nas i, zamiast nużyć, ożywia. Kto wie, czy dla głębszej duszy ludzkiej spokój w różnorodności nie jest czemś blizkiem szczęścia. Przesiadywałem w Nervi nad morzem po dniach całych, czułem wyraźnie, że wszystkie widoki, którem miał przed oczyma, więc czy to poranne, czy południowe, czy to wieczorne, mają jakąś jedną wspólną duszę, a jednak ani dwóch widoków, ani dwóch chwil nie widziałem podobnych.

Rankiem toń jest rzeźwa, przeźroczysta,

kryształowa i bardziej, niż w innych porach, ruchoma, jakby wypoczęta po śnie. Po małych ostojach rybacy ładują łodzie, które mają wyruszać na pełnię; nad nimi kręcą się stada mew. Słońce wznosząc się z za Giugo, rzuca coraz większe masy światła na oddalenie, podczas gdy bliżej, gdzie skośny promień słońca nie odrazu dochodzi, morze jest całe w pasy, szlaki, tak, jak gdyby mroki morskie, podobne do porozciąganych po wodzie welonów, nim je słońce ostatecznie zedrze, zaczepiały się jeszcze o fale. Po tych szlakach wędrują ku światłu białe żagle. Woda u brzegu ruchoma, w dali jest tak gładka, że odbijają się w niej nietylko żagle, ale i kolorowe boki łodzi.

Lecz w miarę, jak słońce się wznosi, owe ciemniejsze szlaki rozpraszają się, giną, i morze przybiera aż do krańców jednostajną modrą barwę, nad którą wznosi się nieco bledszy, wydęty błękit nieba. W oddali widać wielkie parowce, idące z Genui, gdzieś ku Afryce. Żagle rybackie z Nervi

i Recco zmieniają się w plamki świetliste, które w miarę odległości, błękitnieją i zacierają się coraz bardziej.

W południe, jeśli wiatr napędzi chmur z za Giugo, po morzu włóczą się cienie, jakby złe albo posępne myśli. Jeśli pogoda się utrwali, a słońce pocznie dopiekać, fala staje się ociężałą, senną, a zarazem migotliwą. Wówczas to następuje chwila takiego pół-snu, pół-zamyślenia, o jakiej wspomniałem poprzednio. Zrąb skalny wyludnia się, cisza ogarnia wody, małe ostoje, i na całem wybrzeżu panuje południowe milczenie.

Lecz nic nie może porównać się z zachodami słońca w dni pogodne. Podobnej gry zórz nie widziałem nigdzie — tem bardziej zaś pod zwrotnikami, bo tam noc przychodzi nagle. Raz w taki dzień wyjechałem do kościołka w San-Ilario, położonego w połowie góry Giuga. Morze, jakkolwiek odległe stamtąd o kilka kilometrów, wydaje się z powodu pochyłości bardzo blizkiem. Stanąwszy na małym tarasie przy kościółku, obejmowałem oczyma widnokrąg

od Alp nadmorskich Riviery «di Ponente» aż do Portofino w drugą stronę. Nie było żadnego wiatru; cienkie gałęzie i liście oliwek zwieszały się nieruchomo. Wszędy wieczorny spokój. Tylko w kościółku dzwoniono na «nieszpór» i przez otwarte drzwi dochodziły głosy dzieci, śpiewające *Ave Maria*. Głosy te i dźwięk dzwonu rozbrzmiewały zarazem słodko i silnie i zdawały się lecieć z tej góry ku miasteczku i morzu, jak na skrzydłach. Ale po niejakim czasie, dzieci, skończywszy śpiewać, zaroiły się hałaśliwie przez chwilę na terasie i znikły. Słońce zniżało się coraz bardziej, a wreszcie zanurzyło się w płomienistej wodzie. I z chwilą, gdy zaszło zupełnie, poczęły się odbywać jakby czary. Na niebie i morzu potworzyły się złote, różane i złoto-zielone smugi, tąsmy, frendzle, jakby drogi i jakieś gościńce, którymi wędrowały fantastyczne okręty z ognia ku gmachom z tęczy, opalów, szmaragdów i chryzolitu. Fiolety, róże, purpura, złoto, wszystkie możliwe barwy, wszystkie blaski bengalskich ogni,

drogich kamieni i pawich piór grały na niebie i wodzie. Potem jeden purpurowy ton wzmógł się nad inne, ogarniał je, przesłaniał, topił. Wreszcie i sam począł blednąć, omdlewać i zwolna zmieniać się w ton liliowy, i w coraz liliowszy, coraz bardziej nieuchwytny, mistyczny, doskonalszy, niemal nadziemski.

Stałem i patrzałem. Nie było teraz już widać ni morza, ni nieba, ni tej granicy, gdzie woda styka się z widnokręgiem — nie było widać nic, tylko jedną liliową nirwanę, łagodną, spokojną i kojącą jakiemś zaświatowem ukojeniem.

A potem przyszła noc!

Lecz noc nie usypia wspomnień, i kto taką liliową symfonię raz widział, tego pamięć wróci nieraz do niej — i dusza wróci.

ORGANISTA Z PONIKŁY

Śnieg był suchy, skrzypiący i niezbyt głęboki, a Kleń miał długie nogi, szedł więc raźno drogą z Zagrabia do Ponikły. Szedł tem raźniej, że zbierało się na mróz dobry, on zaś ubrany był kuso: w krótki surdut, jeszcze krótszy na wierzchu kożuszek, w czarne kortowe spodenki i w cienkie łatane buty. Prócz tego, w ręku miał obój, na głowie podszyty wiatrem kapelusz, w żołądku parę kieliszków araku, w sercu radość, a w duszy walne do tej radości powody. Oto dziś rano podpisał z kanonikiem Krajewskim kontrakt, jako przyszły organista Ponikły. On, który dotąd włóczył się, bywało, jak jaki Cygańczuk, z karczmy do karczmy, z wesela na wesele, z jarmarku na jarmark, z odpustu na odpust, szukając zarobku na oboju albo na orga-

nach, na których zresztą grał lepiej od wszystkich okolicznych organistów, miał się teraz nareszcie ustalić, osiąść w Ponikle i zacząć stateczne życie pod własnym dachem. Dom, ogród, sto pięćdziesiąt rubli rocznie, inne przy okazyi zarobki, powaga osoby, jakby nawpół duchownej, zajęcie na chwałę Bożą, któż tego nie uszanuje? Niedawno jeszcze pierwszy lepszy Maciek w Zagrabiu lub w Ponikle, byle siedział na kilku morgach, miał pana Klenia za hetkę pętelkę — teraz będą mu ludzie czapkowali. Organista — i jeszcze w takiej ogromnej parafii — toż to nie wiechetek słomy! Dawno już Kleń wzdychał do tej posady, ale póki stary Mielnicki żył, nie było o czem myśleć. Palce staremu sztywniały, i licho grał, ale kanonik nie byłby go za nic odprawił, bo przeżyli z sobą dwadzieścia lat.

Lecz gdy starego uderzyła »Łysa« kanonika tak szkodliwie w dołek, że w trzy dni zmarł, nie wahał się pan Kleń prosić księdza o posadę, a kanonik nie wahał mu się jej dać, bo lepszego organisty nie mógłby

i w mieście znaleźć. Skąd się w Kleniu wzięła taka »sprytność« do oboja, do organów i do różnych instrumentów, na których się rozumiał, trudno było wiedzieć. Nie wziął tego po ojcu, bo ojciec, który pochodził z Zagrabia, sługiwał za młodu w wojsku, ale nie w muzyce, na starość sznury z konopi kręcił i grywał tylko na fajce, która mu wiecznie w wąsach tkwiła.

A młody od dziecka nasłuchywał tylko, gdzie grają. Wyrostkiem jeszcze chodził »kalikować« Mielnickiemu do Ponikły, który widząc w nim taką ochotę, pokazywał mu na organach. I po trzech latach Kleń lepiej grywał od Mielnickiego. Potem, gdy raz przyszli do Zagrabia jacyś muzykanci, uciekł z nimi. Włóczył się z tą kompanią całe lata, Bóg wie gdzie, grywał pewno, gdzie popadło: na jarmarkach, weselach i po kościołach; dopiero, gdy towarzysze rozproszyli się albo pomarli, wrócił do Zagrabia, ubogi, jak mysz kościelna, wychudły — i żyjąc, jak ptak na gałęzi, grywał dalej, czasem ludziom, czasem Bogu.

I choć ludzie zarzucali mu »niestatek«, stał się sławny. Mawiano o nim w Zagrabiu i w Ponikle: »Kleń, jak to Kleń! Ale jak weźmie grać, to i Panu Bogu nie markotno i człowieka aż zamgli!« Inni zaś pytali: »Bój się Boga, panie Kleń, jakie to w panu licho siedzi?« I rzeczywiście siedziało jakieś licho w tym chudzielcu o długich nogach. Za życia jeszcze Mielnickiego, zastępując go w dni wielkich świąt i odpustów, czasem zapamiętywał się całkiem przy organach. Zdarzało się to zwłaszcza przy połowie sumy, gdy ludzie rozmodlili się już w kościele, gdy kadzidła rozeszły się na całą nawę, gdy rozśpiewało się wszystko, co żyło, gdy sam Kleń się rozegrał, a nabożeństwo, wraz z biciem dzwonów, dzwonków, wraz z zapachem mirry, bursztynu i wonnych ziół, z migotaniem świec i blaskiem monstrancyi, tak wezbrało w duszach ludzkich, że cały kościół zdawał się ulatywać na skrzydłach w górę. Kanonik, to zniżając, to wznosząc wówczas monstrancyę, przymykał z uniesienia oczy,

a pan Kleń czynił to samo na górze, i zdawało mu się, że organy same grają, że głosy ołowianych rur podnoszą się jak fale, płyną jak rzeki, leją się jak upusty, sączą się jak źródła, kapią jak krople dżdżu, że wypełniają cały kościół, są pod sklepieniem, i przed ołtarzem, i w kłębach kadzideł, i w świetle słonecznem, i w duszach ludzkich — jedne groźne i wspaniałe, jak grzmoty; drugie, jakby ludzkie śpiewanie, żywemi słowami mówiące; trzecie słodkie, drobne, rozsypane nakształt paciorków lub kląskań słowiczych. I po mszy schodził pan Kleń z chóru odurzony, z błyszczącemi, jak ze snu oczyma — jako zaś człowiek prosty, mówił i myślał, że się zmęczył. Kanonik w zakrystyi kładł mu coś grosiwa do ręki, coś pochwał do uszu, on zaś szedł pomiędzy lud, który się ćmił przed kościołem — i tam już czapkowano mu, choć mieszkał na komornem w Zagrabiu, i podziwiano go bez miary.

Ale pan Kleń chodził przed kościół nie dla tego, żeby usłyszeć: »Hej, patrzcie, Kleń

idzie!« — ale dla tego, by obaczyć to, co mu było najmilsze w Zagrabiu, w Ponikle i w świecie całym, to jest pannę Olkę, córkę strycharza z Zagrabia. Wpiła mu się ona jak kleszcz w serce, i swemi oczyma, jak chabry, i swoją jasną twarzą, i swemi ustami, jak wiśnie. Sam pan Kleń, w rzadkich chwilach, w których patrzał roztropnie na świat i w których widząc, że strycharz mu jej nie da, myślał, że lepiej jej zaniechać, poczuwał ze strachem, że tego uczynić nie zdoła — i z wielkim frasunkiem powtarzał sobie: »Ej, to zalazła! cęgami nie wyrwiesz«. Dla niej też zapewne zaprzestał włóczęgi, dla niej żył, a gdy grywał na organach, to myślał, że ona słucha, i grywał tem lepiej.

Ona zaś, pokochawszy naprzód jego »sprytność« do muzyki, pokochała go następnie dla niego samego — i był jej ten pan Kleń najmilszy ze wszystkich, choć miał twarz dziwną, czarniawą, oczy jak nieprzytomne, kusy surdut, krótszy jeszcze kożuszek i nogi tak długie a cienkie jak, bocian.

Ale »tatko« strycharz, choć także najczęściej w kieszeniach wiatr nosił, nie chciał dać Olki Kleniowi. »Za dziewczyną — mówił sobie — każdy się ogląda; po co jej ma taki Kleń los wiązać? I ledwie wpuszczał go do domu, a czasem wcale nie wpuszczał. Lecz gdy stary Mielnicki umarł, zmieniło się wszystko odrazu. Kleń, po podpisaniu kontraktu z kanonikiem, poszedł w te pędy do strycharza, ów zaś powiedział mu tak: »Nie mówię, że koniecznie ma zaraz co być, ale co organista, to nie powsinoga!« I zaprosiwszy go do izby, uczęstował arakiem i uczcił jak gościa. Gdy zaś Olka nadeszła, radował się razem z młodymi, że Kleń został panem, że będzie miał dom, ogród i że po kanoniku będzie największą osobą w Ponikle.

Przesiedział tedy Kleń u nich od południa aż do wieczora z wielką i swoją, i Olki uciechą i teraz oto, wracał drogą do Ponikły, po śniegu skrzypiącym, pod zorzę wieczorną.

Zbierało się na mróz, ale on o to nie dbał,

tylko szedł coraz raźniej, a idąc rozmyślał o dniu dzisiejszym, o Olce, i było mu ciepło. Szczęśliwszego dnia w życiu poprostu nie miał. Po pustej, bezdrzewnej drodze, wśród łąk zmarzłych, pokrytych śniegiem, mieniącym się czerwono i niebiesko pod wieczór, niósł swoją radość, jakby jasną latarkę, którą miał sobie świecić w mroku. Pamiętał i rozpamiętywał wszystko, co się zdarzyło, więc i rozmowę z kanonikiem, i podpisanie kontraktu, każde słowo strycharza i panny Olki. Ona, gdy na chwilę zostali sami, powiedziała mu tak: »Mnie to na jedno! Jabym za panem Antonim i bez tego, choć za morza poszła, ale dla tatka tak lepiej!« — On zaś pocałował ją z wielkiej wdzięczności i pomieszania w łokieć, rzekłszy przytem: »Bóg zapłać Olce, na wieki wieków, amen!« — I teraz, gdy sobie to przypomniał, wstydził się trochę, że ją pocałował w łokieć i że jej tak mało powiedział, bo to czuł, że byle strycharz pozwolił, poszłaby naprawdę za nim na kraj świata. Taka poczciwości dziewczy-

na! — I teraz oto wędrowałaby z nim, w razie czego, po tej pustej drodze, wśród śniegu. — »Złotoż ty moje szczere! — pomyślał pan Kleń: — kiedy tak, to będziesz panią!« — I szedł jeszcze raźniej, aż śnieg skrzypiał donośniej. Lecz wkrótce począł znów myśleć: »Taka człowiekowi nie chybi«. Opanowała go zatem wielka wdzięczność. Gdyby naprawdę Olka była teraz przy nim, jużby nie wytrzymał: rzuciłby swój obój na ziemię i przycisnął ją, co mocy w kościach, do piersi. Nieinaczej powinien był postąpić przed godziną, ale to zawsze tak: jak trzeba coś uczynić albo powiedzieć od serca, »to ot, człek głupieje i język ma z drewna«. Łatwiejże grać na organach!

Tymczasem złota i czerwona wstęga, która do tej pory świeciła od zachodu na niebie, zmieniała się zwolna w złotą taśmę, w złoty sznur i wreszcie zgasła. Nastał zmrok i gwiazdy zamigotały na niebie, tak ostro i sucho patrzące na ziemię, jak zwykle w zimie. Mróz brał tęgi i począł szczypać w uszy przyszłego organistę z Ponikły,

więc znając doskonale drogę, postanowił pan Kleń pójść na przełaj, łąkami, by prędzej znaleźć się w swoim domu.

I po chwili czernił się już na równej, śnieżnej przestrzeni wysoki, śmiesznie sterczący do góry. Przyszło mu na myśl, by dla zabicia czasu zagrać sobie trochę, póki nie zgrabieją palce, więc i uczynił, jak pomyślał. Głos oboja ozwał się w nocy i pustce dziwny, nikły, jakby trochę przestraszony tą białą, smutną płaszczyzną. A brzmiał on tem dziwniej, że Kleń grał same wesołe rzeczy. Bo sobie znów przypomniał, jak po jednym i drugim kieliszku u strycharza jął był grać i śpiewać, a rozochocona Olka wtórowała mu cienkim głosikiem. Te same pieśni chciał teraz wygrać, więc naprzód zaczął tę, od której ona zaczęła:

»Wyrównaj, Boże, góry z dołami,
Niech będzie równiusieńko!
Przyprowadź Boże, moje kochanie,
Przyprowadź raniusieńko!«

Strycharzowi jednak nie podobała się ta pieśń, bo mu się wydała »prosta« i kazał

im śpiewać dworskie. Wówczas wzięli się do innej, której Olka nauczyła się w Zagrabiu:

»Pojechał pan Ludwik na polowanie,
Zostawił Helunię, jak malowanie,
Pan Ludwik powrócił, muzyka grała,
Trębacze trąbili, Helunia spała«.

Ta przypadła więcej strycharzowi do smaku. Lecz gdy ochota w nich wezbrała, najwięcej uśmieli się przy »Zielonym dzbanie«. Panna w tej pieśni, nim się zacznie w końcu śmiać, z początku płacze i zawodzi po stłuczonym dzbanku żałośnie:

»Mój zielony dzban,
Stłukł ci mi go pan!«

A pan dalej-że ją pocieszać:

»Cicho, panno, nie płacz-że,
Ja ci za dzban zapłacę!«

Olka przeciągała, jak mogła najdłużej: »Mój zielony dzban!«, a potem w śmiech, Kleń zaś odrywał usta od oboja i odpowiadał jej, jako pan, z wielkim zamachem:

»Cicho, panno, nie płacz-że...«

I teraz, wspominając po nocy ową dzienną wesołość, wygrywał sobie »Mój zielony dzban« i uśmiechał się jeszcze teraz, o ile mu na to pozwalały usta, zajęte dmuchaniem w obój. Ale że mróz był duży i wargi przymarzały mu do panewki instrumentu, a palce całkiem zgrabiały od przebierania po klapkach, więc po chwili przestał grać i szedł dalej, nieco zdyszany i z twarzą w mgle, która powstawała z jego oddechu.

Po niejakim czasie zmęczył się, bo nie obliczył jednej rzeczy, mianowicie że śnieg na łąkach leży głębszy niż na przetartej drodze i że niełatwo wyciągnąć z niego takie długie nogi. Prócz tego łąki w niektórych miejscach tworzyły wklęsłości, które dawne zamiecie wyrównały, ale przez które trzeba było brnąć po kolana. Kleń począł teraz żałować, że zszedł z drogi, bo tam mogła się zdarzyć jaka fura do Ponikły.

Gwiazdy migotały coraz ostrzej, mróz stawał się coraz tęższy, a pan Kleń aż się zapocił. Gdy jednak chwilami podnosił się

wiatr i ciągnął łąką ku rzece, robiło mu się bardzo zimno. Próbował znów grać, ale mając usta zatkane, męczył się jeszcze więcej.

Poczęło go wreszcie ogarniać uczucie samotności. Wokoło było tak pusto, cicho i głucho, że aż dziwnie. W Ponikle czekał go ciepły dom, ale on wolał myśleć o Zagrabiu i mówił sobie: »Olka idzie spać, ale tam, chwała Bogu, w izbie ciepło!« I na tę myśl, że tam Olce tak ciepło i jasno, radowało się zacne serce pana Klenia tembardziej, im bardziej samemu było mu zimno i ciemno.

Łąki skończyły się wreszcie, a zaczęły się pastwiska, porosłe tu i owdzie jałowcem. Pan Kleń był już tak zmęczony, że brała go wielka ochota siąść ze swoim obojem pod pierwszym lepszym zacisznym krzakiem i odpocząć. Ale pomyślał: »Zmarznę!« i szedł dalej. Na nieszczęście w jałowcach, tak jak pod płotami, tworzą się czasem zaspy. Kleń, przeszedłszy ich kilka, wyczer-

pał się tak, iż w końcu powiedział sobie:

— Siądę. Bylem nie usnął, to i nie zmarznę, a żeby nie usnąć, to sobie jeszcze zagram: »Mój zielony dzban«.

I siadłszy począł znów grać — i znów nikły głos oboja ozwał się wśród ciszy nocnej na śniegach. Lecz Kleniowi powieki kleiły się coraz bardziej, i nuta »Zielonego dzbana«, słabniejąc i cichnąc stopniowo, ucichła wreszcie całkiem. Bronił się jednak jeszcze od snu, był jeszcze przytomny, myślał jeszcze o Olce, tylko jednocześnie czuł się w coraz większem pustkowiu, coraz więcej samotny, jakby zapomniany, i jęło ogarniać go zdziwienie, że jej przy nim niema w tej głuszy i w tej nocy.

I począł mruczeć:

— Olka, gdzie ty?

A potem raz jeszcze ozwał się, jakby na nią wołał:

— Olka!...

I obój wysunął mu się ze zgrabiałych rąk.

A nazajutrz brzask oświecił jego siedzącą postać z obojem przy długich nogach i jego zsiniałą twarz, jakby zdziwioną i zarazem jakby zasłuchaną w ostatnią nutę piosnki: »Mój zielony dzban...«

U ŹRÓDŁA

Jestem wczorajszym studentem i mój dyplom doktora filozofii jeszcze nie zasechł — to prawda. Nie posiadam także ani stanowiska, ani majątku. Cała moja fortuna składa się z dość lichego dworku z ogrodem i kilkuset rubli dochodu — rozumiem więc, że mi odmówili ręki Toli — ale oni mnie przytem sponiewierali.

I dlaczego? Com ja takiego uczynił? Oto przyniosłem, jak na dłoni, serce ogromnie uczciwe i powiedziałem tak: »Dajcie mi ją, a ja wam będę najlepszym synem i do śmierci się wam nie wypłacę — ją zaś będę na ręku nosił, kochał i ochraniał«.

Prawda, żem wypowiedział to głupio, nieswoim głosem, jąkając się i nie mogąc tchu złapać. Wyście jednak widzieli, że duszę z siebie wyciągam, że mówi przeze mnie

uczucie takie, jakiego się codzień na świecie nie spotyka — i, jeśliście nawet postanowili odmówić, to czemu nie odmówiliście, jako ludzie dobrzy, mający trochę miłosierdzia w sercu, tylko sponiewieraliście mnie?

Wy niby chrześcijanie, wy niby idealiści, skąd mogliście wiedzieć, co ja uczynię, wyszedłszy od was po takiej odmowie? Kto wam powiedział, że sobie w łeb nie strzelę, raz dla tego, że nie będę mógł żyć bez niej, a powtóre, że taki rozbrat między tem, co się głosi jako zasada, a między postępkami w życiu, taki faryzeizm i takie kłamstwo w głowie mi się nie pomieści? Czemu nie było wam ani przez sekundę mnie żal? Przecie i mnie nawet nie godzi się deptać bez przyczyny, przecie i mnie szkoda! Możebym i ja, gdyby nie wy, czegoś dokazał na świecie. Młody jestem, prawie student, bez majątku, bez stanowiska — dobrze! Ale, widzicie, mam przed sobą przyszłość — i dalibóg — nie wiem, dlaczegoście w nią napluli.

Te lodowate twarze! to wzgardliwe obu-

rzenie!... Parę dni temu, anibym przypuścił, że ci ludzie potrafią takimi być: — »Mieliśmy pana za uczciwego człowieka, a pan nas podszedłeś, pan nadużyłeś naszego zaufania« — oto słowa, któremi cięli mnie przez twarz, jak szpicrutą. Na chwilę przedtem winszowali mi tak serdecznie dyplomu, jakbym był ich synem — i dopiero, gdym, pobladłszy ze wzruszenia, powiedział im, co mi było największym bodźcem w pracy, serdeczność i uśmiechy zgasły, twarze im skrzepły, powiało od nich mrozem — i pokazało się, żem »nadużył ich zaufania«...

I tak mnie zgnębili, odurzyli, zdeptali, że przez chwilę i mnie samemu zdawało się. żem uczynił coś haniebnego i że ich istotnie podszedłem.

Ale jakim sposobem? Co to jest? Kto tu kogo zawiódł i kto gra rolę nędznika? Albom ja zupełnie oszalał, albo w tem, że ktoś kocha uczciwie i chce oddać duszę, krew, pracę, niema nic podłego. Jeśli wasze oburzenie było prawdziwe — to kto tu głupiec?

Ach! — i na tobie się zawiodłem, ja, któ-

rym tak na ciebie liczył! Oni mi powiedzieli: »Jesteśmy pewni, że córka nasza w niczem pana nie upoważniła do takiego kroku«. — Oczywiście, nie zaprzeczyłem. I przyszła potem ta »córka«, z całą bezdenną biernością dobrze wychowanej panny, i wyjąkała ze spuszczonemi oczyma, że nawet nie rozumie, skąd mi przyszła myśl podobna.

Nie rozumiesz? Posłuchaj mnie, panno Tolu: nie powiedziałaś mi, że mnie kochasz — prawda! Nie mam rewersu z twoim podpisem, a choćbym go miał, tobym go nie pokazał. Ale powiem ci tylko tyle: jest jakaś sprawiedliwość, jest jakiś trybunał, wszystko jedno gdzie, czy gdzieś za chmurami, czy w ludzkiem sumieniu, wobec którego musisz zeznać: tego człowieka zawiodłam, tego człowieka się zaparłam, tego człowieka wydałam na upokorzenie i na nieszczęście.

Nie stało ci odwagi, czy serca? — nie wiem, tylko żeś mnie zawiodła okropnie. Kocham cię jeszcze, nie chcę ci złorze-

czyć, ale widzisz, gdy chodzi o zatracenie lub o ratunek człowieka, to trzeba mieć odwagę, trzeba, żeby prawość i kochanie były większe od strachu. Inaczej jest się powodem, że komuś belki mozolnie wznoszonego domu spadają na głowę. To przytrafiło się i mnie. Całą moją przyszłość budowałem na ślepej wierze w twoją miłość, i pokazało się, żem budował na piasku, bo ci w stanowczej chwili zabrakło odwagi, bo mając wybór między złym humorem twoich rodziców a moją niedolą, wybrałaś moją niedolę.

Gdybyś mi w tem rozbiciu została taką, za jaką cię miałem, byłoby mi teraz lżej, miałbym pociechę i nadzieję. Czy ty wiesz, że wszystko, com od kilku lat robił, robiłem przez ciebie i dla ciebie? Pracowałem istotnie jak wół, nie dosypiałem po nocach, podostawałem jakieś medale i dyplomy, tobąm żył, przez ciebiem oddychał, o tobiem myślał. I oto teraz pustka przede mną, w której wyje smutek, jak pies. Nie pozostało mi nic.

Ciekawym, czy ci to choć raz do głowy przyjdzie?

Ale pewno rozsądni rodzice wytłomaczą ci, że ja jestem student i że to jest moja głupia egzaltacya. Co do studenta, gdybym nim jeszcze naprawdę był, mógłbym odpowiedzieć, jak Szekspirowski Szylok: »Zali nie jesteśmy ludźmi takimi, jak i wy? jeśli nas zakłujecie, czy nie płynie z nas krew, a jeśli nas skrzywdzicie, czy nie płyną nam łzy?« To wszystko jedno. Kimkolwiek ktoś jest, nie wolno go krzywdzić. Moja egzaltacya, głupia, czy nie głupia, również nie upoważnia nikogo do znęcania się nade mną. Dobrze, że się już ten nasz dzisiejszy świat, tak wielka, bezduszna budowa, złożona z głupoty, kłamstwa i hypokryzyi, rysuje i rozpada, bo niepodobna na nim żyć. Ja teraz mam sobie oto czas; zostałem psu na uciechę doktorem filozofii, więc, jako filozof, zastanawiam się nad rozmaitymi ludzkimi stosunkami, które się świeżo tak gruntownie na mnie odbiły. Wam, ludziom, tak zwanym rozsądnym, dość na

tem, gdy wynajdziecie puste słowo, czczą nazwę na rzecz, a że tam ktoś kark skręci przez rzecz samą — mniejsza o to. Egzaltacya! Co mi za pociecha z nazwy, kiedy mi to skręca wnętrzności? Co mi pomożecie waszym słownikiem? Wy przytem odmawiacie prawa istnienia wszystkiemu, czego nie odczuwają wasze stępione nerwy. Gdy wam zęby wypadną ze starych szczęk, przestaniecie wierzyć w ból zębów. Według was, reumatyzmy to istotnie coś poważnego; reumatyzmy naprawdę bolą, ale miłość to tylko egzaltacya. Ilekroć o tem myślę, jest we mnie dwóch ludzi: jeden — ten wczorajszy student, który w imię nowych czasów chce bić obuchem w głupotę ludzką, drugi, człowiek głęboko pokrzywdzony, któremu się chce kląć i łkać. Tak nie można żyć. Dość mamy tego idealizmu w słowach, a utylitaryzmu w czynach. Przychodzi taki czas, w którym albo trzeba stosować postępki do zasad, albo mieć odwagę wygłaszania zasad, równie cynicznych, jak postępki. Bóg jeden wie,

ile razy słyszałem od rodziców Toli, że majątek nie stanowi szczęścia, że charakter więcej jest wart od bogactwa, że spokój sumienia jest najwyższem dobrem. Tak? A oto ja mam i trochę charakteru, i wiele pracy, i spokojne sumienie, i młodość i miłość — a jednak wyrzucili mnie z tem wszystkiem za drzwi; gdybym zaś dziś wygrał na loteryi pół miliona — jutro oddaliby mi ją z radością. Jutro przyszedłby tu jej ojciec i otworzyłby mi ramiona, — jak Bóg na niebie!

Kto chce być kupcem, niechże choć umie rachować, ale wy, ludzie niby trzeźwi, nawet i tego nie umiecie. Ta wasza trzeźwość, ten wasz rozsądek prowadzi was do złudzeń. Nie umiecie rachować — słyszycie! Nie mówię tego w gorączce, to nie są żadne dziwactwa. Miłość jest, istnieje, więc trzeba ją uznać jako rzeczywistą wartość. Gdyby przyszedł jaki genialny matematyk, obliczył by ją wam na pieniądze — i dopiero wzięlibyście się za głowy, co to za bogactwo! To jest rzecz tak pozytywna,

tak samo realna, tak samo niezbędna w życiu, jak pieniądze. Rachunek jest prosty: życie tyle jest warte, ile w niem jest szczęścia, a przecież to jest ogromny kapitał, niewyczerpane źródło szczęścia. To się równa zdrowiu i młodości. A wam takie proste rzeczy w głowie się nie mieszczą. Powtarzam raz jeszcze: nie umiecie rachować! Milion jest wart milion i ani grosza więcej; wam zaś się zdaje, że prócz tego wart jest tyle, ile wszelkie inne dobro życia. Wskutek tej omyłki, błąkacie się w świecie zupełnie sztucznym, nie widzicie rzeczy we właściwych proporcyach i mylicie się co do cen. Wy jesteście romantycy, tylko wasz romantyzm jest płaski, bo pieniężny, i prócz tego szkodliwy, bo łamie i psuje życie nietylko ludziom, którzy was nie obchodzą, ale waszym własnym dzieciom.

Toli byłoby dobrze ze mną; byłaby szczęśliwa! Ale jeśli tak, to czego więcej chcecie? Nie mówcie mi, że onaby i sama mnie odepchnęła. Gdyby nie to, że wychowaniem

zabiliście w niej wszelką samodzielność, wszelką wolę, szczerość i odwagę, nie siedziałbym teraz samotny z pękającą od bólu głową. Nikt Toli nie patrzał tak w oczy, jak ja — i nikt nie wie lepiej, co czuła i jakąby była, gdybyście jej duszy nie otruli.

A teraz straciłem i ją, i razem z nią wiele innych rzeczy, któremi się żyje, jak chlebem, a bez których się umiera. Oj, wy niedoszli moi rodzice, i ty, moja stracona żono! chwilami przypuszczam, że chyba nie zdajecie sobie sprawy, coście zrobili ze mną, bo inaczej przyslalibyście jeszcze po mnie. Niepodobna, żeby nie było wam mnie żal.

. . . . . .

Co mi z wyrzutów! Słuszność po mojej stronie. To wszystko, com napisał, jest ścisłą prawdą, ale ta prawda nie powróci mi Toli.

I w tem jest przepaść — bo mi się w głowie nie może pomieścić, jakim sposobem słuszność i prawda mogą się na nic nie przydać. A mnie to wszystko na nic, zupełnie na nic! Świat przecie ma być tak

samo zorganizowany, jak umysł ludzki — więc skąd ten rozbrat? Jeśli jest inaczej, to trzeba wiecznie żyć własną kołowacizną. — Nie mogę pisać dłużej.

Po długim czasie biorę się znów do pióra. Niech rzeczywistość mówi sama za siebie — ja tylko opowiem poprostu, co się stało. Wyjaśnienie przyszło dopiero po całym szeregu zdarzeń, więc i opisuję je tak, jak następowały, nim sam mogłem zrozumieć przyczyny.

Rano, nazajutrz po owym dniu klęski, przyszedł do mnie ojciec Toli. Ujrzawszy go — ścierpłem. Była chwila, że wszystkie myśli tak odleciały mi z głowy, jak stado ptaków z drzewa. Zdaje mi się, że coś podobnego musi się czuć w chwili konania. Ale on miał twarz pogodną i zaraz na progu począł mówić, wyciągając ku mnie ręce:

— No, żleśmy spędzili noc — prawda? Ja to rozumiem, bom i sam był niegdyś młody.

Nie odpowiedziałem, nie rozumiałem nic; nie wierzyłem, że go widzę przed sobą. On tymczasem, potrząsnąwszy memi dłońmi, zmusił mnie, abym siadł, i sam siadłszy naprzeciw, mówił dalej:

— Przyjdź do siebie, uspokój się i pogadajmy, jak dobrzy ludzie. Mój drogi panie, czy pan myślisz, żeś tylko sam nie spał? Myśmy także nie spali. — Jakeśmy trochę ochłonęli po odejściu pana, zrobiło nam się tak przykro, że ani rady. To tak jest! Gdy człowieka coś nagle zaskoczy, to i straci głowę, a jak straci głowę, to i miary nie zachowa. — Było nam przykro i, prawdę rzekłszy, wstyd. Dziecko uciekło do swego pokoju, a starzy, jak to starzy, nuż na siebie winę zwalać: tyś winna, tyś winien! Taka natura ludzka. Ale potem przychodzi rozmysł i żal: Młody jest, uczciwy, zdolny, kocha, zdaje się, nasze dziecko całem sercem, — czego u licha myśmy stanęli dęba? Jedno nas tłomaczy! Jeśli pan kiedyś będziesz ojcem, to zrozumiesz, że rodzicom dla dziecka nigdy

dosyć. Wszelako przypomniało nam się, że że co dla nas mało, to dla Toli może być właśnie dosyć — więc postanowiliśmy lepiej wybadać, co tam dziewczyna chowa w sercu — i wezwaliśmy ją na naradę. — Dobry trzeci rajca! — niema co mówić! Jak zaczął obejmować nas za nogi, a kłaść nam na kolanach tę swoją kochaną głowinę, tak ot!... rodzicielskie serce...

Tu wzruszył się sam, i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wszystko, com słyszał, wydawało mi się snem, bajką, cudem; moja męka poczęła się już zmieniać w nadzieję, on zaś, opanowawszy wzruszenie, rzekł:

— Pewnoś tam na nas góry walił, a my jesteśmy ludzie dobrej woli, choć prędcy; a na dowód powiem ci, że jeśli wolisz Tolę od swojej urazy — to chodź-że tu...

I otworzył mi ramiona, ja zaś wpadłem w nie nawpół przytomny, nawpół obłąkany, szczęśliwy. Czułem, że gardło mam ściśnięte i że potrafiłbym chyba tylko wybuchnąć łkaniem. Chciałem koniecznie prze-

mówić i nie mogłem. W duszy miałem jeden krzyk szczęścia, zdumienia i wdzięczności. Wszystko to spadło na mnie odrazu, jak piorun; ni głowa, ni serce nie mogły tego objąć i doznawałem niemal bólu od tego nadmiaru zmian, uczuć i myśli. Ojciec Toli odjął zlekka moje ręce z własnych ramion i, całując mnie w czoło, rzekł:

— Dobrze już, dobrze! Tego spodziewałem się po twojem przywiązaniu dla niej. Zapomnij o tem, co było, i uspokój się.

Widząc jednak, że nie mogę przyjść do siebie, ni opanować wzruszenia, począł mnie gderać dobrotliwie:

— Bądź-że mężczyzną i weź się w kupę! Trzęsiesz się, jak w febrze. No, ależ ta smerda zaszyła ci się głęboko pod żebra...

— Oj głęboko! — wyszeptałem z wysileniem.

Ojciec uśmiechnął się:

— Proszę! a to niby taka cicha woda...

I widocznie ta moja niezmierna miłość do Toli schlebiała jego dumie rodzicielskiej, bo rad był i uśmiechając się ciągle powtarzał:

— To kleszcz! to kleszcz!

Ja poczułem nagle, że jeśli jeszcze kwadrans zostaniemy w pokoju, to mi się w głowie coś popsuje. W zwykłych warunkach umiem dość panować nad sobą, ale tym razem przeskok był zbyt wielki. Potrzebowałem odetchnąć świeżem powietrzem, zobaczyć ruch uliczny, przedewszystkiem zaś potrzebowałem obaczyć Tolę, by się przekonać, że ona rzeczywiście istnieje na świecie, że to wszystko nie sen i że mi ją dają naprawdę.

Począłem prosić ojca, byśmy zaraz poszli do nich, na co zgodził się chętnie.

— Chciałem ci to sam zaproponować, — rzekł, — bo tam u nas pewno też ktoś sobie nosek o szyby rozpłaszcza i wypatruje oczy na ulicę. Teraz i tak nie byłbyś w stanie mówić o interesach, więc pomówimy o nich później.

W kilka minut potem byliśmy już w drodze. Z początku patrzałem na ludzi, domy i powozy, jak człowiek, który po długiej chorobie wyszedł pierwszy raz na miasto

i doznaje zawrotu głowy. Stopniowo jednak ruch i świeży powiew oprzytomniły mnie. Nad wszystkiemi myślami zapanowała jedna: »Tola cię kocha i za chwilę zobaczysz ją!« Czułem, że tętna biją mi w skroniach jak młotem — i rzeczywiście trzeba było mieć dobre obręcze na głowie, żeby to wytrzymać. Przecie przed godziną jeszcze myślałem, że albo już Toli nigdy w życiu nie zobaczę, albo tam kiedyś, gdzieś, jako żonę innego. A teraz szedłem do niej, by jej powiedzieć, że będzie moja — i szedłem dlatego, że ona pierwsza wyciągnęła do mnie ręce. Wczoraj nazywałem ją lalką bezmyślną, a ona tymczasem włóczyła się u nóg rodziców, prosząc za nas oboje. Serce miałem przepełnione żalem, skruchą, rozrzewnieniem, poczuciem, żem Toli niewart; przysięgałem sobie, że jej to wynagrodzę, że jej za każdą łzę wczorajszą wypłacę tkliwością, przywiązaniem i zaprzedaniem się jej bez granic.

Inni zaślepiają się w miłości, ja nie potrzebowałem się zaślepiać, bo za Tolę mó-

wiły czyny. Ona sprawiła ten cud. Krzywdziłem — ja. Krzywdziłem zarówno ją i jej rodziców. Gdyby byli takimi, za jakich ich miałem, toby się nie dali ubłagać, toby się nie zdobyli na tę prostotę, nie ludzką, ale anielską, z jaką ojciec przyszedł do mnie i powiedział: »Zbłądziliśmy — weź ją!« — Nie powstrzymały go od tego ni konwenanse światowe, ni miłość własna.

Przypomniały mi się jego słowa: »Pewnoś tam na nas góry walił, a my jesteśmy ludzie dobrej woli, choć prędcy«. Ta prostota gnębiła mnie teraz tembardziej, im większe góry na nich wczoraj waliłem. Żadnego słowa więcej, żadnego wzniosłego frazesu, żartobliwy uśmiech — i oto wszystko. Gdym teraz o tem pomyślał, nie mogłem dłużej wytrzymać, tylko chwyciwszy rękę ojca, podniosłem ją ze czcią do ust.

A on znów uśmiechnął się tym swoim dobrym, jasnym uśmiechem, i rzekł:

— Myśmy to sobie dawno z żoną powiedzieli, że zięć musi nas kochać.

I stało się jak sobie życzyli, bo nim zo-

stałem ich zięciem, kochałem ich już, jak syn rodzony.

Ponieważ szedłem bardzo szybko, ojciec począł się drażnić ze mną, sapał, udawał, że się męczy, i mówił, że nie może nadążyć, i skarżył się na gorąco. Istotnie, wczoraj zima przełamała się. Ciepły wiatr marszczył wodę w miejskim ogrodzie i w powietrzu było jakieś odżycie, jakaś siła wiosenna. Stanęliśmy wreszcie przed mieszkaniem Toli. W oknie coś mignęło i schowało się w głąb pokoju, ale nie byłem pewien, czy to Tola. Na schodach poczęło mi znów bić serce. Bałem się matki. Przeszedłszy jadalny pokój, zastaliśmy ją w salonie. Gdym wszedł, zbliżyła się szybko i wyciągnęła ku mnie rękę, którą ucałowałem ze czcią i wdzięcznością, bąkając przytem:

— Czem ja sobie zasłużyłem...

— Niech nam pan przebaczy wczorajszą odmowę, — rzekła. — Nie zastanowiliśmy się nad tem, że większego przywiązania Tola w całym świecie znaleźćby nie mogła.

— To prawda! to prawda, pani! — zawołałem z zapałem.

— A że nam przedewszystkiem o szczęście dziecka chodzi, więc zgadzamy się oddać ją panu... i mogę tylko powiedzieć: Szczęść wam, Boże!

To rzekłszy, ścisnęła moje skronie, poczem, zwróciwszy się ku drzwiom, zawołała:

— Tolu!...

I weszło to moje kochanie, blade, z zaczerwienionemi oczyma, z kosmyczkami rozwianych włosów na czole, zmieszane, wzruszone tak, jak i ja. Jakim sposobem nic w niej nie uszło mojej uwagi, — nie wiem. Wiem tylko, żem widział i łzy wezbrane pod powiekami, i drżące usta, i radość przebijającą się przez łzy, i uśmiech pod zmieszaniem.

Przez mgnienie oka stała z rękoma zawieszonemi na sukni, jakby nie wiedząc, co począć; wtem ojciec, którego humor widocznie nigdy nie opuszczał, ozwał się, ruszając ramionami:

— Ha! trudna rada! wziął na kieł i nie chce ciebie.

Wówczas spojrzała nagle na mnie i rzuciła się ojcu na szyję, wołając, jakby z wybuchem:

— Nie wierzę, tatusiu, nie wierzę!

Ja, gdybym był poszedł za pierwszym popędem serca, byłbym jej do nóg padł. Nie uczyniłem tego jedynie przez brak odwagi i dlatego, żem głowę stracił. Zostało mi tyle tylko przytomności, żem sobie w duszy powtarzał: »Ośle, nie ryknij!« — Poczciwy ojciec znów przyszedł nam w pomoc, uwolniwszy się bowiem od uścisku Toli, rzekł, niby gniewając się na nią:

— Kiedy mnie nie wierzysz, to idź-że sobie do niego!

I posunął ją ku mnie, a przede mną niebo otworzyło się w owej chwili. Chwyciwszy jej ręce, przycisnąłem je w uniesieniu do ust i sam nie wiem, jak długo nie mogłem od nich warg oderwać. Nieraz poprzednio wyobrażałem sobie, że całuję jej ręce, ale nie wyobraźni mierzyć się z po-

dobną rzeczywistością! Miłość moja była dotychczas jak zamknięta w ciemnicy roślina. Nagle wyniesiono ją na jasne powietrze, pozwolono jej bujać w słońcu i cieple, więc miara mego szczęścia dopełniła się przez to poczucie. Piłem otwarcie ze źródła dobra i radości. Kochać i więzić w sobie miłość, a kochać i czuć, że się wchodzi w swoje prawo — kochać i brać w posiadanie, to dwie zupełnie różne rzeczy. Nietylko nie miałem, ale nie mogłem mieć o tem pojęcia.

Rodzice, pobłogosławiwszy nas, wyszli i umyślnie zostawili nas samych, abyśmy mogli wypowiedzieć sobie wszystko, cośmy wzajemnie czuli. Ale z początku, ja, zamiast rozmawiać, patrzałem tylko na nią w zachwyceniu, a jej twarz mieniła się pod moim wzrokiem. Rumieńce pokryły jej policzki, kąciki ust drgały uśmiechem, pełnym nieśmiałości i zawstydzenia, oczy miała zamglone, główkę jakby zasuniętą w ramiona – chwilami spuszczała powieki i zdawała się czekać na moje słowa.

Siedliśmy wreszcie obok siebie pod oknem, trzymając się za ręce. Dotychczas była ona dla mnie czemś jakby bezcielesnem, oderwanem, więcej kochanym duchem, więcej drogiem imieniem, więcej podziwianym wdziękiem, niż osobą; teraz zaś, gdy ramię jej dotykało mojego, gdy biło na mnie ciepło jej twarzy, nie mogłem się oprzeć jakby pewnemu zdumieniu, że ona taka rzeczywista. Niby się to wie, ale się tego nie odczuwa, dopóki nie jest się blizko kochanej kobiety. Teraz patrzałem z takim podziwem na jej twarz, usta, oczy, na jej jasne włosy i jaśniejsze jeszcze rzęsy, jakbym jej nigdy dotąd nie widział. I upajałem się nią. Nigdy żadna twarz kobieca nie wypełniała tak dalece wszystkich moich marzeń o kobiecym wdzięku, żadna nie pociągała mnie tak nieprzeparcie. A gdym pomyślał, że te wszystkie skarby będą moje, że już należą do mnie i stanowią moje dobro najwyższe — świat cały kręcił się ze mną.

Przemówiłem wreszcie. Począłem jej opo-

wiadać gorączkowo, jak kochałem ją od pierwszej niemal chwili — przed półtora rokiem — w Wieliczce — gdzie spotkałem ją wypadkowo w licznem, a obcem mi towarzystwie — gdzie zrobiło jej się słabo na dnie kopalni, a ja pobiegłem po wodę do jeziorka. Nazajutrz byłem z wizytą u jej rodziców, z której wyszedłem do reszty rozkochany. Wszystko to, jak przypuszczam, było jej doskonale wiadome, ale słuchała z największą przyjemnością, uśmiechając się, płonąc, a czasem nawet zadając po cichutku rozmaite pytania. Mówiłem jeszcze długo i w końcu nawet mniej głupio, niżem się spodziewał, jak potem była mi jedynym celem, jedynem pokrzepieniem, jak głęboko i strasznie byłem nieszczęśliwy wczoraj jeszcze, gdym sobie powiedział, że wszystko przepadło, i gdy straciłem wiarę nawet w nią.

— Ja byłam równie nieszczęśliwa... — odpowiedziała. — I prawda, że w pierwszej chwili nie umiałam jednego słowa wyjąkać, ale potem starałam się wszystko naprawić.

Przez chwilę milczeliśmy oboje. We mnie znów odbywała się walka między nieśmiałością a chęcią ucałowania jej nóg; wreszcie w sposób najpotworniej niezgrabny i godny ostatniego idyoty, spytałem jej, czy mnie także choć trochę kocha.

Ona przez jakiś czas siliła się na odpowiedź, ale, nie mogąc się na nią zdobyć, wstała i odeszła.

Wróciwszy po chwili z albumem w ręku, siadła napowrót przy mnie i pokazała mi rysunek, przedstawiający mój własny portret.

— To ja rysowałam z pamięci, — rzekła.

— Pani?

— Ale tam jeszcze coś jest, — mówiła dalej, kładąc paluszek na kartkę.

Teraz dopiero spostrzegłem, że na boku, na samym brzeżku, znajdują się drobniuchno wypisane literki: J. v. a.

— To się czyta po francusku, — szepnęła.

Po francusku?

I w swojej bezdennej naiwności nie mo-

głem jeszcze się domyślić, co to znaczy, aż sama zaczęła:

— Je vous...

Nagle, schowawszy twarz w dłonie, schyliła się tak nizko, że dostrzegłem jej krótsze włoski, zafryzowane na szyi, i samą szyję. Teraz domyśliłem się wreszcie i począłem powtarzać z bijącem sercem:

— Teraz już wolno, wolno!

Podniosła się uśmiechnięta i rozpromieniona.

— I trzeba, — dodała mrugając oczyma, i jakby mi przykazując na przyszłość.

W tej chwili zawołano nas na śniadanie. Mógłbym był przy niem pozjadać noże i widelce, nic o tem nie wiedząc.

* * *

Człowiek z niczem się tak łatwo nie oswaja, jak ze szczęściem. To wszystko, co się stało, było wprost szeregiem cudów, a w dwa dni później zdawało mi się rzeczą zupełnie naturalną, że Tola jest moją narzeczoną, zdawało mi się, że tak

być powinno i że mi się to należy — właśnie dla tego, że nikt jej tak nie kochał, jak ja.

* * *

Rozniosło się wreszcie po mieście, że zostałem narzeczonym, — i począłem odbierać życzenia od kolegów. Jeździliśmy z Tolą i jej rodzicami za miasto, przyczem wiele osób widziało nas razem. Pamiętam tę przejażdżkę doskonale. Tola, w paltociku »loutre« i w takimże toczku, wyglądała jak zjawisko, bo jej przezroczysta cera wydawała się jeszcze delikatniejsza przy ciemno-bronzowej barwie futerka. Wszyscy oglądali się za nami, i podziwiano ją tak, że niektórzy moi znajomi stawali jak wryci.

Za rogatkami, minąwszy sznur coraz niższych domów, wyjechaliśmy wreszcie na świat otwarty. Na polach między zagonami świeciła woda, w której długiemi smugami błyszczało światło. Łąki były całkiem zalane, zagaje bez liści, czuć jednak już było wiosnę. Przyszła wreszcie chwila zmro-

ku, w której w całym świecie jest wielki spokój. Taki spokój ogarnął wtedy i nas. Po wstrząsających wrażeniach dni poprzednich, czułem jakby wielkie i słodkie uciszenie. Przed sobą miałem kochaną twarz Toli, różową od wiatru, ale także skupioną i ukojoną w tej ciszy wieczornej. Umilkliśmy oboje i tylko patrzaliśmy na siebie, uśmiechając się kiedy niekiedy. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, co to jest szczęście zupełnie niezmącone. Będąc bardzo młodym i przeżywszy mało, nie miałem zapewne ciężkich grzechów na sumieniu, ale, jak każdy człowiek, nosiłem swoje brzemię win, zboczeń i przywar. Owóż w tej chwili to brzemię spadło mi z ramion. Nie czułem w sobie żadnej goryczy, najmniejszej niechęci do ludzi; gotów byłem każdemu przebaczyć, każdemu dopomódz, słowem: czułem się zupełnie odrodzony, jak gdyby miłość, zabrawszy mi całą duszę, wlała natomiast we mnie anioła.

I było tak dla tego, że mi pozwolono kochać i oddawano to drogie stworzenie,

które teraz siedziało naprzeciw mnie. Co większa, z tego samego powodu w tym powozie znajdowało się czworo ludzi, nietylko co się zowie szczęśliwych, ale lepszych, niż byli przedtem. Wszystkie małostki tego świata, liche ambicye, liche względy, wszystko to, co zniża i mierzi życie, co czyni je płaskiem i obłudnem, otrząsnęliśmy z siebie razem z poprzednią goryczą i zmartwieniem. Zaledwie rodzice Toli otworzyli dom temu błogosławionemu gościowi, natychmiast zaczęliśmy żyć szerzej i wyżej, niż poprzednio.

Więc nie mogło mi się w głowie pomieścić, dla czego ludzie tak często odpychają to jedyne, największe dobro życia.

Jeszcze zaś częściej marnują je. Mówiłem sobie w duszy tak: Znam te zdawkowe prawdy, krążące między ludźmi, jak fałszywa moneta, że miłość starzeje się, więdnie, przechodzi, mija, i że potem przyzwyczajenie jest wiązadłem między mężczyzną i kobietą. Otóż dowiodę, że to prawo stosuje się wyłącznie do ludzi głu-

pich, albo nędznych. Są dusze wybrane, które umieją się od niego uchylić; sam takie spotykałem na świecie, więc i ja chcę i będę do nich należał. Jeśli ten płomień dziś czyni mnie tak szczęśliwym, to przecie pierwszym moim obowiązkiem, sprawą najprostszego egoizmu jest, by nie wygasł, ani się nawet zmniejszył w przyszłości. Więc tę przyszłość wyzywam! ona ma czas, ja mam swoją wielką miłość i dobrą wolę. Żyć z Tolą i przestać ją kochać — zobaczymy!

Nagle opanowała mnie nieprzeparta chęć, by to życie rozpocząć jak najprędzej. Wiedziałem, że zwyczaje świata sprzeciwiają się temu, by narzeczeni brali ślub przed upływem wielu tygodni i miesięcy, ale przypomniałem sobie, że mam do czynienia z wyjątkowymi ludźmi. Zresztą byłem przekonany, że Tola mi w tem pomoże i postanowiłem wciągnąć ją do tej sprawy.

Więc gdy po powrocie do domu zostawiono nas samych, wyspowiadałem się jej z moich myśli. Słuchała z ogromną rado-

ścią. Zauważyłem, że nietylko sam projekt, ale nawet narada nad nim, mająca urok spisku między zakochanymi, zachwyca ją poprostu. Chwilami miała taką minkę, jak dziecko, któremu obiecują, że jakaś nadzwyczajna zabawa już niezadługo się odbędzie, i nie mogła się powstrzymać od tańcowania po pokoju. Tego wieczora jednak nie wspominaliśmy o tem, natomiast przy herbacie opowiadałem o moich nadziejach na przyszłość i o drogach, które się przede mną otwierają. Rodzice słuchali mnie tak, jakby te nadzieje były już spełnione. Gdybym mógł przypuścić, że ci ludzie gołębiej prostoty czynią coś przez politykę, musiałbym przyznać, że to jest najlepsza polityka, albowiem, widząc ich wiarę, i ufność, powiedziałem sobie: Nie zrobię wam zawodu, choćbym miał głową nałożyć!

Wyszedłem późno. Tola wybiegła za mną i jeszcze w przedpokoju powtarzała półgłosem:

— Dobrze! dobrze! Po co marudzić? nie

lubię marudztwa! dobrze! dobranoc. Boję się tylko mamy, bo mamie będzie chodziło o wyprawę.

Niebardzo istotnie rozumiałem, dla czego się robi wyprawę, skoro panny muszą przecie i jako panny mieć pewien zapas ubiorów, ale swoją drogą, wszystkie tego rodzaju wyrazy, stwierdzające niejako, że nie śnię, że się naprawdę z Tolą żenię, uszczęśliwiały mnie do wysokiego stopnia. Wracając do domu, powtarzałem mimowoli: Wyprawa! wyprawa! — nie przewiduję, by z jej powodu mogły wyniknąć jakieś poważne trudności. Widziałem jednak oczyma duszy mnóstwo sukienek jasnych, pstrych, ciemnych i kochałem się w każdej po kolei. Przyszło mi wówczas na myśl, że i mnie wypada urządzić dom na przyjęcie Toli. Znajdowałem nową rozkosz w tej myśli. Brakło mi trochę pieniędzy, ale postanowiłem mimo tego urządzić wszystko jak najprędzej. W nocy nie mogłem spać, albowiem miałem pełną głowę sukienek, szaf, stolików, krzeseł i t. d.

Dawniej nie sypiałem ze zmartwienia, potem ze szczęścia.

* * *

Nazajutrz byłem u stolarza. W lot zrozumiał, o co mi chodzi. Pokazywał mi rozmaite meble, na których widok ujrzałem dotykalniej moje przyszłe pożycie z Tolą. Nibym także to wszystko wiedział, ale dostałem bicia serca. Stolarz radził ściany pomalować, bo papierowe obicia musiałyby schnąć długo. Uczynny ten człowiek obiecał mi za odpowiedniem wynagrodzeniem sam się tem zająć.

Poszedłem od niego do dwóch kolegów, z którymi żyłem najbliżej, prosić ich o drużbów. Z rodziny nie miałem żywego ducha. Życzenia ich i uściski pomieszały się w głowie mojej z innemi wrażeniami i utworzyły prawdziwy chaos.

* * *

Tolę zastałem w salonie. Ledwiem zdążył ucałować jej ręce, wspięła się na

palcach do mego ucha i szepnęła jedno słowo:

— Pozwolili!

Ostatni cień na mojem szczęściu zniknął. Od Toli biła również radość, jak światło. Poczęliśmy chodzić po pokoju pod rękę i rozmawiać. Opowiadała mi, jak się wszystko odbyło.

— Mama z początku powiedziała, że to jest rzecz niemożliwa, a potem mówiła tak: »Ty nawet nie rozumiesz, jak dalece to nie wypada, żeby panience było pilno do wesela...« Wtedy ja odpowiedziałam, że nam obojgu pilno. Mama poczęła podnosić oczy do sufitu i ruszać ramionami, a ojciec, śmiejąc się, przygarnął mnie do siebie i począł całować w głowę, a nawet po ręku, mama zaś powiedziała: »Tyś zawsze był dla niej słaby — a trzeba przecie trochę i na świat uważać«.

Dopiero tatuś odpowiedział: »Świat! świat!... Świat im nie da szczęścia, tylko sami je sobie dadzą; i tak zrobiliśmy wszystko światu na opak — niechże będzie do końca tak samo. Teraz jest

post — ale zaraz po świętach mogą się pobrać, a wyprawę później się dokończy«.

Mama ustąpiła, bo ojciec zawsze na swojem postawi... (Pewno i pan taki będzie). Zaczęłam też tak mamę ściskać, że nie dałam jej przyjść do słowa. Później dopiero powtarzała: »Wszystko po waryacku!« Ale ostatecznie postawiłam na swojem. Czy pan zadowolony?

Byłem tak zakochany, czy tak nieśmiały, że nigdy dotąd nie zdobyłem się na chwycenie jej w ramiona. Teraz po raz pierwszy chciałem ją objąć, ale ona usunęła się lekko, mówiąc:

— To tak miło chodzić pod rękę... jak grzeczne dzieci.

I chodziliśmy dalej. Powiedziałem jej, żem już o mieszkaniu pomyślał i że kazałem ściany pomalować nie olejno, bo to bardzo drogo wypada, ale jakąś farbą zupełnie do olejnej podobną, która prędko schnie. — Tola powtórzyła: »Prędko schnie...« i niewiadomo dlaczego poczęliśmy się śmiać oboje, prawdopodobnie z tego powodu, że

się wspólna radość i szczęście nie mogły w nas pomieścić. Ułożyliśmy się następnie, że salonik będzie czerwony, bo choć to pospolite, ale na czerwonem tle głowy odbijają się doskonale. Jadalny miał być w jasno-zielone kafelki, naśladujące fajans, a o innych nie zdążyliśmy się rozmówić, bo Toli rozwiązał się bucik i poszła go zawiązać do drugiego pokoju.

Po chwili wróciła z ojcem, który nazwał mnie paliwodą i Tatarzynem, ale zarazem obiecał, że ślub nasz odbędzie się we wtorek po świętach...

* * *

W pierwszych dniach miłość nasza była ciągłem wzruszeniem i miała ustawicznie łzy w oczach, ale potem rozkwitła wesoło, jak kwiat na wiosnę. Śmieliśmy się teraz po całych dniach.

* * *

Z powodu późnych świąt, wiosna czyniła się też na świecie. Drzewa były w pą-

kach. Przed wielkim tygodniem składaliśmy z Tolą i rodzicami wizyty. Oglądano mnie wszędzie z ciekawością, aż było mi czasem ciężko. Niektóre starsze panie przykładały na mój widok lornetki do oczu. Ale trzeba to było odbyć. Tola, wyświeżona i wesoła jak ptak, wynagradzała mi stokrotnie te kłopotliwe moje wizyty.

* * *

Sam pilnowałem malowania pokojów. Z powodu pogody schło wszystko w mgnieniu oka. Sypialny kazałem pomalować różowo.

* * *

Z każdym dniem kochałem Tolinkę więcej. Teraz byłem pewien, że gdyby nawet zmieniła się, gdyby nawet zbrzydła, powiedziałbym sobie: »Dotknęło *mnie* nieszczęście«, ale kochać bym jej nie przestał. Człowiek w takim stanie oddaje się do tego stopnia kobiecie kochanej, że nie wie, gdzie się kończy jego *ja*.

* * *

Często bawiliśmy się jak dzieci; czasem przekomarzaliśmy się z sobą. Gdy naprzykład, przyszedłszy rano, zastawałem ją samą, zaczynałem rozpatrywać się po pokoju, niby jej nie widząc — i szukać, i pytać: »Niema tu kogo zakochanego?« — a ona, rozglądając się po kątach i trzęsąc swoją jasną główką, odpowiadała: »Nie! chyba niema!...« »A ta panienka?« — »Ta, to może trochę!« — Po chwili zaś dodawała, szepcząc: »A może i bardzo!«

Nowe uczucie wplotło się teraz w moją miłość. Otom nietylko Tolę kochał, alem ją polubił nadewszystko. Przepadałem za jej towarzystwem. Mogłem spędzać z nią całe godziny na rozmowie o byle czem, Czasem rozmawialiśmy i poważnie o naszej przyszłości, choć wogóle unikałem wszelkich roztrząsań i teoryi na temat, jakiem małżeństwo być powinno. Myślałem bowiem tak: czemu mam zamykać w powzięte z góry formuły to, co powinno wynikać samo przez się z miłości? Kwia-

tom nie potrzeba także wykładać teoryi, jak się kwitnie.

* * *

Wielki Piątek przeszedł cichy, posępny. Na ulicach była mgła i padał drobniuchny deszcz. Chodziliśmy z rodzicami i z Tolą po grobach i składaliśmy, co tam które mogło, na tace kwestarek. Tola, czarno ubrana, pogodna, ale pełna spokoju i powagi, wydawała mi się tak piękna, jak nigdy dotąd. Chwilami w mroku kościelnym, albo przy odblyskach świec miała twarz zupełnie anielską. Tego dnia zaziębiła się nieco, ja zaś latałem po wszystkich sklepach za starą malagą, którą ktoś doradził jej pić.

* * *

Święta spędziłem u rodziców Toli. Nie mając nikogo z własnej rodziny, pierwszy raz zrozumiałem, co to jest mieć swoich drogich i być dla kogoś drogim. W drugie święto wiosna uczyniła się zupełna.

Z domem przyszedłem jeszcze przed świę-

tami do jakiego takiego porządku. Ogródek począł się zielenić, stare czereśnie rozkwitły.

Również jeszcze przed świętami wyszła z druku moja rozprawa doktorska o Neoplatonikach. Tola zabrała się do czytania jej. Biedactwo mrugało oczyma, kręciło główką, ale czytało przez poczucie obowiązku.

* * *

A oto cisną mi się do głowy wspomnienia — nie, — raczej obrazy naszego ślubu — pomieszane, bezładne, przepełnione pojedyńczemi wrażeniami, nieco gorączkowe. Widzę wszędy pełno kwiatów: na schodach i w pokojach. W domu bieganina, przybywanie gości, mnóstwo obcych, lub mało znanych twarzy. W salonie Tola, przybrana w białą suknię z welonem — śliczna jak zjawisko, ale jakaś inna, niż zwykle, bardziej uroczysta, jakby mniej mi blizka. Zostało mi wrażenie jakiegoś pośpiechu i niepokoju. Wszystko, co nastąpiło po wyjeździe do kościoła, przedstawia mi się w zamieszaniu: kościół, ołtarz, świece

przy ołtarzu, po bokach jasne toalety kobiet, zaciekawione oczy, szepty. Klęknąwszy z Tolą przed ołtarzem, podaliśmy sobie ręce, jakby do powitania, i po chwili rozległy się głosy nasze — a brzmiące jak obce: »Ja biorę ciebie sobie...« etc. Słyszę dotąd organy i ogromnie donośny śpiew, który wybuchnął na chórze tak nagle, jak wodotrysk: »Veni Creator...« Wyjścia z kościoła nie pamiętam zupełnie, a z wesela tkwią mi w pamięci: błogosławieństwo rodziców i wieczerza. Tola siedziała przy mnie i przypominam sobie, że co chwila przykładała ręce do policzków, które ją paliły bardzo. Przez bukiety na stole widziałem rozmaite twarze, którychbym dziś nie poznał. Pito nasze zdrowie z wielkim brzękiem szkła i z wielkim gwarem. Koło północy zabrałem żonę do domu.

Z tej drogi zostanie mi na zawsze w pamięci wspomnienie jej głowy, opartej o moje ramię, i jej białego woalu, pachnącego fijołkami.

* * *

Nazajutrz czekałem na nią z herbatą w jadalnym pokoju; ona tymczasem ubrawszy się, wyszła drugiemi drzwiami do ogrodu, ujrzałem ją bowiem przez okno na tle kwitnących czereśni. Pobiegłem natychmiast za nią, lecz ona, odwróciwszy się, przysunęła głowę do pnia, jakby chcąc się schować przede mną.

Myślałem, że to żarty, więc zaszedłszy cicho, objąłem ją wpół i rzekłem:

— Dzień dobry. A kto to się chowa przed mężem? Co tu robisz?

Wtem spostrzegłem, że ona zaczerwieniła się naprawdę, że unika mego wzroku i istotnie odwraca się odemnie.

— Co tobie, Tolu? — spytałem.

— Bo ja patrzę... — odrzekła cała zmieszana — że wiatr otrząsa kwiaty z wisień...

— A niech je sobie i porwie — odpowiedziałem — byleś ty mi została...

I przechyliłem jej twarz ku mojej, a ona poczęła szeptać z przymkniętemi oczyma:

— Nie patrz na mnie, idź sobie...

Ale jednocześnie usta jej wyciągnęły się

ku mnie prawie namiętnie, ja zaś wpiłem się w nie z uniesieniem.

A wiatr począł rzeczywiście sypać białe kwiaty na nasze głowy.

Zbudziwszy się, ujrzałem gołe ściany mojej izby. Miałem tyfus — i bardzo ciężki. Dwa tygodnie leżałem bez przytomności w gorączce...

Ale i gorącem bywa czasem miłosierdzie boże.

Oprzytomniawszy, dowiedziałem się, że rodzice panny Antoniny wyjechali razem z nią do Wenecyi...

A ja zaś, samotny jak dawniej, kończę dziwnem może wyznaniem. Oto byłem jednak w moich widzeniach tak niezmiernie szczęśliwy, że, zacząwszy zrazu dlatego tylko pisać, by mi owa ironia życia nie przepadła, zamykam powyższe wspomnienie bez żalu i z dawną wiarą, że ze wszystkich źródeł szczęścia, to, z którego piłem w gorączce, jest najczystsze i najprawdziwsze.

Takie życie, którego miłość, nawet jako sen, nie nawiedzi, — jest jeszcze gorsze.

LUX IN TENEBRIS LUCET

Przychodzą czasem jesienią, zwłaszcza w listopadzie, dni tak wilgotne, ciemne i posępne, że nawet zdrowemu człowiekowi życie się przykrzy. Od czasu jak Kamionka uczuł się niezdrów i przestał pracować nad posągiem »Miłosierdzia«, niepogoda taka dokuczała mu więcej od samej choroby. Co rano, zwlókłszy się z łóżka, przecierał spotniałe wielkie okno pracowni i spoglądał do góry, w nadziei, że zobaczy choć skrawek błękitnego nieba; ale co rano czekał go zawód. Ciężka ołowiana mgła wisiała nad ziemią; deszcz nie padał, a mimo tego nawet brukowe kamienie na podwórzu wyglądały, jak gąbki nasiąkłe wodą; wszystko było mokre, oślizgłe, przejęte na wskroś wilgocią, której pojedyncze krople, spadając z zagięcia rynien, dzwoniły z jakąś

rozpaczliwą jednostajnością, jakby odmierzając ów wlokący się leniwie czas smutku.

Okno pracowni wychodziło na podwórze, zakończone z tyłu ogrodem. Trawa za sztachetami zieleniła się jeszcze jakąś chorą zielonością, w której tkwiła śmierć i zgnilizna; ale drzewa z resztkami żół tych liści, o gałęziach czarnych od wilgoci, a zarazem nieco zatartych przez mgłę, wydawały się już zupełnie obumarłe. Co wieczór rozlegało się między niemi krakanie wron, które z lasów i pól ściągały już na zimowe leże do miasta i z wielkiem łopotaniem skrzydeł sadowiły się na nocleg wśród konarów.

Pracownia w podobne dni stawała się tak ponura jak kostnica. Marmur i gips potrzebują błękitu, w takiem zaś ołowianem oświetleniu, białość ich miała w sobie coś żałobnego; postacie z ciemnej terrakoty, tracąc wszelką wyrazistość linii, zmieniały się w jakieś kształty nieokreślone i prawie straszne.

Brud i nieład dodawały smutku pracowni.

Na podłodze leżał grubą warstwą kurz, utworzony z rozdeptanych okruchów zeschłej terrakoty i z błota naniesionego z ulicy. Ściany były mroczne, przybrane tylko tu i owdzie gipsowymi modelami rąk i nóg; zresztą puste; niedaleko od okna wisiało małe lustro, nad niem czaszka końska i bukiet makartowskich kwiatów, zupełnie poczerniały od kurzu.

W kącie stało łóżko pokryte kołdrą starą i pomiętą, przy niem szafka nocna z żelaznym lichtarzem. Kamionka przez oszczędność nie trzymał osobnego mieszkania i sypiał w pracowni. Zwyczajne łóżko zasłonione było parawanem, ale teraz parawan był odstawiony, w tym celu, by choremu łatwiej było spoglądać w okno leżące wprost jego nóg, i patrzeć, czy się nie wypogadza. Drugie, jeszcze większe okno wycięte w pułapie pracowni, było tak pokryte zewnątrz kurzem, że nawet w jasne dni wchodziło przez nie światło szare i smutne.

Nie wypogadzało się jednak. Po kilku

dniach ciemności chmury zniżyły się zupełnie, powietrze nasiąknęło do reszty wilgotną, ciężką mgłą i uczyniło się jeszcze ciemniej. Kamionka, który dotychczas pokładał się tylko na łóżku w ubraniu, uczuł się gorzej, więc rozebrał się i położył na dobre.

Właściwie mówiąc, nie był on tyle chory na jakąś określoną chorobę, ile przygnębiony, zniechęcony, wyczerpany i smutny. Ogólne osłabienie ścięło go z nóg. Nie miał ochoty umrzeć, ale też nie czuł w sobie sił do życia.

Długie godziny mrocznego dnia wydawały mu się tem dłuższe, że nie miał przy sobie nikogo. Żona jego umarła przed laty dwudziestu, krewni mieszkali w innej części kraju, a z kolegami nie żył. W ostatnich latach znajomi poodsuwali się od niego, z powodu coraz wzrastającej w nim zgryźliwości. Z początku to jego usposobienie bawiło ludzi, ale następnie, gdy stawał się coraz większym dziwakiem, i gdy każdy żart począł w nim budzić

długotrwałą urazę, nawet najbliżsi pozrywali z nim stosunki.

Brano mu także za złe, że z wiekiem stał się pobożnym i podejrzewano jego szczerość. Złośliwi mówili, że przesiaduje po kościołach dlatego, by przez stosunki z księżmi wyrobić sobie zamówienia do kościołów. Nie była to zresztą prawda. Pobożność jego nie płynęła może z głębokiej i spokojnej wiary, ale była bezinteresowna.

Co jednak dawało pozory słuszności posądzeniom, to wzmagające się coraz bardziej w Kamionce skąpstwo. Od kilku lat zamieszkał przez oszczędność w pracowni; żywił się, Bóg wie czem i zrujnował sobie zdrowie do tego stopnia, że w końcu twarz jego stała się tak przeźroczysta i żółta, jakby była ulepiona z wosku. Ludzi unikał także i dlatego, by czasem nie zażądał kto od niego jakiejkolwiek przysługi.

Wogóle był to człowiek z charakterem zwichniętym, zgorzkniały i nadzwyczaj

nieszczęśliwy. A jednak nie była to natura z gruntu pospolita, gdyż nawet wady jego miały właściwe sobie artystyczne cechy. Ci, którzy sądzili, że przy swem skąpstwie musiał zebrać znaczny majątek, mylili się. Kamionka był naprawdę człowieckiem ubogim, albowiem wszystko co posiadał, wydawał na akwaforty, których miał całą tekę na dnie szafy, a które od czasu do czasu przeglądał i liczył z ostrożnościami i chciwością lichwiarza, liczącego pieniądze. Z zamiłowaniem tem ukrywał się jak najstaranniej, może właśnie dlatego, że wyrosło na gruncie wielkiego nieszczęścia i wielkiego uczucia.

Raz, mniej więcej w rok po śmierci żony, zobaczył u antykwaryusza stary sztych, wyobrażający Armidę — i w twarzy Armidy dopatrzył się podobieństwa do twarzy swej zmarłej. Sztych ten nabył zaraz i od tej pory począł szukać miedziorytów, z początku, przedstawiających tylko Armidy, następnie, w miarę jak zamiłowanie w nim wzrastało — i wszelkich innych.

Ludzie, którzy stracili istoty bardzo kochane, muszą zaczepić życie o byle co, inaczej nie mogliby istnieć. Co do Kamionki, niktby się nie domyślił, że ten podstarzały dziwak i egoista kochał niegdyś nad życie swoją żonę. Prawdopodobnie też, gdyby nie była umarła, życie jego popłynęłoby pogodniej, szerzej i bardziej po ludzku. Bądź co bądź, miłość ta przeżyła w Kamionce i jego szczęśliwe czasy i jego młodość i nawet jego talent.

Pobożność, która z biegiem lat zmieniła się w nim na zwyczaj, polegający na zachowywaniu form zewnętrznych, wypłynęła również z tego samego źródła. Kamionka, nie należąc do ludzi głęboko wierzących, począł jednak po śmierci żony modlić się za nią, bo mu się zdawało, że to jest jedyna rzecz, którą może dla niej uczynić, i że w ten sposób jeszcze go jakaś nić z nią łączy.

Natury pozornie zimne umieją często kochać i nader mocno i trwale. Po śmierci żony, całkowite życie Kamionki i wszyst-

kie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niej i czerpały z niego pokarm, zupełnie jak pasożytna roślina czerpie pokarm z pnia, na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute soki, złożone z żalu i ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał.

Gdyby nie był artystą, prawdopodobnie nie przeżyłby swej straty, ale powołanie ocaliło go w ten sposób, że po śmierci żony począł rzeźbić dla niej pomnik. Próżno żywym mówić, że dla umarłych wszystko jedno, w jakich grobach leżą. Kamionka chciał, by jego Zosi było tam pięknie — i pracował nad jej pomnikiem tyle samo sercem, ile rękoma. To sprawiło, że przez pierwsze pół roku nie dostał pomieszania zmysłów i że zżył się z rozpaczą.

Człowiek pozostał zwichnięty i nieszczęśliwy, ale sztuka ocaliła artystę. Od tej pory Kamionka istniał przez nią. Ludzie, którzy po galeryach przypatrują się obrazom i posągom, nie domyślają się, że ar-

tysta może służyć sztuce uczciwie lub nieuczciwie. Pod tym względem Kamionka był bez zarzutu. Nie miał on skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent nieco wyższy nad średnią miarę, i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić — ale ją głęboko szanował i zawsze był względem niej szczery. Przez długie lata swego zawodu nie oszukał i nie ukrzywdził jej nigdy, ani dla sławy, ani dla pokupu, ani dla pochwał, ani dla przygan. Tworzył zawsze tak, jak czuł. Za swych szczęśliwych czasów, gdy żył jak każdy inny człowiek, umiał rozpowiadać o sztuce rzeczy zupełnie niepowszednie, a i potem, gdy już poczęto od niego stronić, rozmyślał nieraz o niej w swojej samotnej pracowni w sposób uczciwy i wysoki.

Czuł się ogromnie opuszczony, ale nie było w tem nic dziwnego. Stosunki ludzkie muszą mieć jakąś średnią modłę, na mocy której, ludzie wyjątkowo nieszczęśliwi bywają z życia wyłączani. I z tej

samej przyczyny, porastają tak dziwactwem i wadami, jak kamień wyrzucony z potoku porasta mchem, gdy przestanie ocierać się o inne. Teraz gdy Kamionka zachorował, żadna żywa dusza nie zajrzała do jego pracowni, z wyjątkiem posługaczki, która dwa razy dziennie przychodziła nastawić i podać mu herbatę. Za każdem przyjściem radziła mu, aby wezwał lekarza, lecz on, bojąc się wydatku, nie chciał się na to zgodzić.

Nakoniec zesłabł bardzo, może dlatego, że nic nie brał do ust, prócz herbaty. Ale on do niczego nie miał już ochoty, ani do jedzenia, ani do pracy, ani do życia. Myśli jego były tak zwiędłe, jak owe liście, na które spoglądał przez okno, i odpowiadały zupełnie tej jesieni, tej słocie i tym ołowianym ciemnościom. Niema gorszych chwil na świecie, nad takie, w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył i że mu się już nic w życiu nie należy. Kamionka od lat blizko piętnastu żył w cią-

głym wewnętrznym niepokoju, że jego talent wyczerpuje się. Obecnie był tego pewien i z goryczą myślał, że nawet i sztuka go opuszcza. Czuł przytem wyczerpanie i znużenie w każdej kości. Nie spodziewał się rychłej śmierci, ale nie wierzył w swój powrót do zdrowia. Wogóle nie było w nim ani jednej iskry nadziei.

Jeśli sobie jeszcze czegoś teraz życzył, to chyba tego, by się wypogodziło i by słońce zaświeciło w pracowni. Sądził nawet, że w takim razie nabrałby może jakiejkolwiek otuchy. Zawsze był on szczególnie wrażliwy na słotę, ciemności, zawsze takie dni powiększały jego smutek i pognębienie, a cóż dopiero teraz, gdy ów czas, jak go Kamionka nazywał: beznadziejny, przyszedł w towarzystwie choroby!

Co rano też, gdy posługaczka przychodziła z herbatą, Kamionka pytał:

— A nie przeciera się tam gdzie po brzegach?

— Ale! — odpowiadała stróżka: — mgła taka, że człowiek człowieka nie widzi.

Chory, usłyszawszy odpowiedź, przymykał oczy i pozostawał długie godziny bez ruchu.

Na podwórzu było ciągle cicho, tylko krople deszczu dzwoniły równo i jednostajnie w rynnach.

O godzinie trzeciej popołudniu robiło się już tak ciemno, że Kamionka musiał zapalać świecę. Z powodu osłabienia przychodziło mu to z niemałą trudnością. Naprzód, nim sięgnął po zapałki, namyślał się czas dłuższy; potem wyciągał leniwie ramiona, których chudość, widoczna przez rękawy koszuli, napełniała go jako rzeźbiarza wstrętem i goryczą; potem zapaliwszy światło, wypoczywał znów nieruchomie, aż do wieczornego przyjścia stróżki słuchając z przymkniętemi oczyma kropel dzwoniących w rynnach.

Dziwnie wówczas wyglądała pracownia. Płomień świecy oświetlał łóżko i leżącego w niem Kamionkę, zbierając się w błysz-

czący punkt na jego czole, obciągniętem skórą suchą i żółtą, jakby wypolerowaną. Reszta izby pogrążała się w mroku, który z każdą chwilą czynił się gęstszy. Ale w miarę jak na dworze ciemniało, posągi stawały się coraz różowsze i nabierały życia. Płomień świecy to zniżał się, to podnosił, a w tym drgającym blasku i one zdawały się to zniżać, to podnosić, zupełnie tak, jakby wspinały się na palce, chcąc lepiej spojrzeć w wychudłą twarz rzeźbiarza i przekonać się, czy ich twórca żyje jeszcze.

I rzeczywiście była w tej twarzy pewna nieruchomość śmierci. Ale kiedy niekiedy sinawe usta chorego poruszały się lekkim ruchem, jakby się modlił, albo jakby klął swoje opuszczenie i te utrapione krople wilgoci, które zawsze tak samo równo i jednostajnie odmierzały mu godziny choroby.

Pewnego wieczoru, stróżka przyszedłszy nieco pijana, zatem rozmowniejsza niż zwykle, rzekła:

— Na mojej głowie tyle roboty, że le-

dwie dwa razy w dzień mogę zajrzeć. Wziąłby ot sobie panisko zakonnicę, bo siostra i nic nie kosztuje i najlepiej choremu wygodzi.

Kamionce podobała się ta rada, ale jak zwykle ludzie zgryźliwi, miał zwyczaj sprzeciwiać się zawsze temu, co mu doradzano, więc się nie zgodził.

Jednakże po odejściu stróżki począł o tem rozmyślać. Siostra miłosierdzia!... prawda! Nic nie kosztuje, a jaka przytem pomoc i wygoda! Kamionka, jak każdy chory, pozostawiony samemu sobie, doznawał mnóstwa przykrości i walczył z tysiącami małych nędz, które mu równie dokuczały, jak go niecierpliwiły. Nieraz leżał z głową przekrzywioną niewygodnie po całych godzinach, nim się zebrał na poprawienie sobie poduszki; nieraz w nocy robiło mu się zimno, i byłby dał Bóg wie co za szklankę gorącej herbaty; ale jeśli zapalenie świecy przychodziło mu z trudem, jakże mu było myśleć o zagotowaniu sobie wody? Siostra miłosierdzia czyniłaby to wszystko ze zwy-

kłą siostrom łagodną skwapliwością. O ileż lżej chorować przy takiej pomocy!

Biedaczysko doszedł wreszcie do tego, że o chorobie w takich warunkach począł myśleć jak o czemś pożądanem i pomyślnem i dziwił się w duszy, że nawet dla niego takie szczęście jest dostępne.

Zdawało mu się także, że gdyby siostra nadeszła i wniosła z sobą trochę wesołości i otuchy do pracowni, to może wypogodziłoby się także i na dworze i te dzwoniące krople wilgoci przestałyby go prześladować.

Zdjął go w końcu żal, że odrazu nie zgodził się na radę stróżki. Zbliżała się noc długa i posępna, a stróżka miała do niego zajrzeć dopiero następnego rana. Teraz zrozumiał, że ta noc będzie dla niego cięższa, niż wszystkie poprzednie.

Potem przyszło mu do głowy, jaki jednak wielki z niego Łazarz — i w przeciwstawieniu do dzisiejszej nędzy, dawne, szczęśliwsze lata życia stanęły mu jakby żywe przed oczyma. A jak przed chwilą myśl o zakonnicy, tak teraz wspomnienie

o owych latach połączyło się znów w ten sam dziwny sposób w jego osłabionym mózgu z pojęciem słońca, światła i pogody.

Począł rozmyślać o swojej zmarłej i rozmawiać z nią, jak to miał zwyczaj zawsze czynić, gdy mu było bardzo źle. W końcu zmęczył się, uczuł, że słabnie i usnął.

Świeca stojąca na szafce nocnej dopalała się zwolna. Płomień jej z różowego stał się błękitny, potem błysnął mocno kilkakroć i zgasł. Ciemność zupełnie objęła pracownię.

A tymczasem na dworze krople wilgoci spadały wciąż równo i tak posępnie, jakby przez nie dystylował się mrok i smutek całej natury.

Kamionka spał długo lekkim snem, lecz nagle zbudził się z jakiemś dziwnem wrażeniem, że coś niezwykłego się dzieje w pracowni. Na świecie był brzask. Marmury i gipsy poczęły się bielić. Szerokie, weneckie okno, leżące wprost łóżka, nasiąkało coraz bardziej bladem światłem.

W tem oświetleniu ujrzał Kamionka jakąś postać siedzącą przy łóżku.

Otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w nią: była to siostra miłosierdzia.

Siedziała ona nieruchomie, zwrócona nieco ku oknu i z głową pochyloną. Ręce jej były złożone na kolanach — i zdawała się modlić. Chory nie mógł dojrzeć jej twarzy; widział natomiast wyraźnie biały jej kornet i ciemny zarys ramion, trochę wątłych.

Serce poczęło mu bić jakoś niespokojnie, a przez głowę przemknęły pytania:

— Kiedy stróżka mogła sprowadzić tę siostrę i jak ona tu weszła?

Następnie pomyślał, że może z osłabienia coś mu się wydaje, i przymknął oczy.

Lecz po chwili otworzył je znowu.

Siostra siedziała zawsze na temsamem miejscu, nieruchoma, jakby pogrążona w modlitwie.

Dziwne uczucie, złożone z przestrachu i z wielkiej radości, poczęło podnosić włosy na głowie chorego. Coś ciągnęło jego wzrok z niepojętą siłą ku tej postaci. Zdawało mu się, że ją już niegdyś widział, ale gdzie i kiedy? — nie pamiętał. Chwyciła go nie-

pohamowana chęć zobaczenia jej twarzy, ale biały kornet zasłaniał ją, Kamionka zaś, sam nie wiedząc dlaczego, nie śmiał ani odezwać się, ani poruszyć, ani prawie odetchnąć. Czuł tylko, że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz silniej i ze zdumieniem pytał sam siebie: co to jest?

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. I co za cudny poranek musiał tam być na dworze! Nagle bez żadnych przejść, weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w tej jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie — i Kamionka znalazł się jakby w jakiej świetlanej przestrzeni bez granic.

Wtem spostrzegł, że i kornet na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

Zakonnica zwróciła zwolna twarz ku choremu — i nagle ów opuszczony nędzarz ujrzał w świetlanej aureoli znajome, stokroć ukochane rysy swej zmarłej.

Wówczas zerwał się z łóżka, a z piersi jego wydarł się krzyk, w którym były całe lata łez, żalu, zmartwienia i rozpaczy:

— Zosia! Zosia!

I chwyciwszy ją, tulił do siebie, a ona również zarzuciła mu ręce na szyję.

Światło napływało coraz więcej.

— Nie zapomniałeś o mnie, — rzekła wreszcie — więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.

Kamionka wciąż trzymał ją w ramionach, jakby w obawie, że błogosławione widzenie zniknie mu razem z tem światłem.

— Jam gotów umrzeć, — odpowiedział — byleś została przy mnie.

Ona uśmiechnęła się do niego anielskim uśmiechem i odejmując jedną rękę z jego szyi, wskazała nią na dół i rzekła:

— Tyś już umarł: patrz tam!

Kamionka spojrzał w kierunku jej ręki

i hen, pod stopami, ujrzał przez okno w pułapie wnętrze swej pracowni mrocznej, samotnej; w niej na łóżku leżał jego własny trup z szeroko otwartemi ustami, które w wyżółkłej twarzy tworzyły jakby czarną jamę.

I patrzał na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą po chwili poczęło mu wszystko ginąć z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność...

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA

LEGENDA INDYJSKA

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Kryszna zamyślił się głękoko i rzekł:

— Myślałem że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi — i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, kołysany nocnym powiewiem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak niema między ludźmi nic podobnego, — powtórzył z westchnieniem.

Ale po chwili pomyślał:

— Dlaczego bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, która by była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewicę i stań przedemną.

Zadrżała wnet leciuchno fala, jakby trącona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniej nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora, — rzekł — bądź odtąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem.

— Panie! zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać każesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdym tchnieniem wiatrów. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać każesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, panie!

— Chcesz stepów bez końca?

— O panie! wichry i burze tratują stepy nakształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić kwiecie wcielony?... Ha! w pieczarach Ellory żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać zdala od świata w pieczarze?

— Ciemno tam, panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na ręku. Dziewczyna stała przed nim drżąca i przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłociła się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali w la-

sach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających lijany i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrzawszy wcielony lotus, przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnem dziełem i rzekł:

— Zbudź się, Walmiki i przemów.

I Walmiki przemówił:

— ..... Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno, — znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkaj w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— ..... Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystem jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją, niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony, — spytał, — czy i serca poety się boisz?

— Panie, — odpowiedziała dziewczyna, — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednem sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł:

— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi;

jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

PÓJDŹMY ZA NIM!

I.

Kajus Septimus Cinna był patrycyuszem rzymskim. Młodość spędził w legionach i twardem obozowem życiu. Później, wrócił do Rzymu, by używać sławy, rozkoszy i wielkiego, lubo już nieco zachwianego majątku. Użył też wówczas i nadużył wszystkiego, co dać mogło olbrzymie miasto. Noce spędził na ucztach we wspaniałych podmiejskich willach; dni schodziły mu na szermierkach u lanistów, na rozmowach z retorami w tepidaryach, gdzie prowadzono dysputy, a przy tem opowiadano plotki z miasta i świata, — w cyrkach, na wyścigach lub zapasach gladyatorów, — wśród lutnistów greckich, wśród wróżek trackich i cudnych tancerek, sprowadzonych z wysp Archipelagu. Krewny

przez matkę sławnego niegdyś Lukulla, odziedziczył po nim zamiłowanie do wytwornego jadła. Na stołach jego podawano greckie wina, ostrygi z Neapolis, koszatki z Numidyi i tłuste szarańcze, duszone na miodzie z Pontu. Wszystko co posiadał Rzym, musiał posiadać i Cinna, począwszy od ryb z morza Czerwonego, aż do białych pardw z nad brzegów Borestynu. Używał on jednak nietylko jak żołnierz, który szaleje, ale jak patrycyusz, który przebiera. Wmówił w siebie, a może i wzbudził zamiłowanie do rzeczy pięknych: do posążków, wydobywanych ze zgliszcz Koryntu, do epilychniów z Attyki, do waz etruskich lub sprowadzanych z mglistego Sericum, do mozaik rzymskich, do tkanin z nad Eufratu, do arabskich wonności i tych wszystkich osobliwych drobiazgów, które wypełniały czczość patrycyuszowskiego życia. Umiał też o nich rozmawiać, jak znawca i miłośnik, z bezzębnymi starcami, którzy przyozdabiali do stołu łysiny w wieńce z róż, a po ucztach żuli kwiat

heliotropu, by oddech płuc uczynić wonnym. Odczuwał również piękność Cyceronowskiego okresu, wiersz Horacego lub Owidyusza. Wychowany przez retora Ateńczyka, mówił biegle po grecku, umiał na pamięć całe ustępy z »Iliady« i w czasie uczt mógł śpiewać tak długo pieśni Anakreonta, dopóki się nie spił, lub nie ochrypł. Przez swego mistrza i innych retorów, otarł się o filozofię i zapoznał się z nią o tyle, że rozumiał architekturę różnych umysłowych gmachów, powznoszonych w Helladzie i Osadach; rozumiał i to również, że wszystkie leżały w gruzach. Znał osobiście wielu stoików, do których żywił niechęć, uważał ich bowiem raczej za partyę polityczną, a prócz tego za tetryków, przeciwnych wesołemu życiu. Sceptycy zasiadali często przy jego stole, obalając między potrawami całe systemy i głosząc, przy kraterach napełnionych winem, że rozkosz jest marnością, prawda czemś niedoścignionem, i że celem mędrca może być jedynie martwy spokój.

Wszystko to obijało się o jego uszy, nie wnikając do głębi. Nie wyznawał on żadnych zasad i nie chciał ich mieć. W postaci Katona widział skojarzenie się wielkiego charakteru z wielką głupotą. Życie uważał za morze, na którem wieją wiatry, dokąd chcą — a mądrością była dla niego sztuka nadstawiania im żagla tak, by łódź popychały. Prócz tego, cenił szerokie ramiona, które posiadał, zdrowy żołądek, który posiadał, i piękną rzymską głowę o orlim profilu i potężnych szczękach, którą posiadał. Był też pewny, że z tem można jakoś przejść przez życie.

Nie należąc do szkoły sceptyków, był życiowym sceptykiem, ale zarazem hedonikiem, chociaż wiedział, że rozkosz nie jest szczęściem. Prawdziwej nauki Epikura nie znał, skutkiem czego sam poczytywał się za Epikurejczyka. Wogóle na filozofię patrzał, jak na umysłową szermierkę, równie dobrą jak ta, której uczyli laniści. Gdy go rozprawy znudziły szedł do cyrku patrzeć na krew.

W bogów nie wierzył, tak samo jak w cnotę, prawdę i szczęście. Wierzył tylko we wróżby i miał swoje przesądy, a oprócz tego, tajemnicze wiary Wschodu budziły jego ciekawość. Dla niewolników był dobrym panem, o ile chwilowa nuda nie przywodziła go do okrucieństwa. Mniemał, że życie jest wielką amforą, którą, im lepszy gatunek wina wypełnia, tem jest ciemniejszą, więc starał się swoją wypełnić jak najlepszem. Nie kochał nikogo, ale lubił wiele rzeczy, między innemi zaś własną orlą głowę o czaszce wspaniałej — i swoją kształtną patrycyuszowską nogę.

W pierwszych latach hulaszczej epoki, lubił także zadziwiać Rzym, i udało mu się to kilkakrotnie. Później zobojętniał i na to.

II.

W końcu zrujnował się. Majątek rozdrapali wierzyciele, Cinnie natomiast pozostało znużenie, jakby po wielkim trudzie, przesyt i jeszcze jedna, bardzo niespodziana rzecz, mianowicie jakiś głęboki niepokój. Użył przecie bogactwa, użył miłości tak, jak ją świat ówczesny rozumiał, użył rozkoszy, użył sławy wojennej, użył niebezpieczeństw; poznał, mniej więcej, zakres myśli ludzkiej, zetknął się z poezyą i sztuką, więc mógł sądzić, że wziął z życia wszystko, co ono dać mogło. Tymczasem teraz, miał takie uczucie, jakby czegoś zaniechał — i to czegoś najważniejszego. Nie wiedział jednak co to jest, i próżno łamał sobie nad tem głowę. Nieraz próbował się z tych roz-

myślań i z tego niepokoju otrząsnąć, próbował w siebie wmówić, że w życiu nic więcej niema i być nie może, ale wówczas niepokój jego, zamiast się zmniejszać, wzrastał natychmiast do tego stopnia, iż mu się zdawało, że się niepokoi nie tylko za siebie, ale za cały Rzym. Jednocześnie zazdrościł sceptykom i zarazem miał ich za głupców, ponieważ twierdzili, że próżnie można doskonale wypełnić niczem. Było w nim teraz jakby dwóch ludzi, z których jeden zdumiewał się nad własnym niepokojem, drugi uznawał go mimowoli za zupełnie słuszny.

Wkrótce po utracie majątku, dzięki możnym rodzinnym wpływom, wysłano Cinnę na urzędowanie do Aleksandryi, trochę w tym celu, by w bogatym kraju odbudował na nowo majątek. Niepokój siadł z nim na okręt w Brundisium i towarzyszył mu przez morze. W Aleksandryi myślał Cinna, że sprawy urzędu, nowi ludzie, inny świat, nowe wrażenia uwolnią go od natrętnego towarzysza — i omylił się. Upłynął mie-

siąc, dwa — i równie jak ziarno Demetry, przywiezione z Italii, wschodziło jeszcze bujniej na żyznym gruncie Delty, tak i ów niepokój z bujnego krzewu zmienił się jakby w cedr rozłożysty i począł rzucać coraz większy cień na duszę Cinny.

Z początku próbował Cinna zagłuszyć się takiem życiem, jakie dawniej prowadził w Rzymie. Aleksandrya była rozkosznem miastem, pełnem Greczynek o płowych włosach i jasnej cerze, którą egipskie słońce powłóczyło bursztynowym przeźroczym połyskiem. W ich to ramionach szukał ukojenia.

Lecz gdy i to okazało się próżnem, począł myśleć o samobójstwie. Wielu jego towarzyszów zbyło się trosk życia właśnie w taki sposób i z powodów jeszcze błahszych, niż powód Cinny: często z nudy tylko, z czczości lub braku ochoty do dalszego używania. Gdy niewolnik trzymał miecz zręcznie i dość silnie, jedna chwila kończyła wszystko. Cinna chwycił się tej myśli, lecz gdy już prawie postanowił pójść

za nią, powstrzymał go dziwny sen. Oto zdawało mu się, że gdy przewożono go przez rzekę, spostrzegł na drugim brzegu swój niepokój, w postaci wynędzniałego niewolnika, który, skłoniwszy mu się, rzekł: «Uprzedziłem cię, by cię przyjąć». — Cinna zląkł się po raz pierwszy w życiu, zrozumiał bowiem, że skoro o pogrobowem istnieniu nie może myśleć bez niepokoju, to pójdą tam we dwóch.

W ostateczności, postanowił zbliżyć się do mędrców, od których roiło się Serapeum, sądząc, że może u nich znajdzie rozwiązanie zagadki. Ci wprawdzie, nie potrafili nic mu rozwiązać, ale za to mianowali go „τοῦ μουσείου“, który to tytuł przyznawali zwykle Rzymianom wysokiego rodu i znaczenia. Na razie mała to była pociecha, i stempel mędrca, dany człowiekowi, który nie umiał sobie odpowiedzieć na to, co go obchodziło najżywiej, mógł wydawać się Cinnie ironią — przypuszczał jednak, że Sarapeum może nie odrazu odsłania

całą swą mądrość — i nie tracił zupełnie nadziei.

Najczynniejszym między mędrcami w Aleksandryi był szlachetny Tymon Ateńczyk, człowiek możny i obywatel rzymski. Mieszkał on od kilkunastu lat w Aleksandryi, dokąd przybył dla zgłębienia tajemniczej nauki egipskiej. Mówiono o nim, że nie było ani jednego pergaminu lub papirusu w Bibliotece, któregoby nie przeczytał — i że posiadł całą mądrość ludzką. Był przytem człowiekiem słodkim i wyrozumiałym. Wśród mnóstwa pedantów i komentatorów o skrzeplych mózgach, Cinna wyróżnił go od razu i wkrótce zawarł z nim znajomość, która po pewnym czasie zmieniła się w bliższą zażyłość, a nawet w przyjaźń. Młody Rzymianin podziwiał jego biegłość w dyalektyce, wymowę i rozwagę, z jaką starzec mówił o rzeczach wzniosłych, dotyczących przeznaczeń człowieka i świata. Uderzało w nim szczególnie to, że owa rozwaga była połączona jakby z pewnym smutkiem. Później, gdy zbliżyli się z sobą,

niejednokrotnie brała Cinnę ochota zapytać starego mędrca o powód tego smutku, a zarazem otworzyć przed nim własne serce. Jakoż w końcu do tego przyszło.

III.

Pewnego wieczoru, gdy po gwarnych rozprawach o wędrówce dusz, zostali sam na sam na tarasie, z którego widok był na morze, Cinna, wziąwszy rękę Tymona, wyznał otwarcie co mu było największem udręczeniem życia i dla jakich powodów starał się zbliżyć do uczonych i filozofów w Serapeum:

— Tyle przynajmniej zyskałem — rzekł w końcu, żem poznał ciebie, Tymonie, i teraz wiem, że jeśli ty nie rozwiążesz zagadki mego życia, nikt inny tego uczynić nie zdoła.

Tymon wpatrywał się czas jakiś w wygładzoną toń morską, w której odbijał się nów księżyca, poczem rzekł:

— Widziałeś, Cinno, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków północy? Czy wiesz czego one szukają w Egipcie?

— Wiem. Ciepła i światła.

— Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które oznacza prawdę. Ale ptaki wiedzą, dokąd lecieć po swe dobro, dusze zaś latają po bezdrożach, w zabłądzeniu, smutku i niepokoju.

— Czemu, szlachetny Tymonie, nie mogą znaleźć drogi?

— Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się, jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofia będzie dla dusz słońcem prawdy — dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach i w Rzymie i w Akademii w Atenach, i tu, siedzą sceptycy, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wnieśli niepokój. Bo wyrzec się świata i ciepła jest to zostawić dusze w ciemności, która jest niepokojem. Więc, wyciągnąwszy ręce przed siebie, szukamy po omacku wyjścia...

— Zali i ty go nie znalazłeś?

— Szukałem i nie znalazłem. Tyś szukał go w rozkoszy, ja w myśleniu — i obu nas jednaka mgła otacza; wiedz przeto, że nie sam jeden się dręczysz i że w tobie dręczy się dusza świata. Wszakże oddawna już nie wierzysz w bogów?

— W Rzymie czczą ich jeszcze publicznie i sprowadzają nawet nowych z Azyi i Egiptu, ale wierzą w nich szczerze chyba tylko przekupnie jarzyn, którzy z rana przyjeżdżają ze wsi do miasta.

— I ci są jedynie spokojni.

— Równie jak ci, którzy tu biją pokłony kotom i cebuli.

— Równie jak ci, którzy, jak syte zwierzęta, nie pragną niczego więcej, tylko snu po jadle.

— Lecz czyli wobec tego warto żyć?

— Zali wiemy, co nam przyniesie śmierć?

— Więc jakaż jest różnica między tobą a sceptykami?

— Sceptycy godzą się na ciemność, lub udają, że się, godzą, ja zaś męczę się w niej.

— I nie widzisz wybawienia?

Tymon umilkł na chwilę, poczem odrzekł zwolna, jakby z pewnem wahaniem:

— Czekam go.

— Skąd?

— Nie wiem.

Potem wsparł głowę na dłoni i jakby pod wpływem ciszy, która zalegała tarasy, począł mówić równie przyciszonym głosem:

— Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nic więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy niczem więcej być nie mogli nad to, czem jesteśmy, toby nie było w nas niepokoju... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofia zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam. . . . . .

. . . . . .

Nadspodziewanie, rozmowa ta przyniosła Cinnie wielką ulgę. Usłyszawszy, że nietylko on jest chory, ale cały świat chory, doznał takiego uczucia, jakby ktoś zdjął z niego ogromny ciężar i rozłożył go na tysiące ramion.

IV.

Od owego czasu przyjaźń, łącząca Cinnę ze starym Grekiem, stała się jeszcze ściślejsza. Odwiedzali się teraz często i dzielili się tak myślami, jak chlebem w czasie uczt. Cinna zresztą, mimo swych doświadczeń i znużenia, które idzie za użyciem, był zbyt młodym, by życie nie miało jeszcze chować dla niego ponęt nieznanych — i taką właśnie ponętę znalazł w jedynej córce Tymona, Antei.

Sława jej nie była mniejszą w Aleksandryi od sławy ojca. Wielbili ją dostojni Rzymianie, bywający w domu Tymona, wielbili Grecy, wielbili filozofowie z Serapeum, i wielbił lud. Tymon nie zamykał jej w Ginaceum, jak były zamykane inne kobiety, i starał się przelać w nią wszystko,

co sam wiedział. Gdy wyszła z lat dziecinnych, czytywał z nią księgi greckie, a nawet rzymskie i hebrajskie, gdyż, obdarzona nadzwyczajną pamięcią, a wychowana w różnojęzykowej Aleksandryi, wyuczyła się biegle tych języków. Była mu ona towarzyszem w myślach, często brała udział w rozprawach, jakie podczas sympozyonów prowadzono w domu Tymona, często w labiryncie trudnych zagadnień umiała, jak Aryadna, nie zbłąkać się sama i drugich za sobą wyprowadzić. Ojciec miał dla niej podziw i cześć. Otaczał ją prócz tego urok tajemnicy i niemal świętości, albowiem miewała sny wróżebne, w których widywała rzeczy niewidzialne dla zwykłych oczu śmiertelnych. Stary mędrzec kochał ją, jak duszę własną jeszcze i dla tego, że obawiał się ją stracić, częstokroć bowiem mówiła, że w snach zjawiają jej się jakieś istoty, dla niej złowrogie — i jakieś dziwne światło, o którem nie wie, czy będzie źródłem życia, czy śmierci.

Tymczasem jednak otaczała ją tylko miłość. Egipcyanie, którzy bywali w domu Ty-

mona, zwali ją Lotusem, może dlatego, że kwiat ten odbierał boską cześć na wybrzeżach Nilu, a może także dlatego, że kto ją raz ujrzał, mógł zapomnieć o całym świecie.

Piękność jej bowiem dorównywała mądrości. Egipskie słońce nie przyćmiło jej twarzy, w której różowe promienie świtu zdawały się być zamknięte w przezroczu muszli perłowej. Oczy jej miały błękit Nilu, a spojrzenie płynęło z równie nieznanych oddaleń, jak wody tej tajemniczej rzeki. Gdy Cinna ujrzał i usłyszał ją po raz pierwszy, wróciwszy do siebie, miał ochotę w atrium swego domu wznieść na jej cześć ołtarz i ofiarować na nim białe gołębie. Spotykał on w życiu tysiące kobiet, począwszy od dziewcząt z głębokiej północy o białych rzęsach i włosach barwy dojrzałych zbóż, aż do czarnych jak lawa Numidek — ale nie spotkał dotychczas ani takiej postaci, ani takiej duszy. I im częściej ją widywał, im lepiej poznawał, im częściej zdarzało mu się słuchać jej słów, tem bardziej rosło jego zdumienie. Chwila-

mi, on, który nie wierzył w bogi, przypuszczał, że Antea nie może być córką Tymona, tylko jakiegoś boga, więc nawpół tylko jest kobietą, nawpół zaś nieśmiertelną.

I wkrótce pokochał ją miłością niespodziewaną, ogromną i nieprzepartą, tak różną od uczuć, jakich doznawał dotychczas, jak Antea była różną od innych kobiet. Chciał ją posiadać tylko po to, aby ją czcić. Gotów zaś był oddać krew, by posiadać. Czuł, że wolałby być żebrakiem z nią, niż cezarem bez niej. I jak wir morski porywa z niepohamowaną potęgą wszystko, co znajdzie się w jego okręgu, tak miłość Cinny porwała jego duszę, serce, myśli, jego dni, noce i wszystko, z czego się składa życie.

Aż wreszcie porwała i Anteę.

— Tu felix, Cinna! — powtarzali mu przyjaciele. — Tu felix, Cinna! — powtarzał sam sobie — i gdy ją wreszcie zaślubił, gdy jej boskie usta wyrzekły sakramentalne słowa: »Gdzie ty, Cajus, tam i ja, Caja« — wówczas zdawało mu się, że szczęście jego będzie, jak morze — nieprzebrane i bez granic.

V.

Rok przeszedł, i ta młoda żona odbierała zawsze przy ognisku domowem cześć niemal boską; była mężowi źrenicą oka, miłością, mądrością, światłem. Ale Cinna, porównywając swe szczęście z morzem, zapomniał, że morze miewa odpływy. Po roku Antea zapadła na okrutną, nieznaną chorobę. Sny jej zmieniły się w straszne widzenia, które wyczerpywały jej życie. Na jej twarzy zgasły promienie świtu, została tylko przezroczystość muszli perłowej; ręce jej poczęły przeświecać, oczy zapadły głęboko pod czoło — różowy lotus stawał się coraz bardziej białym lotusem, tak białym jak twarze umarłych. Zauważono, że jastrzębie poczęły krążyć nad domem Cinny,

co w Egipcie było wróżbą śmierci. Widzenia stawały się coraz straszliwsze. Gdy w południowych godzinach słońce zalewało świat białym blaskiem, a miasto pogrążało się w milczenie, zdawało się Antei, że słyszy wokół siebie szybkie kroki jakichś niewidzialnych istot, a w głębinach powietrza widzi suchą, żółtą twarz trupią, spoglądającą na nią czarnemi oczyma. Oczy te wpatrywały się w nią uporczywie, jakby wzywając ją, by gdzieś szła, w jakiś mrok, pełen tajemnic i lęku. Wówczas ciało Antei poczynało drżeć, jak w febrze, czoło jej pokrywało się bladością, kroplami zimnego potu, i ta czczona kapłanka domowego ogniska zmieniała się w bezbronne i przerażone dziecko, które chroniąc się na piersi męża, powtarzało zbielałemi ustami: »Ratuj mnie, Kajusie! broń mnie!«

I Kajus byłby się rzucił na wszelkie widmo, jakie z podziemia mogła wypuścić Persefona, ale próżno wpijał wzrok w przestrzeń. Naokół, jak zwykle w godzinach południowych, bywała pustka. Biały blask

zalewał miasto; morze zdawało się płonąć w słońcu, a w ciszy słychać było tylko kwilenie jastrzębi, krążących nad domem.

Widzenia stawały się coraz częstsze — potem codzienne. Prześladowały one Anteę zarówno na zewnątrz domu, jak w atrium i w izbach. Cinna za poradą lekarzy sprowadzał sambuciny egipskie i Beduinów grywających na glinianych piszczałkach, którzy gwarną muzyką mieli zagłuszać ów szum niewidzialnych istot. Ale okazało się to próżnem. Antea słyszała go wśród największego gwaru, a gdy słońce stanęło tak wysoko, że cień leżał około nóg człowieka, jak osunięta z ramion szata, wówczas w drgającem powietrzu, zjawiała się trupia twarz, i patrząc szklanemi oczyma na Anteę, cofała się zwolna, jakby chcąc jej powiedzieć: »Chodź za mną!«

Czasem wydawało się Antei, że usta trupa poruszają się zwolna, czasem, że wylatują z nich czarne, szkaradne żuki i lecą ku niej przez powietrze. Na samą myśl o widzeniu, oczy jej napełniały się prze-

rażeniem, a w końcu życie stało się dla niej męką tak straszną, że prosiła Cinny, aby jej nadstawił miecz, lub pozwolił wypić truciznę.

A on wiedział, że tego uczynić nie zdoła. Tym samym mieczem powyparałby sobie dla niej żyły, ale zabić jej nie mógł. Gdy sobie wyobrażał tę drobną głowę, martwą, z zamkniętemi powiekami, pełną mroźnego spokoju, i tę pierś rozdartą jego mieczem, wówczas czuł, że chcąc to uczynić, musiałby pierwej oszaleć.

Pewien lekarz grecki powiedział mu, że to Hekate pojawia się Antei, a owe niewidzialne istoty, których szelest przeraża chorą, należą do orszaku złowrogiego bóstwa. Według niego, nie było dla Antei ratunku, kto bowiem ujrzał Hekatę, musiał umrzeć.

Wówczas Cinna, który niedawnym jeszcze czasem, byłby się śmiał z wiary w Hekatę, ofiarował jej hekatombę. Ale ofiara nie pomogła, i następnego dnia posępne oczy spoglądały znów o południu na Anteę.

Próbowano zasłaniać jej głowę, lecz ona widziała trupią twarz nawet przez najgrubsze zasłony. Gdy była zamknięta w ciemnej izbie, twarz spoglądała na nią ze ścian, rozświecając ciemność swym bladym, trupim blaskiem.

Wieczorami bywało chorej lepiej. Wówczas zapadała w taki sen głęboki, że i Cinnie, i Tymonowi wydawało się nieraz, iż się z niego nie obudzi więcej. Wkrótce zasłabła tak, iż nie mogła chodzić o własnej mocy. Noszono ją w lektyce.

Dawny niepokój Cinny wrócił ze stokroć większą mocą i ogarnął go całkowicie. Był w nim strach o życie Antei, ale było zarazem dziwne poczucie, że choroba jej stoi w jakimś tajemniczym związku z tem wszystkim, o czem mówił Cinna w pierwszej szczerej rozwowie z Tymonem. Być może, iż stary mędrzec myślał to samo, ale Cinna nie chciał i bał się go o to zapytać. Tymczasem chora więdła, jak kwiat, w którego kielichu zagnieździ się pająk jadowity.

Cinna jednak wbrew nadziei ratował ją

rozpaczliwie. Naprzód wywiózł ją na pustynie w pobliżu Memfisu, lecz gdy pobyt w ciszy piramid nie uwolnił jej od strasznych widzeń, wrócił do Aleksandryi i otoczył ją wróżbitami, czarownikami, zamawiającymi chorobę i wszelkiego rodzaju bezczelną zgrają, która wyzyskiwała za pomocą cudownych leków ludzką łatwowierność. Ale on już nie miał wyboru i chwytał się wszelkich środków.

W tym czasie przyjechał z Cezaryi do Aleksandryi sławny lekarz Żyd, Józef syn Khuzy. Cinna sprowadził go natychmiast do żony — i przez chwilę nadzieja wróciła do jego serca. Józef, który nie wierzył w greckie i rzymskie bogi, odrzucił z pogardą mniemanie o Hekacie. Przypuszczał, że to raczej demony opętały chorą, i radził opuścić Egipt, gdzie, prócz demonów, także i wyziewy błotnistej Delty mogły szkodzić jej zdrowiu. Radził też, może dla tego, że sam był Żydem, udać się do Jerozolimy, jako do miasta, do którego de-

mony nie mają przystępu, i w którem powietrze jest suche i zdrowe.

Cinna tem chętniej poszedł za jego radą, że naprzód nie było już innej, a powtóre, że Jerozolimą rządził znajomy mu prokurator, którego przodkowie byli niegdyś klientami domu Cinnów.

Jakoż, gdy przybyli, prokurator Pontius przyjął ich z otwartemi rękoma i oddał im na mieszkanie własny dom letni, leżący w pobliżu murów. Ale nadzieja Cinny rozchwiała się jeszcze przed przybyciem. Trupia twarz patrzała na Atenę nawet na pokładzie galery — po przyjeździe zaś na miejsce, chora oczekiwała południowej godziny z taką samą śmiertelną trwogą, jak niegdyś w Aleksandryi.

I tak im poczęły schodzić dni w pognębieniu, lęku, rozpaczy i oczekiwaniu śmierci.

VI.

W atrium, mimo fontanny, cienistego portyku i wczesnej godziny, było ogromnie gorąco, bo marmur rozpalił się od wiosennego słońca, ale opodal od domu rosła stara i rozłożysta pistacya, zaciemniająca dokoła znaczną przestrzeń. Przewiew, jako w miejscu otwartem był tam także daleko większy, tam więc Cinna kazał postawić przybraną w hiacynty i kwiat jabłoni lektykę, w której spoczywała Antea. Następnie siadłszy przy niej, położył dłoń na jej bladych, jak alabaster, rękach i spytał:

— Dobrze ci tu, carissima?

— Dobrze, — odpowiedziała zaledwie dosłyszalnym głosem.

I przymknęła oczy, jakby ją ogarniał

sen. Nastało milczenie; tylko powiew poruszał z szelestem gałązkami pistacyi, a na ziemi, wokół lektyki migotały złote plamki od promieni, przedzierających się przez liście — szarańcze sykały między kamieniami.

Chora otworzyła po chwili oczy.

— Kaju, — rzekła — czy prawda, że w tej ziemi zjawił się filozof, który uzdrawia chorych?

— Oni tu takich prorokami zowią, — odpowiedział Cinna. — Słyszałem o nim i chciałem go wezwać do ciebie, ale okazało się, iż to był fałszywy cudotwórca. Bluźnił on przytem przeciw tutejszej świątyni i zakonowi tej ziemi, przeto prokurator wydał go na śmierć, i dziś właśnie ma być ukrzyżowany.

Antea spuściła głowę.

— Ciebie wyleczy czas — rzekł Cinna, widząc smutek, który odbił się na jej twarzy.

— Czas jest w usługach śmierci, nie życia, — odpowiedziała zwolna.

I znowu nastało milczenie, naokół migo-

tały ciągle złote plamki; szarańcze sykały jeszcze głośniej, a ze szpar skalnych powysuwały się na głazy małe jaszczurki, szukając miejsc słonecznych.

Cinna spoglądał kiedy niekiedy na Anteę, i po raz tysiączny przelatywały mu przez głowę rozpaczliwe myśli, że wszystkie środki ratunku wyczerpane, że niema ani iskry nadziei, i że wkrótce ta kochana postać stanie się tylko cieniem znikomym i garstką prochu w kolumbaryum.

Teraz już, leżąc z przymkniętemi oczyma, w przybranej kwieciem lektyce, wyglądała, jak martwa.

— Pójdę i ja za tobą! — powtarzał sobie w duchu Cinna.

Wtem w oddali dały się słyszeć czyjeś kroki. Twarz Antei stała się natychmiast blada, jak kreda, wpół otwarte usta oddychały pośpiesznie, pierś poczęła się podnosić szybkim ruchem. Nieszczęsna męczennica była pewna, że to ów orszak niewidzialnych istot, poprzedzający zjawienie się trupa o szklanych oczach, zbliża się ku

niej. Lecz Cinna, chwyciwszy jej ręce, począł ją uspokajać:

— Anteo, nie lękaj się, te kroki słyszę i ja.

A po chwili dodał:

— To Fontius przychodzi do nas.

Rzeczywiście na zakręcie ścieżki ukazał się prokurator, w towarzystwie dwóch niewolników. Był to niemłody człowiek, o twarzy okrągłej, wygolonej starannie, pełnej sztucznej powagi, a zatem troski i zmęczenia.

— Pozdrowienie ci, szlachetny Cinno, i tobie, boska Anteo! — rzekł, wchodząc pod cień pistacyi. — Otóż po zimnej nocy dzień uczynił się znojny: oby był pomyślny dla was obojga, i oby zdrowie Antei zakwitło, jako te hiacynty i te gałązki jabłoni, które zdobią jej lektykę.

— Pokój z tobą i witaj! — odrzekł Cinna.

Prokurator, siadłszy na odłamie skały, popatrzał na Anteę, zmarszczył nieznacznie brwi — i ozwał się:

— Samotność rodzi smutek i chorobę,

a wśród tłumów niema miejsca na przestrach, więc dam wam jedną radę. Na nieszczęście, tu nie Antyochia ani Cezarea, niema tu igrzysk i wyścigów, a gdyby cyrk stanął, toby go ci zapaleńcy zburzyli na drugi dzień. Tu słyszysz tylko słowo: »zakon« — a temu »zakonowi« wszystko zawadza. Wolałbym być w Scytyi, niż tu...

— O czem chcesz mówić, Piłacie?

— Istotnie odszedłem od rzeczy. Ale to troski tego powodem. Mówiłem, że wśród tłumów niema miejsca na strach. Otóż możecie dziś mieć widowisko. W Jerozolimie trzeba się byle czem zadowalać, przedewszystkiem zaś trzeba, żeby w południe Antea była wśród tłumów. Dziś umrze na krzyżu trzech ludzi. Lepsze to, niż nic. Przytem z powodu paschy, napłynęła do miasta zgraja najdziwaczniejszych drapichróstów, z całego tego kraju. Możecie się przypatrzyć temu ludowi. Każę wam dać wyborne miejsce w pobliżu krzyżów. Mam nadzieję, że skarani będą umierali odważnie. Jeden z nich, dziwny człowiek: po-

wiada się być Synem Bożym, jest słodki, jak gołąb, i naprawdę nie popełnił nic takiego, przez coby zasłużył na śmierć.

— I skazałeś go na śmierć?

— Chciałem się zbyć kłopotu, a zarazem nie poruszać tego gniazda os, które brzęczą naokół świątyni. Oni i tak ślą na mnie skargi do Rzymu. Zresztą, przecie nie o obywatela rzymskiego chodzi.

— Ów człowiek nie będzie dlatego mniej cierpiał.

Prokurator nie odpowiedział — i po chwili począł mówić, jakby do siebie:

— Jedna jest rzecz, której nie znoszę, to przesada. Kto przy mnie wymówi ten wyraz, odbiera mi wesołość na cały dzień. Złoty środek! oto czego, według mnie roztropność nakazuje się trzymać. I niema kąta na świecie, w którymby tej zasady trzymano się mniej niż tu. Jak mnie to wszystko męczy! jak mnie męczy! W niczem spokoju, w niczem równowagi... ani w ludziach, ani w przyrodzie... Teraz naprzykład wiosna, noce chłodne — a we dnie

taki żar, że po kamieniach stąpać trudno. Do południa jeszcze daleko, a patrzcie — co się dzieje! Co zaś do ludzi — lepiej nie mówić! Jestem tu, bo muszę. Mniejsza o to! Znowubym odszedł od rzeczy. Idźcie zobaczyć ukrzyżowanie. Jestem pewien, że ów Nazarejczyk będzie umierał odważnie. Kazałem go chłostać, myśląc, że tym sposobem ochronię go od śmierci. Nie jestem okrutnikiem. Gdy go bito, cierpliwy był, jak jagnię i błogosławił ludziom. Gdy spłynął krwią, wzniósł oczy do góry i modlił się. To najdziwniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałem. Żona nie dała mi z jego powodu ni chwili spokoju: »Nie dopuść śmierci niewinnego!« — oto, co od świtu kładła mi w uszy. Chciałem. Dwukrotnie wstępowałem na bimę i przemawiałem do tych zaciekłych kapłanów i do tej parszywej tłuszczy. Odpowiadali mi jednym głosem, przewracając w tył głowy i rozdzierając szczęki aż do uszu: »Ukrzyżuj!«

— Ty zaś ustąpiłeś? — rzekł Cinna.

— Bo w mieście były rozruchy, a jam

tu od tego, by utrzymać spokój. Muszę spełniać mój obowiązek. Nie lubię przesady i przytem jestem zmęczony śmiertelnie, ale gdy się raz czegoś podejmę, nie zawaham się poświęcić dla ogólnego dobra życia jednego człowieka, zwłaszcza, jeśli to jest człowiek nieznany, o którego nikt się nie upomni. Tem gorzej dla niego, że nie jest Rzymianinem.

— Słońce nie tylko nad Rzymem świeci, — szepnęła Antea.

— Boska Anteo — odparł prokurator, — mógłbym ci odpowiedzieć, że na całym okręgu ziemi przyświeca ono rzymskiej władzy, zatem dla jej dobra wszystko należy poświęcić, a rozruchy podkopują naszą powagę. Ale przedewszystkiem błagam cię: nie żądaj ode mnie, bym zmienił wyrok. Cinna także ci powie, że to nie może być, i że gdy wyrok raz wydany, chyba sam Cezar mógłby go zmienić. Ja, choćbym chciał — nie mogę. Nie prawda, Kaju?

— Tak jest.

Lecz Antei słowa te sprawiły widoczną przykrość, rzekła bowiem, myśląc może o sobie:

— Tak więc można cierpieć i umrzeć bez winy.

— Nikt nie jest bez winy — odpowiedział Pontius. — Ów Nazarejczyk nie popełnił żadnej zbrodni, więc też, jako prokurator, umyłem ręce. Ale jako człowiek, potępiam jego naukę. Rozmawiałem z nim umyślnie dość długo, chcąc go wybadać, i przekonałem się, że głosi rzeczy niesłychane. To trudno! Świat musi stać na rozsądku. Któż przeczy, że cnota jest potrzebną?... Pewnie, nie ja. Ale nawet stoicy uczą tylko, by przeciwności znosić z pogodą, nie wymagają zaś, by się wyrzec wszystkiego, począwszy od majątku aż do obiadu. Powiedz, Cinno — ty jesteś rozsądny człowiek — cobyś o mnie pomyślał, gdybym ten dom, w którym mieszkacie, oddał ni z tego ni z owego tym oto obdartusom, którzy tam wygrzewają się

na słońcu, przy Jopejskiej bramie? A on właśnie takich rzeczy wymaga. Głosi przytem, że wszystkich należy równo kochać: Żydów tak samo jak Rzymian, Rzymian jak Egipcyan, Egipcyan jak Afrów i tak dalej. Przyznam się, że miałem tego dosyć. W chwili gdy idzie o jego życie, zachowuje się, jakby szło o kogo innego, naucza — i modli się. Nie mam obowiązku ratować kogoś, co sam o to nie dba. Kto nie umie w niczem miary zachować, nie jest człowiekiem roztropnym. Przytem on zowie się Synem Bożym i burzy zasady, na których świat się wspiera, a zatem szkodzi ludziom. Niech sobie w duszy co chce myśli — byle nie burzył. Jako człowiek, protestuję przeciw jego nauce. Jeśli ja nie wierzę, dajmy na to, w bogi, to moja rzecz. Jednakże uznaję potrzebę religii i publicznie to głoszę, albowiem sądzę, że dla ludzi religia jest wędzidłem. Konie muszą być zaprzężone i dobrze zaprzężone. Zresztą takiemu Nazarejczykowi

śmierć nie powinna być straszna, twierdzi bowiem, że zmartwychwstanie.

Cinna i Antea spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Że zmartwychwstanie?

— Ni mniej, ni więcej; po trzech dniach. Tak przynajmniej głoszą jego uczniowie. Samego zapomniałem zapytać. Wreszcie to wszystko jedno, bo śmierć uwalnia od obietnic. A gdyby i nie zmartwychwstał, nic na tem nie straci, gdyż wedle jego nauki, prawdziwe szczęście, wraz z życiem wiecznem, zaczyna się dopiero po śmierci. Mówi o tem istotnie, jak człowiek zupełnie pewny. W jego Hadesie widniej, niż w podsłonecznym świecie, a im kto więcej tu cierpi, tem pewniej tam wejdzie; powinien tylko kochać, kochać i kochać.

— Dziwna nauka — rzekła Antea.

— I tamci wołali na cię: »Ukrzyżuj!« — spytał Cinna.

— I nawet się nie dziwię. Duszą tego ludu jest nienawiść, któż zaś, jeśli nie nienawiść ma wołać o krzyż dla miłości?

Antea potarła czoło wychudłą ręką.

— I on jest pewien, że można żyć i być szczęśliwym — po śmierci?

— Dlatego nie straszy go krzyż, ni śmierć.

— Jakby to było dobrze, Cinno!...

Po chwili znów spytała:

— Skąd On wie o tem?

Prokurator machnął ręką:

— Powiada, że to wie od Ojca wszystkich ludzi, który dla żydów jest tem, czem dla nas Jowisz, z tą różnicą, że według Nazarejczyka, jest On jeden, jedyny i miłosierny.

— Jakby to było dobrze, Kaju! — powtórzyła chora.

Cinna otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale umilkł — i rozmowa ustała. Pontius rozmyślał widocznie w dalszym ciągu nad tą dziwaczną nauką Nazarejczyka, albowiem kręcił głową i wzruszał co chwila ramionami. Wreszcie wstał i począł się żegnać

Nagle Antea rzekła:

— Kaju, pójdźmy zobaczyć tego Nazarejczyka.

— Śpieszcie się — rzekł odchodząc Piłat, — pochód wkrótce wyruszy.

VII.

Dzień od rana znojny i pogodny, począł się około południa zachmurzać. Od północo-wschodu napływały obłoki ciemne lub miedziane, niezbyt rozległe, ale zawalne, jakby brzemienne burzą. Między nimi widać było jeszcze głęboki błękit, ale łatwo było przewidzieć, że wkrótce zbiegną się i przesłonią cały niebieski widnokrąg. Tymczasem słońce obrzucało ich zręby ogniem i złotem. Nad samem miastem i przyległemi wzgórzami rozciągał się jeszcze szeroki szmat pogodnego nieba, i na dole nie było żadnego wiatru.

Na wysokiej płaszczyźnie, zwanej Golgotą, stały już tu i owdzie małe gromadki ludzi, które uprzedziły pochód, mający wy-

ruszyć z miasta. Słońce rozświecało szerokie kamienne przestrzenie, puste, jałowe i smutne. Jednostajną perłową ich barwę przerywała tylko czarna sieć rozpadlin i załamań, tem czarniejsza, im bardziej sama płaszczyzna była zalana światłem. W dali widać było wynioślejsze wzgórza, równie puste, przysłonione błękitną mgłą oddalenia.

Niżej, między murami miasta a płaskowzgórzem Golgoty, leżała równina, spiętrzona gdzieniegdzie skałami, mniej pusta. Tam ze szczelin, w których zebrało się nieco urodzajnej ziemi, wyglądały figi o liściu rzadkim i ubogim. Tu i owdzie wznosiły się budowle o płaskich dachach, poprzylepiane nakształt gniazd jaskółczych do kamiennych ścian, lub świecąc zdala w słońcu, biało malowane groby. Obecnie, z powodu blizkich świąt i napływu mieszańców prowincyi do miasta, powznoszono bliżej murów mnóstwo szałasów i namiotów, które tworzyły całe obozowiska, pełne ludzi i wielbłądów.

Słońce wznosiło się coraz wyżej na niepokrytej dotąd chmurami przestrzeni nieba. Zbliżały się godziny, w których zazwyczaj panowało na tych wyżynach głuche milczenie, wszelkie bowiem żywe istoty szukały ochrony w murach lub rozpadlinach. A nawet i obecnie, mimo niezwykłego ożywienia, tkwił jakiś smutek w tej okolicy, w której olśniewający blask padał nie na zieleń, ale na szare rozłogi kamienne. Gwar dalekich głosów, dochodzący od strony murów, zmieniał się jakby w szmer fali i zdawał się być pochłanianym przez ciszę.

Pojedyńcze gromadki ludzi, wyczekujące od rana na Golgocie, zwracały głowy ku miastu, skąd pochód miał lada chwila wyruszyć. Lektyka z Anteą nadeszła, poprzedzana przez kilku żołnierzy, dodanych przez prokuratora, którzy mieli torować drogę wśród ścisku, a w danym razie powstrzymać nienawidzące cudzoziemców i fanatyczne tłumy od zniewag. Obok lektyki postępował Cinna w towarzystwie setnika Rufila.

Antea była jakby spokojniejsza i mniej przerażona tem, że zbliżało się południe, a zarazem groźba strasznych widzeń, które wysysały z niej życie. To, co prokurator mówił o młodym Nazarejczyku, porwało jej umysł i odwróciło uwagę od własnej nędzy. Było bowiem dla niej w tem coś dziwnego, czego prawie nie umiała zrozumieć. Świat ówczesny widział wielu ludzi, którzy umierali tak spokojnie, jak gaśnie stos pogrzebowy, w którym drwa się wypalają. Ale był to spokój, płynący z filozoficznej zgody na nieubłaganą konieczność, zamiany światła na ciemność, rzeczywistego życia na jakiś byt mglisty, nikły i nieokreślony. Nikt nie błogosławił dotąd śmierci, nikt nie umierał z niezachwianą pewnością że dopiero poza stosem lub grobem zaczyna się prawdziwe istnienie i szczęście tak potężne i nieskończone, jakie tylko istota wszechmocna i nieskończona dać może.

Ów zaś, którego miano ukrzyżować, głosił to, jako niewątpliwą prawdę. Anteę nietylko uderzyła ta nauka, ale wydała się

jej jedynem źrodłem otuchy i nadziei. Wiedziała, że musi umrzeć — i zdejmował ją żal niezmierny. Czemże bowiem była dla niej śmierć? Oto porzuceniem Cinny, porzuceniem ojca, porzuceniem świata, kochania, pustką, zimnem, nawpół nicością, mrokiem. Więc im lepiej mogło być jej w życiu, tem jej żal musiał być większy. Gdyby śmierć mogła się na coś przydać, albo gdyby można wziąć z sobą choć wspomnienie z miłości, choć pamięć szczęścia — prędzejby zdobyła się na rezygnacyę.

Wtem, nie spodziewając się od śmierci niczego, usłyszała nagle, że ona może jej dać wszystko. I kto to głosił? Jakiś dziwny człowiek, nauczyciel, prorok, filozof, który nakazywał ludziom miłość, jako najwyższą cnotę, który błogosławił im w chwili chłosty i którego miano ukrzyżować. Więc Antea myślała: »Dlaczego tak nauczał, skoro krzyż Mu jedyną zapłatą? Inni pragnęli władzy — On jej nie chciał, inni mienia — On pozostał ubogim; inni pałaców, uczt, zbytków, purpurowej odzieży, wykładanych

perłowcem i kością słoniową wozów — On żył, jak pasterz. Przytem zalecał miłość, litość, ubóstwo, nie mógł więc być złym i ludzić umyślnie ludzi. Jeżeli zaś mówił prawdę, — w takim razie niech będzie błogosławiona śmierć, jako koniec ziemskiej nędzy, jako zmiana gorszego szczęścia na lepsze, jako światło dla gasnących oczu i jako skrzydła, któremi się odlatuje w wieczną radość!« Teraz Antea zrozumiała, co znaczyła zapowiedź zmartwychwstania.

Umysł i serce biednej chorej przylgnęły całą siłą do tej nauki. Przypomniała sobie słowa ojca, który niejednokrotnie powtarzał, że tylko jakaś nowa prawda może wydobyć umęczoną duszę ludzką z pomroki i więzów. A oto była nowa prawda! Zwyciężyła ona śmierć, więc niosła zbawienie. Antea utonęła tak całą swą istotą w tych myślach, że od wielu i wielu dni Cinna po raz pierwszy nie dostrzegł w tej twarzy trwogi przed nadchodzącą południową godziną.

Pochód ruszył wreszcie z miasta ku Gol-

gocie — i z wyżyny, na której stała Antea, widać go było doskonale. Tłum był znaczny, ale jednak zdawał się ginąć na tych obszarach kamiennych. Z otwartej bramy miasta wysypywało się coraz więcej ludzi, a po drodze przyłączali się do nich ci, którzy oczekiwali za murami. Szli początkowo długim korowodem, który rozlewał się, jak wezbrana rzeka, w miarę, jak postępowali naprzód. Po bokach uganiały się roje dzieci. Pochód mienił się i pstrzył od białych opończy, od szkarłatnych i błękitnych chust kobiecych. W środku połyskiwały zbroje i dzidy żołnierzy rzymskich, na które blask słoneczny rzucał jakby latające promienie. Wrzawa zmieszanych głosów dochodziła zdaleka i stawała się coraz wyraźniejszą.

Nakoniec zbliżyli się zupełnie — i pierwsze szeregi poczęły występować na wzniesienie. Tłum śpieszył się, aby zająć najbliższe miejsca i widzieć jak najdokładniej mękę, skutkiem czego oddział żołnierzy, prowadzący skazanych, pozostawał coraz bardziej z tyłu pochodu. Pierwsze przybyły

dzieci, przeważnie chłopcy, pół nadzy, poprzewiązywani szmatami w biodrach, z wystrzyżonemi głowami, prócz dwóch pęków włosów przy skroniach, — smagli, o źrenicach prawie błękitnych i wrzaskliwej mowie. Wśród tej dzikiej wrzawy poczęli oni wydrapywać ze szczelin zwietrzałe okruchy skalne, którymi chcieli rzucać na ukrzyżowanych. Tuż po nich wzniesienie zaroiło się od różnorakiej tłuszczy. Twarze były po największej części rozpalone ruchem i nadzieją widowiska. Na żadnej nie było śladu litości. Krzykliwość głosów, niezmierna ilość słów wyrzucanych przez każde usta, nagłość ruchów dziwiła Anteę, jakkolwiek przywykłą w Aleksandryi do gadatliwej żywości greckiej. Ludzie rozmawiali tu z sobą, jakby się chcieli na siebie rzucić; nawoływali się, jakby szło o ich ratunek, spierali się, jakby ich odzierano ze skóry.

Centuryon Rufilus, zbliżywszy się do lektyki, dawał wyjaśnienia głosem spokojnym, służbowym, a tymczasem z miasta

napływały coraz nowe fale. Ścisk powiększał się z każdą chwilą. W tłumie widać było zamożnych mieszkańców Jerozolimy, przybranych w pasiaste opończe, trzymających się zdala od nędznej hołoty z przedmieść. Napłynęli licznie i wieśniacy, których święta sprowadziły wraz z rodzinami do miasta; rolnicy, poprzepasywani workami i pasterze, o twarzach dobrotliwych i zdziwionych, przybrani w skóry kozie. Tłumy kobiet ciągnęły razem z mężczyznami, lecz że możniejsze mieszczanki nierade wychodziły z domów, były to przeważnie kobiety z ludu, wieśniaczki, lub przybrane jaskrawo ulicznice o farbowanych włosach, brwiach i paznogciach, pachnące zdaleka nardem, z olbrzymiemi zausznicami i w naszyjnikach z monet.

Nadciągnął wreszcie i Sanhedryn — a wśród niego Hanaan, starzec z twarzą sępa i z oczyma w krwawych obwódkach, oraz ociężały Kajafa, przybrany w dwurożną czapkę, z pozłocistą tablicą na piersiach. Razem z nimi szli różni faryzeusze, jako

to: *wlokący nogi*, którzy umyślnie potrącali stopami o wszystkie przeszkody, faryzeusze o *krwawych czołach*, również umyślnie rozbijający je o mury, i faryzeusze *zgarbieni*, niby gotowi do przyjęcia ciężaru grzechów całego miasta na swe ramiona. Posępna powaga i zimna zaciekłość różniła ich od zgielkliwej zgrai pospolitego ludu.

Cinna przyglądał się tej ciżbie ludzkiej z chłodną i pogardliwą twarzą człowieka, należącego do rasy panującej, Antea — ze zdziwieniem i obawą. Wielu Żydów zamieszkiwało Aleksandryę, ale tam byli oni nawpół Hellenami, tu zaś po raz pierwszy widziała ich takimi, jakimi przedstawiał ich prokurator i jakimi byli w swem własnem gnieździe. Jej młoda twarz, na której śmierć wycisnęła już swe piętno, jej do cienia podobna postać, zwracały powszechną uwagę. Przypatrywano się jej natrętnie, o ile pozwalali na to otaczający lektykę żołnierze; tak wielką była jednak tu pogarda i nienawiść dla obcych, że w żadnych oczach nie było widać współczucia,

raczej połyskiwała w nich radość, że ofiara nie ujdzie śmierci. Antea teraz dopiero zrozumiała dokładnie, dlaczego ci ludzie wołali o krzyż dla proroka, który opowiadał miłość.

I ów Nazarejczyk wydał jej się nagle kimś tak blizkim, że niemal drogim. On musiał umrzeć — i ona również. Jego, po wydanym wyroku, już nic nie mogło ocalić — i na nią wyrok zapadł — więc zdawało się Antei, że ich połączyło braterstwo niedoli i śmierci. Tylko on szedł na krzyż z wiarą w pośmiertne jutro, ona tej wiary dotąd nie miała i przyszła jej zaczerpnąć w Jego widoku.

Tymczasem zdala rozległa się wrzawa, świst, wycie, poczem wszystko ucichło. Dał się słyszeć chrzęst zbroi i ciężki krok legionistów. Tłumy zakołysały się, rozstąpiły, i oddział prowadzący skazanych, począł przesuwać się koło lektyki. Z przodu, po bokach i z tyłu szli równym i powolnym krokiem żołnierze, w środku widać było trzy przecznice krzyżów, które zdawały

się same postępować, nieśli je bowiem ludzie zgarbieni pod ciężarem. Łatwo było odgadnąć, że między tymi trzema niema Nazarejczyka, dwaj bowiem mieli bezczelne twarze opryszków, trzecim był niemłody prosty wieśniak, którego widocznie żołnierze zmusili do zastępstwa. Nazarejczyk szedł za krzyżami, mając blizko za sobą dwóch żołnierzy. Szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi. Jedne ściekały mu zwolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną, w kształt jagód dzikiej róży, lub koralowych paciorków. Blady był, posuwał się zwolna chwiejnym, osłabionym krokiem. Szedł wśród urągowiska ciżby, jakby w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na okrzyki nienawiści, lub jakby nad miarę ludzkich przebaczań przebaczający i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie złoto wyniesiony, cichy bar-

dzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

— Prawdą jesteś, — wyszeptała drżącemi ustami Antea.

Orszak przesuwał się teraz tuż koło lektyki. Była nawet chwila, że się zatrzymał, podczas gdy idący na przedzie żołnierze oczyszczali z ciżby drogę. Antea widziała teraz Nazarejczyka o kilka kroków: widziała, jak powiew poruszał zwoje Jego włosów, widziała czerwonawy odblask, padający od płaszcza Jego na wybladłą i przezroczystą twarz. Tłuszcza, rwąc się ku Niemu, otoczyła teraz ciasnem półkolem żołnierzy, tak, że musieli uczynić z włóczni zaporę, by Go bronić przed jej wściekłością. Wszędy widać było wyciągnięte ramiona z zaciśniętemi pięściami, oczy wychodzące z powiek, połyskujące zęby, brody rozchwiane od wściekłych ruchów i usta w pianie, wyrzucające chrapliwe okrzyki. On zaś, spojrzawszy na okół, jakby się chciał spytać: »Com wam uczynił?« — podniósł na-

stępnie oczy ku niebu i modlił się — i przebaczał.

— Anteo! Anteo! — zawołał w tej chwili Cinna.

Lecz Antea zdawała się nie słyszeć tego wołania. Z oczu płynęły jej wielkie łzy, zapomniała o chorobie, zapomniała, że już od wielu dni nie podnosiła się z lektyki, i powstawszy nagle drżąca, nawpół przytomna z żalu, litości i z oburzenia na ślepe okrzyki ciżby, poczęła chwytać hiacynty i kwiat jabłoni i rzucać pod stopy Nazarejczyka.

Na chwilę uczyniło się cicho. Tłum ogarnęło podziwienie na widok tej dostojnej Rzymianki, oddającej cześć Skazanemu. On zwrócił oczy na jej biedną chorą twarz, i usta jego poczęły się poruszać, jakby ją błogosławił. Antea, opadłszy znów na poduszki lektyki, czuła, że spływa na nią morze światła, dobroci, miłosierdzia, otuchy, nadziei, szczęścia, i wyszeptała znowu:

— Tyś jest Prawdą.

Potem nowa fala łez napłynęła jej do oczu.

Lecz Jego popchnięto naprzód, na odległe o kilkadziesiąt kroków od lektyki miejsce, na którem stały już wbite w rozpadliny skał słupy krzyżów. Tłum przesłonił go znowu, lecz że miejsce owo było znacznie wyniesione, Antea ujrzała znów niebawem Jego bladą twarz i cierniową koronę. Legioniści zwrócili się jeszcze raz ku tłuszczy i odegnali ją kijami dość daleko, by nie przeszkadzała egzekucyi. Poczęto teraz przywiązywać dwóch opryszków do bocznych krzyżów. Trzeci krzyż stał w pośrodku z białą kartą, przybitą ćwiekiem na wierzchołku, którą podnosił i szarpał wzmagający się coraz wiatr. Gdy żołnierze, zbliżywszy się wreszcie do Nazarejczyka, jęli Go rozbierać z odzieży, w tłumie zagrzmiały okrzyki: »Król, król! nie daj się, królu! gdzie twoje zastępy? broń się!« Chwilami wybuchał śmiech, który porywał tłuszczę, tak, że nagle cała kamienna wyżyna rozbrzmiewała jednym chychotem. Jego tymczasem rozciągnięto na ziemi, aby Mu ręce przybić do przecznicy krzyża, po-

tem zaś podciągnąć Go, wraz z nią, na słup główny.

Wtem jakiś człowiek, stojący niedaleko lektyki i przybrany w białą simarę, rzucił się nagle na ziemię, zgarnął na głowę pył i okruchy kamienne i począł krzyczeć okropnym, pełnym rozpaczy głosem:

— Byłem trędowaty — uzdrowił mnie — przecz Go krzyżują!?

Antei twarz zbielała jak chusta.

— On go uzdrowił... słyszysz, Kaju? — rzekła.

— Czy chcesz wrócić? — spytał Cinna.

— Nie! Tu zostanę!

A Cinnę ogarnęła, jak wicher, dzika i bezbrzeżna rozpacz, że nie wezwał Nazarejczyka do swego domu, by mu uzdrowił Anteę.

Ale w tej chwili, żołnierze przyłożywszy ćwieki do Jego rąk, poczęli w nie uderzać. Dał się słyszeć tępy szczęk żelaza o żelazo, który wnet zmienił się w donioślej brzmiący rozgłos, gdy ostrza gwoździ przeszedłszy przez ciało, zagłębiły się w drzewo.

Tłumy uciszyły się znów, prawdopodobnie dla tego, by napawać się krzykami, jakie męczarnia mogła wydrzeć z ust Nazarejczyka. Ale on pozostał cichy, i na wyżynie rozlegały się tylko złowrogie i straszne uderzenia młotów.

Wreszcie skończono robotę i przecznicę wraz z ciałem podciągnięto ku górze. Pilnujący roboty setnik wymawiał, a raczej śpiewał jednostajnym głosem słowa komendy, wedle której jeden z żołnierzy począł następnie przygważdżać nogi.

Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrąg, przysłoniły słońce. Odległe wzgórze i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchł. Złowrogi, miedziany mrok ogarnął okolicę, i w miarę, jak słońce zasuwało się coraz głębiej za wały chmur, gęstniał coraz bardziej. Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwonawą ciemność. Gorący wiatr uderzył raz i drugi, potem ścichł. Powietrze stało się parne.

Nagle i owe resztki rudawych blasków

zczerniały. Posępne, jak noc, chmury poczęły się przewracać i posuwać nakształt olbrzymiego wału ku wyżynie i miastu. Szła burza. Świat napełnił się niepokojem.

— Wracajmy! — rzekł znów Cinna.

— Jeszcze, jeszcze chcę Go widzieć! — odpowiedziała Antea.

Ponieważ mrok przesłonił wiszące ciała, Cinna kazał zanieść lektykę bliżej do miejsca męki. Przysunęli się tak blizko, że zaledwie kilka kroków dzieliło ich od krzyża. Na ciemnem drzewie widać było ciało U-krzyżowanego, które w tem powszechnem zaćmieniu wydawało się jakby ze srebrnych promieni księżyca utkane. Pierś Jego podnosiła się szybkim oddechem. Głowę i oczy trzymał jeszcze zwrócone ku górze.

Wtem w głębiach chmur ozwał się głuchy pomruk. Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył się ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się,

w końcu huknął, jak grom, aż ziemia zatrzęsła się w posadach.

Jednocześnie olbrzymia sina błyskawica rozdarła chmury, rozświeciła niebo, ziemię, krzyże, zbroje żołnierzy i zbitą, jak stado owiec, tłuszczę niespokojną i trwożną.

Po błyskawicy zapadła jeszcze grubsza ciemność. W pobliżu lektyki ozwały się łkania jakichś kobiet, które również zbliżyły się do krzyża. Było coś przerażającego w tem łkaniu wśród ciszy. Ci, którzy pogubili się w tłumie, poczęli się teraz nawoływać. Tu i owdzie ozwały się przerażone głosy:

— Ojah! oj lanu! zali nie Sprawiedliwego ukrzyżowano!?

— Który dawał świadectwo prawdzie! Ojah!

— Który wskrzeszał zmarłe. Ojah!

A inny głos zawołał:

— Biada ci, Jeruzalem!

Inny znów:

— Ziemia zadrżała!

Druga błyskawica odkryła głębie nieba

i ukazała w nich jakby olbrzymie ogniste postaci. Głosy ucichły, a raczej zginęły w poświstach wichru, który zerwał się nagle z olbrzymią siłą, zdarł mnóstwo chust, opończy i począł rzucać niemi po wyżynie.

Głosy poczęły znów wołać:

— Ziemia zadrżała!

Niektórzy jęli uciekać. Innych trwoga przykuła do miejsca — i ci stali w osłupieniu, bez myśli, z tem mętnem wrażeniem tylko, że stało się coś straszliwego.

Lecz mrok począł nagle rudnąć. Wicher przewracał chmury, skręcał je i szarpał, jak zetlałe szmaty. Jasność wzrastała stopniowo, nakoniec ciemny strop rozdarł się i przez szczelinę lunął nagle potok słonecznego światła: wnet rozwidniła się wyżyna, zalęknione twarze ludzkie i krzyże.

Głowa Nazarejczyka opadła nizko na piersi, blada jakby woskowa; powieki miał zamknięte i zsiniałe usta.

— Umarł — szepnęła Antea.

— Umarł — powtórzył Cinna.

W tej chwili centuryon sięgnął włócznią

do boku zmarłego. Dziwna rzecz: powrót światła i widok tej śmierci zdawał się uspokajać tłumy. Przysuwały się one teraz coraz bliżej, zwłaszcza, że żołnierze nie bronili już przystępu. Wśród czerni ozwały się głosy:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

Antea raz jeszcze rzuciła oczyma na tę bladą, zwieszoną głowę, poczem ozwała się cicho, jakby sama do siebie:

— Zali zmartwychwstanie?...

Wobec śmierci, kładnącej błękitne piętna na Jego oczy i usta, wobec tych wyciągniętych nad miarę ramion, wobec tego nieruchomego ciała, które już osunęło się ku dołowi ciężarem rzeczy martwych, głos jej drgał rozpaczliwem zwątpieniem.

Niemniejsze zmartwienie targało i duszą Cinny. On również nie wierzył, że Nazarejczyk zmartwychwstanie, ale wierzył, że gdyby żył, On jeden mógłby złą lub dobrą swą mocą uzdrowić Anteę.

A tymczasem coraz liczniejsze głosy wołały naokół:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

— Zejdź — powtórzył z rozpaczą w duchu Cinna, — uzdrów mi ją, zabierz duszę moją!

Wypogadzało się coraz bardziej. Wzgórza były jeszcze we mgle, ale nad wyżyną i miastem niebo oczyściło się zupełnie. »Turris Antonia« błyszczała w słońcu, jaśniejąc sama nakształt słońca. Powietrze uczyniło się świeże i rojne od jaskółek. Cinna dał rozkaz odwrotu.

Godzina była popołudniowa. W pobliżu domu Antea rzekła nagle:

— Hekate nie przyszła dziś.

Cinna także myślał o tem.

VIII.

Widmo nie ukazało się i nazajutrz. Chora była ożywiona niezwykle, albowiem przyjechał z Cezarei Tymon, który niespokojny o życie córki i przerażony listami Cinny, porzucił przed kilku dniami Aleksandryę, aby raz jeszcze zobaczyć przed śmiercią jedyne dziecko. Do serca Cinny poczęła znów kołatać nadzieja, jakby upominając się, by ją wpuścił. Lecz on nie śmiał odemknąć drzwi temu gościowi, nie śmiał się spodziewać. W widzeniach, które zabijały Anteę, bywały już przecież przerwy, wprawdzie nigdy dwudniowe, ale jednodniowe zdarzały się i w Aleksandryi, i na pustyni. Folgę obecną przypisywał Cinna przybyciu Tymona i wrażeniom z pod krzyża,

które tak napełniły duszę chorej, że nawet z ojcem nie mogła o czem innem rozmawiać. Tymon słuchał też w skupieniu, nie przeczył, rozważał, — i tylko wypytywał starannie o naukę Nazarejczyka, o której Antea wiedziała zresztą tylko to, co jej powtórzył prokurator.

Czuła się jednak wogóle zdrowsza i nieco silniejsza, a gdy południe przeszło i minęło, w oczach jej zabłysła prawdziwa otucha. Kilkakrotnie nazwała ów dzień pomyślnym i prosiła męża, by go zapisał.

Dzień zaś był naprawdę smutny i posępny. Deszcz padał od rana, z początku bardzo obfity, potem drobny, siekący, z nizkich, jednostajnie rozciągniętych chmur. Dopiero wieczorem niebo przetarło się, i wielka ognista kula słoneczna wyjrzała z mgieł, umalowała purpurą i złotem chmury, szare opoki, biały marmur portyków willi i stoczyła się wśród niezmiernych blasków w stronę Śródziemnego morza.

Natomiast nazajutrz pogoda uczyniła się

cudna. Dzień zapowiadał się znojny, ale ranek był świeży, niebo bez plamki, a ziemia tak zanurzona w błękitnej kąpieli, że wszystkie przedmioty wydawały się błękitne. Antea kazała się wynieść pod ulubioną pistacyę, aby z wyniosłości, na której stało drzewo, napawać się widokiem wesołej i modrej oddali. Cinna i Tymon nie odstępowali ani krokiem od lektyki, badając pilnie twarz chorej. Był w niej jakiś niepokój oczekiwania, ale nie było tego śmiertelnego przerażenia, jakie ogarniało ją poprzednio przed nadejściem południa. Oczy jej rzucały blask żywszy, a policzki zakwitły słabym rumieńcem. Cinna naprawdę myślał teraz chwilami, że Antea może być uzdrowiona, i na tę myśl chciało mu się rzucić na ziemię, szlochać z radości i błogosławić bogów — to znów ogarniała go trwoga, że to jest może ostatni błysk gasnącej lampy. Chcąc zaczerpnąć skądkolwiek nadziei, spoglądał kiedy niekiedy na Tymona, lecz i temu podobne myśli musiały przechodzić przez głowę, gdyż uni-

kał jego wzroku. Żadne z trojga nie wspomniało słowem, że południe się zbliża. Natomiast Cinna, rzucając co chwila oczyma na cienie, uważał z bijącem sercem, że stają się one coraz krótsze.

I siedzieli, jakby pogrążeni w zadumie. Może najmniej niespokojna była sama Antea. Leżąc w otwartej lektyce, z głową wspartą na purpurowej poduszcze, oddychała z lubością czystem powietrzem, które powiew przynosił z zachodu, od dalekiego morza. Ale przed południem i ów powiew ustał. Upał stawał się większy; przygrzane słońcem cząbry skał i krzaki nardu, poczęły ronić woń mocną i upajającą. Nad kępkami anemonów kołysały się jasne motyle. Ze szpar skalnych małe jaszczurki, które już przywykły do tej lektyki i do tych ludzi, wysuwały się, jak zwykle, jedna za drugą, ufne i zarazem na każdy ruch ostrożne. Świat cały koił się w świetlistej ciszy, w cieple, w pogodnej słodyczy i w błękitnem uśpieniu.

Tymon i Cinna zdawali się również za-

tapiać w tym słonecznym spokoju. Chora przymknęła oczy, jakby ją ogarniał lekki sen — i milczenia nie przerywało nic, prócz westchnień, które kiedy niekiedy podnosiły jej pierś.

A tymczasem Cinna zauważył, że cień jego stracił wydłużony kształt i leży mu tuż pod nogami.

Było południe.

Nagle Antea otworzyła oczy i ozwała się jakimś dziwnym głosem:

— Cinno, daj mi rękę.

On zerwał się, i wszystka krew ścięła mu się lodem w sercu: oto przychodziła godzina strasznych widzeń.

A jej oczy otwierały się coraz szerzej.

— Czy widzisz, — mówiła — jak tam światło zbiera się i zawiązuje w powietrzu, jak drga, błyszczy i zbliża się ku mnie?

— Anteo! nie patrz tam! — krzyknął Cinna.

Lecz o dziwo! na obliczu jej nie było przerażenia. Rozchyliły się usta, oczy patrzały coraz szerzej — i jakaś niezmierna radość poczęła rozjaśniać jej twarz.

— Słup światła zbliża się ku mnie — mówiła dalej. — Widzę! To On, to Nazarejczyk!... Uśmiecha się... O słodki... o miłościwy!... Ręce przebite wyciąga, jak matka ku mnie. Cinno! On niesie mi zdrowie, zbawienie i wzywa mnie do siebie.

A Cinna pobladł bardzo i rzekł:

— Gdziekolwiek nas wzywa — pójdźmy za Nim!

W chwilę później, z drugiej strony na kamiennej ścieżce, prowadzącej do miasta, zjawił się Pontius Pilatus. Nim się zbliżył, widać było z jego twarzy, że niesie jakąś nowinę, którą, jako rozsądny człowiek, uważa za nowy dziwaczny wymysł łatwowiernych i ciemnych tłumów. Jakoż zdaleka jeszcze począł wołać, ocierając pot z czoła:

— Wyobraźcie sobie, co ci znów rozpowiadają: że zmartwychwstał!

LISTY O ZOLI

(„LE DOCTEUR PASCAL")

Chcesz, abym wypowiedział, co myślę o »Doktorze Pascalu« Zoli i w ogóle o całym cyklu Rougon Macquartów. Może dlatego, że pochodzę ze społeczeństwa, w którem tyle sił idzie na marne, dość, że każde dzieło zamierzone i skończone przejmuje mnie rzetelnym szacunkiem i zarazem ma dla mnie jakiś dziwny i wyjątkowy urok. Ilekroć zdarzyło mi się podpisywać pod jakąkolwiek moją pracą to słowo *„Koniec“*, tylekroć doznawałem jakby uczucia radości, nietylko z powodu skończonego trudu, nietylko ze względu na przyszłe możliwe powodzenie książki, ale równie z poczucia dokonanego czynu. Bo każda książka, to czyn — zły lub dobry, ale dokonany — cały zaś ich szereg, zwłaszcza napisany w imię jednej myśli przewodniej, to

zadanie życia spełnione, to uroczystość dożynek, podczas której przodownikowi służy prawo do wieńca i do pieśni: »Plon niesiem, plon!«

Ale oczywiście zasługa zależy od plonu. Zawód pisarski ma swoje kolce, o których się czytelnikom nie śniło. Chłop, zwożący snopy do stodoły, ma tę zupełną pewność, że zwozi pszenicę, żyto, jęczmień lub grykę, które pójdą ludziom na zdrowie. Autor, w najlepszej nawet wierze piszący, może mieć chwile zwątpienia: czy dzieło jego nie jest jedną wielką pomyłką lub jedną wielką winą? czy wyszło ludziom na dobre? czyby nie lepiej było i dla nich i dla niego samego, gdyby był niczego nie dokonał, nic nie napisał i zmarniał?

Wątpliwości są wrogiem ludzkiego spokoju, ale zarazem i filtrem, który nie przepuszcza mętnego osadu. Źle, gdy ich jest za wiele, źle, gdy za mało; w pierwszym razie ginie zdolność do czynu, w drugim sumienie. Stąd odwieczna, jak ludzkość, potrzeba regulatora z zewnątrz.

Lecz francuzcy pisarze odznaczali się zawsze nieporównanie większą bezwzględnością od innych, ów zaś regulator, którym gdzieindziej bywała religia, przestał dla nich istnieć oddawna. Zdarzały się zapewne wyjątki. Balzac twierdził, że zadaniem jego było służyć religii i monarchii. Lecz nawet dzieła tych, którzy wygłaszali podobne zasady, nie bywały z niemi zgodne. Możnaby powiedzieć, że tak podobało się rozumieć swoją działalność autorom, ogół zaś czytający mógł ją rozumieć i częstokroć rozumiał, jako negacyę zasad społecznych, religijnych, etycznych. W ostatniej jednak epoce podobne nieporozumienie stało się niemożliwem, autorowie bowiem otwarcie zaczęli występować albo w imię własnych osobistych przekonań, nie liczących się z niczem i wprost przeciwnych podstawom i węzłom społecznym, albo z objektywną analizą, która w rozbiorze życia notuje zło i dobro, jako objawy zarówno konieczne i zarówno usprawiedliwione. Francyę, a przez Francyę i resztę Europy, jęła

zalewać powódź książek, pisanych z tak lekkiem sercem, tak bezwzględnie i zuchwale, tak nie liczących się z żadną odpowiedzialnością wobec ludzi, że nawet tych, którzy przyjmowali je również bez skrupułu, poczęło ogarniać zdziwienie. Zdawało się, iż każdy autor wysadza się na to, by pójść dalej nawet, niż się po nim spodziewano. W ten sposób dochodziło się do nazwy śmiałego myśliciela i oryginalnego artysty. Zuchwałość w poruszaniu przedmiotów i w sposobie przedstawiania ich zdawała się być najcenniejszym przymiotem pisarza. Przyszła do tego zła wiara lub nieświadome oszukiwanie siebie i drugich. — Analiza! Analizowano w imię prawdy, która niby musi i ma prawo być wypowiedzianą, wszystko, lecz przeważnie zło, brudy, ludzką zgniliznę i ohydę. Nie spostrzeżono się, że ta pseudo-analiza przestaje być objektywnym rozbiorem, a staje się chorobliwem zamiłowaniem w rzeczach zgniłych, z dwóch przyczyn: naprzód z zepsucia smaku, powtóre z większej łatwości wy-

twarzania efektów jaskrawych. Skorzystano z tej fizyologicznej właściwości zmysłów, na mocy której wrażenia wstrętne wydają nam się silniejsze i rzeczywistsze, niż przyjemne — i nadużyto tej właściwości bez miary. Wytworzyło się pewnego rodzaju komiwojażerstwo w zgniliźnie, przy prędkiem bowiem zużywaniu przedmiotów chodziło o to, by wynaleźć coś nowego, coby jeszcze mogło targnąć. Sama prawda, w której imię to się działo, poszła wobec tych wymagań w kąt. Znasz »La Terre« Zoli? Ma w tem być obraz wsi francuskiej Przypomnij sobie jakąkolwiek francuską lub inną. Co to razem jest? — oto zbiór chat, drzew, pól ornych, łanów zboża, kwiatów polnych, ludzi, trzód, światła, błękitu, śpiewów, małych interesów zaściankowych i pracy. W tem wszystkiem bez wątpienia nawóz odgrywa niemałą rolę, ale jest jeszcze coś poza nim i obok niego. Tymczasem wieś Zoli wygląda tak, jakby się składała wyłącznie z gnoju i zbrodni. I oto obraz jest fałszywy, prawda skrzywiona,

gdyż w naturze prawdziwy stosunek rzeczy jest inny. Gdyby ktoś zadał sobie trud ułożenia listy kobiet, występujących w powieści francuskiej, przekonałby się, że przynajmniej dziewięćdziesiąt pięć procent jest upadłych. Tymczasem w społeczeństwie tak nie jest i być nie może. Prawdopodobnie nie było nigdy takiego stosunku nawet w tych krajach, w których ongi czczono Astartę. A jednak autorowie chcą w nas wmówić, że dają prawdziwy obraz społeczeństwa i że ich obyczajowa analiza jest objektywną. Kłamstwo, przesada, lubowanie się w rzeczach zgniłych — oto dokładny obraz beletrystycznego żniwa czasów ostatnich. Nie wiem, co na tem zyskała literatura, ale wiem, że dyabeł nic nie stracił, płynęła bowiem tą drogą cała rzeka błota i trucizny, a zmysł moralny tak tępiał, że w końcu począł łatwo znosić takie książki, które kilka dziesiątków lat temu zaprowadziłyby autora przed sąd. Dziś wierzyć się nie chce, że niegdyś »Madame Bovary« naraziła autora na dwukrotny proces. Gdyby

była napisana we dwadzieścia lat później, uznanoby ją za zbyt skromną.

Lecz duch ludzki, który nie zasypia, i organizm, który chce żyć, nie znoszą nadmiaru trucizn. Przyszła wreszcie chwila na czkawkę obrzydzenia. Poczynają się obecnie podnosić głosy, wołające o inny chleb umysłowy; rodzi się instynktowe poczucie, że tak dalej iść nie może, że trzeba się podnieść, otrząsnąć z błota, oczyścić, zmienić. Ludzie wołają o świeży powiew. Ogół nie umie powiedzieć, czego chce, ale wie, czego nie chce, wie, że oddychał miazmatami, i że mu duszno. Niepokój ogarnia umysły. W tej samej Francyi czegoś się szuka i o coś woła. Poczyna się głucha protestacya przeciw panującemu stanowi rzeczy. Wielu pisarzów odczuwa ów niepokój. Przychodzą na nich takie chwile zwątpienia, o jakich wspomniałem wyżej, a przytem lęku i goryczy, spotęgowanej niepewnością dróg nowych. Patrz na ostatnie książki Bourgetów, Rodów, Barrèsów, Desjardinsów, na poezye Rimbauda, Verlaina, Heredii, Malarmego, a choćby

Maeterlincka i jego szkoły. Co w nich jest? Poszukiwanie nowej treści i nowych form, gorączkowe poszukiwanie jakiegoś wyjścia, niepewność, dokąd się zwrócić i gdzie szukać ratunku, czy w mistycyzmie, czy w wierze, czy w obowiązkach poza wiarą, czy w patryotyzmie, czy w ludzkości? Przedewszystkiem jednak widać w nich niepokój ogromny. Wyjścia nie znajdują, bo do tego potrzeba dwóch rzeczy: wielkiej idei i wielkiego talentu, a oni nie mają ni idei, ni potężnego talentu. Stąd niepokój wzrasta jeszcze bardziej, i ci sami, którzy występują przeciw grubijańskiemu pesymizmowi naturalistycznego kierunku, sami wpadają w pesymizm, przez co osłabia się główne znaczenie i zadanie, jakie mogłaby mieć reforma. Co bowiem pozostaje? Dziwactwo formy. I w tem dziwactwie, czy ono się nazywa symbolizmem, czy impresyonizmem, brnie się coraz głębiej i gmatwa się coraz bardziej i traci się artystyczną równowagę, zdrowy rozum, pogodę duszy, często popada się w dawniejszą zgni-

liznę pod względem treści, a prawie zawsze w rozbrat z samym sobą, ma się bowiem i słuszne i cne poczucie, że trzeba dać światu coś nowego, a nie wie się co.

Taka jest chwila obecna.

Mniejsza z tem, że każdy złodziej grosza publicznego, czy prywatnego, lub każdy morderca, może się powołać na jakąś neurasteniczną babkę. Sądy, mimo cyklu Rougon-Macquartów, umieszczą ich za kratą. Zło leży nie w poszczególnych wypadkach, ale w tem, że w dusze ludzkie spływa niesłychany pesymizm i pognębienie, że zatraca się w nich urok życia, nadzieja, energia, ochota do życia, a zatem i do wszelkich wysiłków w kierunku dobra. A quoi bon? Oto pytanie, które nastręcza się samo przez się. Książka to przecie także czynnik, urabiający duszę ludzką. Gdybyż przynajmniej czytelnik znalazł w książkach Zoli złe i dobre strony życia w równoważnym stosunku, gdyby przynajmniej w takim, w jakim one znajdują się w rzeczywistości. Próżna nadzieja. Trzeba się wysoko wspinać, by do-

stać barw od zorzy lub tęczy, a ślinę każdy ma w ustach, i malować nią łatwiej. Ten naturalista lubi więcej od innych tanie efekta: woli zaduch niż zapach, zgniliznę niż żywą krew, próchno niż zdrową miazgę, nawóz niż kwiaty, la bête humaine niż l'âme humaine!

Gdybyśmy mogli sprowadzić jakiego mieszkańca Marsa lub Wenus i kazać mu wnioskować o życiu na ziemi z powieści Zoli, powiedziałby niewątpliwie: «Życie to bywa czasem trochę czystem, jako *„le rêve“*, ale wogóle jest to rzecz mocno niepachnąca, często obślizgła, najczęściej straszna». I gdyby nawet te teorye, na których wspiera się Zola, były, jak nie są, uznanemi prawdami, co za brak miłosierdzia przedstawiać tak życie ludziom, którzy jednak muszą żyć! Czy w tym celu, by je stoczyć, zbrzydzić, splugawić, zatruć każdą czynność, sparaliżować wszelką energię, odjąć ochotę do wszelkiego myślenia? Wobec tego, doprawdy, ma mu się za złe nawet talent. Lepiej dla niego, lepiej dla Francyi byłoby,

żeby go nie miał. I czasem dziw bierze, że go nie ogarnia bojaźń, iż gdy niepokój chwyta tych nawet, którzy nie hetmanili rozkładowi, on jeden z tak spokojnem czołem kończy swoich Rougon-Macquartów, jak gdyby zdolność życiową Francuzów potęgował, nie zaś łamał. Jakim sposobem nie przychodzi mu do głowy, że ludzie, którzy chowali się na tym zepsutym chlebie i na tej zgniłej wodzie, nietylko nie oprą się burzy, ale nawet nie będą mieli do tego ochoty? Musset w swoim czasie napisał słynny wiersz: «Myśmy już mieli wasz Ren niemiecki» — Zola tak wychowuje swoje społeczeństwo, że gdyby wszystko, co szczepi, naprawdę się wszczepiło, drugi wiersz pieśni Musseta mógłby brzmieć tak: «Lecz dziś oddamy wam nawet Sekwanę». A przecie tak źle jeszcze nie jest!

«La Débâcle» jest, mimo swych usterek, znakomitą książką, ale żołnierze, którzy ją czytać będą, ustąpią tym, którzy nocami śpiewają psalm: «Chrystus zmartwychwstał!» Gdybym był Francuzem, uważał-

bym talent Zoli za narodowe nieszczęście i cieszyłbym się, że jego czas mija, że nawet najbliżsi uczniowie opuszczają mistrza i że coraz bardziej zostaje sam.

Czy przytem zostanie w pamięci ludzkiej, w literaturze, czy sława jego nie minie — przesądzać trudno, wątpić wolno. W cyklu Rougon-Macquartów są tomy istotnie potężne, jak «Germinal» lub «La Débâcle». Lecz wogóle to, co wrodzony talent Zoli uczynił dla jego nieśmiertelności, to popsuło jego lubowanie się w brudnym realizmie i jego język wprost plugawy. Literatura nie może posługiwać się takiemi wyrażeniami, jakich wstydzą się między sobą nawet prostacy. Prawda realna, o ile chodzi o ludzi występnych, upadłych, o nędzarzy, da się osiągnąć innym sposobem, przez prawdopodobne oddanie ich stanów duszy, myśli, czynów, wreszcie przez tok ich mowy, ale nie przez cytowanie dosłowne ich przekleństw i najwstrętniejszych słów. Tak w doborze obrazów, jak w doborze wyrażeń, istnieje pewna miara, wskazywana

przez rozsądek i dobry smak. Zola ją przebrał do takiego stopnia («La Terre»), do jakiego nikt dotychczas nie śmiał się posunąć. Potworne płody dlatego, że są potworne, skazane są na śmierć. Książka, która budzi obrzydzenie, musi być rzuconą. To także leży w naturze rzeczy. Z dawnych utworów powszechnej literatury przeżyły zapomnienie płody grube, przeznaczone do budzenia śmiechu (Arystofanes, Rabelais itd.), lub rzeczy swawolne, ale pisane wykwintnie (Boccacio), nie przeżyła ani jedna, obliczona na pobudzenie mdłości. Zola, dla rozgłosu, jaki powstawał z powodu jego książek, dla skandalu, jaki wywoływał każdy pojedynczy tom, zabijał swoją przyszłość. Zdarzyła się też wskutek tego dziwna rzecz, że on, człowiek piszący według ułożonego planu, piszący z rozmysłem, zimny i panujący, jak mało kto, nad przedmiotem, tworzył rzeczy najlepsze tylko wówczas, gdy miał jak najmniej sposobności do przeprowadzenia swoich planów, doktryn, sposobów, słowem wówczas, gdy jak

najmniej panował nad przedmiotem, a jak najwięcej przedmiot nad nim.

Tak zdarzyło się w «Germinalu» i «La Débâcle». Ogrom socyalizmu i ogrom wojny zgniotły poprostu Zolę z całym jego aparatem umysłowym. Jego doktryny zmalały wobec takich rozmiarów i zaledwie je słychać w szumie powodzi, zalewającej kopalnię i przy huku dział pruskich. Został tylko talent. To też i w tej i w tamtej powieści są prawdziwe dantejskie karty. Z «Doktorem Pascalem» stało się coś przeciwnego. Jako ostatni tom cyklu musiał on być ostatecznym wnioskiem, wyprowadzonym z całego dzieła, syntezą doktryny, wieżycą kończącą gmach. Z tego powodu więcej się w nim mówi o doktrynie, niż w którymkolwiek z poprzednich tomów, że zaś doktryna jest zła, licha, fałszywa i marna, przeto i «Docteur Pascal» jest najlichszą i najnudniejszą książką z całego cyklu Rougon-Macquartów. Szereg kart pustych, jałowych, na których nuda bierze się za ręce z brakiem zmysłu moralnego, bladość

obrazów z fałszem — oto «Le docteur Pascal». Zola chce go mieć porządnym człowiekiem. Jest to wyrodek z Rougon-Macquartów. W dziedziczności trafiają się takie szczęśliwe wyrodzenia — doktor wie o tem, sam uważa się za błogi wyjątek, i jest to dla niego źródłem nieustającej wewnętrznej pociechy. Tymczasem kocha ludzi, służy im i zastrzykuje ich wynalezionym przez siebie płynem, który jest walnym środkiem na wszelkie dolegliwości. Jest to słodki mędrzec, który bada życie, więc zbiera «dokumenta ludzkie», buduje mozolnie drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów, których sam jest potomkiem, i na mocy swych obserwacyj dochodzi do takich samych wniosków, jak Zola. Do jakich? Trudno na to odpowiedzieć; oto mniej więcej, że jak kto nie jest zdrów, to zwykle bywa chory, i że dziedziczność istnieje, ale że matki lub ojcowie, pochodzący z innych rodzin, mogą wnosić do krwi dzieci nowe pierwiastki, tak, że dziedziczność może być

modyfikowaną do takiego stopnia, iż ściśle biorąc, nie istnieje.

Doktor Pascal jest przytem pozytywistą. Nie chce nic przesądzać, ale twierdzi, że dzisiejszy stan wiedzy nie pozwala na wyprowadzenie dalszych wniosków nad te, które na mocy obserwacyi faktów znanych wyprowadzić się dadzą, więc też tych należy się trzymać, reszty zaniechać. Pod tym względem przesądy jego nie mówią nam nic nowszego od artykułów dziennikarskich, pisanych przez młodych pozytywistów. Dla ludzi, którzy się rwą, dla tych potrzeb duchowych, tak silnych, jak głód i pragnienie, z mocy których człowiek odczuł takie pojęcia, jak Bóg, wiara, nieśmiertelność, doktor ma tylko uśmiech politowania. I możnaby mu się nieco dziwić. Rozumiałoby się go lepiej, gdyby nie uznawał możności rozwiązania różnych oderwanych pytań, ale on twierdzi, że i potrzeba nie istnieje — przez co grzeszy przeciw oczywistości, bo oto potrzeba taka istnieje, nie dalej, niż pod jego własnym dachem, w oso-

bie jego siostrzenicy. Ta młoda osoba, wychowana w jego zasadach, traci nagle grunt pod nogami. W duszy jej rodzi się więcej pytań, niż tyle, na ile doktor może odpowiedzieć. I z tą chwilą poczyna się dramat dla nich obojga.

— Ja na tem nie mogę poprzestać — woła siostrzenica — ja się dławię, ja muszę coś wiedzieć, czegoś być pewną, a jeśli twoja nauka nie może tej mojej nieprzepartej potrzeby zaspokoić, tedy idę tam, gdzie mnie nietylko uspokoją, nietylko wszystko wytłómaczą, ale uczynią szczęśliwą — idę do kościoła.

I idzie. Drogi mistrza i uczennicy rozchodzą się coraz bardziej. Uczennica dochodzi do przekonania, że ta nauka, która jest tylko pętlą na szyję ludzką, jest wprost złą, i że zasługą przed Bogiem byłoby spalić te szpargały, w których doktor zapisuje swoje spostrzeżenia. I dramat spiętrza się, bo mimo sześćdziesięciu lat doktora, a dwudziestu kilku Klotyldy, tych dwoje ludzi kocha się, nietylko tak, jak kochają się

krewni, ale jak mężczyzna i kobieta. Ta miłość dodaje goryczy walce i przyśpiesza katastrofę.

Wśród tych szukających po omacku, błądzących i niespokojnych, jeden przedewszystkiem pozostał spokojny, pewien siebie i własnej doktryny, niewzruszony i niemal pogodny w swoim pesymizmie, to Emil Zola. Talent wielki, siła powolna, ale wielka i cierpliwa, objektywizm, jeśli mowa o uczuciu, zadziwiający, bo równy zupełnej prawie obojętności, dar widzenia zbiorowej duszy ludzkiej i rzeczowej tak wyjątkowy, że zbliżający tego naturalistycznego pisarza do mistyków, — czynią z niego postać niepowszednią i bardzo oryginalną. Nie zawsze twarz fizyczna człowieka odbija jego duchowną osobistość. W Zoli związek ten występuje nader wybitnie. Twarz kwadratowa, czoło nizkie i pokryte zmarszczkami, rysy grube, wysokie ramiona i krótki kark, dają jego postaci coś grubijańskiego. Z twarzy tej i ze zmarszczek koło oczu odgadniesz, że to jest człowiek, który dużo

wytrzyma, wiele potrafi udźwignąć, uparty i wytrwały aż do zaciętości, nietylko w zamiarach i w ich urzeczywistnianiu, ale, co główna, i w myśleniu. Bystrości nie masz w nim. Na pierwszy rzut oka widać, że to jest zamknięty w sobie doktryner, który, jako doktryner, nie ogarnia szerokich widnokręgów, widzi wszystko pod pewnym kątem i ciasno, ale widzi wyraźnie. Umysł jego, jak ślepa latarka, rzuca wązkie światło w jednym tylko kierunku, i idzie w tymże kierunku z niezachwianą pewnością. I oto zarazem objaśnia się historya tego całego szeregu książek, które noszą ogólny tytuł: »Les Rougon-Macquart«. Zola postanowił napisać historyę danego rodu za czasów Cesarstwa, na tle warunków, jakie ono wytworzyło, z uwzględnieniem prawa dziedziczności. Chodziło nawet o coś więcej, niż uwzględnienie, albowiem owa dziedziczność miała stanowić fizyologiczną podstawę dzieła.

Istnieje tu pewna sprzeczność w założeniu. Rougon-Macquartowie, biorąc histo-

rycznie, mieli być obrazem francuskiego społeczeństwa z ostatnich czasów i jego normalnych objawów życia, zatem sami winni byli być rodziną mniej więcej normalną. Ale w takim razie: co robić z dziedzicznością? Zapewne, że rodziny normalne są takiemi również na mocy praw dziedziczności — wykazać jej jednak w tych warunkach niepodobna, można zaś to uczynić tylko na zboczeniach od normalnego typu. Więc też istotnie Rougonowie są rodziną chorą. Są to dzieci newrozy. Popadła w nią pierwotna matka rodu, i odtąd potomkowie rodzili się już z jej piętnem na czole. Tak chce autor i trzeba się na to zgodzić. Jakim jednak sposobem historya rodziny, wyjątkowo dotkniętej zboczeniami umysłowemi, może być jednocześnie obrazem francuskiego społeczeństwa, tego nam autor nie tłómaczy. Gdyby odpowiedział, że za Cesarstwa całe społeczeństwo było chore, byłby to wykręt. Społeczeństwo może iść zgubną drogą polityczną lub obyczajową, jak to czyniło nasze w XVIII wieku

i być jako ogół chorem, ale składać się z osobników i rodzin zdrowych. To są dwie rzeczy różne. Jedno więc z dwojga: albo Rougonowie są chorzy, a wówczas cykl powieści o nich nie jest obrazem Francyi za Cesarstwa, tylko studyum psychologicznem, albo cała podstawa fizyologiczna, cała owa dziedziczność, na której cykl jest oparty, słowem, cała doktryna Zoli, — jest nonsensem. Nie wiem, czy kto zwracał kiedy uwagę Zoli na to: aut, aut! To pewna, że on sam nie zwrócił jej nigdy. Prawdopodobnie przytem nie miałoby to na niego żadnego wpływu, tak, jak nie miały krytyki jego teoryi dziedziczności. I beletryści i fizyologowie występowali przeciw niej nieraz z całym zasobem nieprzepartych dowodów. Nic nie pomogło. Próżno twierdzono, że teorya dziedziczności w ścisłej nauce nie jest zbadaną, dowiedzioną, i co przedewszystkiem: do uchwycenia i wykazania na drodze faktów dotychczas niepodobną; próżno dowodzono, że fizyologia nie może być fantastyczną, a jej prawa nie

mogą zależeć od dowolnych pomysłów autorskich, — Zola słuchał, pisał dalej i w końcowym tomie dzieła dodał drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów, tak spokojnie, jakby nikt nigdy jego teoryi nie podawał w wątpliwość.

Ostatecznie, to drzewo ma jedną dobrą stronę. Jest tak pretensyonalne, że aż śmieszne, i odejmuje teoryi tę resztkę powagi, jakąby ona dla mniej samodzielnych umysłów mieć mogła. Dowiadujemy się z niego, że z chorej nerwowo, a przytem łatwej w stosunkach prababki wyrasta chory ród. Lecz ktoby sądził, że jej newroza odbija się w potomkach, tak, jak to bywa w zakresie fizycznym, w pewien jednolity sposób, w jakiejś przeważnej do czegoś skłonności, lub namiętności, tenby się mylił. Przeciwnie: cudowne drzewo rodzi najróżnorodniejsze owoce. Są na niem różowe jabłka, grusze, śliwki, daktyle, niespliki i co kto chce. A wszystko z powodu babcinej newrozy! Czy tak bywa w naturze? Nie wiemy. Sam Zola nie ma na to innych

danych, prócz jakoby wycinków z gazet, opisujących różne zbrodnie, które przechowuje starannie, jako »dokumenta ludzkie« i którymi manewruje według własnej fantazyi. I to mu wolno; niech tylko nie sprzedaje nam tej fantazyi, jako odwiecznego i niezmiennego prawa natury. Babka miała newrozę, jej najbliżsi przyjaciele mieli zwyczaj szukać, nie w aptece, lekarstwa na frasunek, więc męscy i żeńscy potomkowie babki są tem, czem *muszą* być — mianowicie: zbrodniarzami, złodziejami, ulicznicami, porządnymi ludźmi, świętymi, politykami, dobremi matkami, stręczycielkami, bankierami, rolnikami, mordercami, księżmi, żołnierzami, ministrami, słowem wszystkiem, czem w zakresie umysłu, w zakresie zdrowia, w zakresie majątku i położenia, w zakresie zawodu, mogą być i bywają tak mężczyźni, jak kobiety na całym świecie. I mimowoli ogarnia osłupienie. Więc co? Więc to wszystko przez babciną newrozę? Tak! — odpowiada autor. — Ale, gdyby Adelajda Fouque jej nie miała, prze-

cie potomstwo jej także musiałoby być złem lub dobrem i zajmować się tem, czem zwykle zajmują się na świecie mężczyźni lub kobiety? — Zapewne! — odpowiada Zola — ale Adelajda Fouque miała newrozę. — I dalsza rozprawa staje się wprost niepodobną, ma się bowiem do czynienia z człowiekiem, który własną dowolną fantazyę bierze za prawo natury i którego umysłu zwyczajny klucz, jakiego dostarcza logika, nie otwiera. Oto zbudował sobie drzewo genealogiczne; to drzewo mogło być inne — ale gdyby było inne, onby utrzymywał, że jedynie może być takiem, jak jest — i łatwiej byłoby go zabić, niż przekonać, że jego teorya nic nie warta.

Zresztą, jest to teorya tego rodzaju, że właściwie niema o co się kłócić. Dawno już powiedziano: u Zoli jest jedna rzecz dobra — jego talent, i jedna zła — jego doktryna. Jeśli skutkiem odziedziczonej po jednym i tym samym przodku newrozy, można być tak dobrze łotrem, jak porządnym człowiekiem, tak dobrze Naną, jak

Siostrą miłosierdzia, tak dobrze zwierzęciem, jak mędrcem, tak dobrze parobkiem, jak Achillesem — to w takim razie — »jest tam taki mostek, co go niema« — jest to taka dziedziczność, której niema. Człowiek może być tem, czem sam chce. Pole dla dobrej woli i odpowiedzialności zupełnie otwarte, i te wszystkie moralne podstawy, na których wspiera się życie ludzkie, wychodzą bez szwanku z opałów. Autorowi możnaby powiedzieć, że jest to: »to much ado about nothing«, i skończyć z nim, jako z doktrynerem, a liczyć się tylko, jako z talentem. Lecz jemu o co innego chodzi. Jakkolwiek luźną i poprostu żadną jest jego doktryna, on wyprowadza z niej inne wnioski. Cały cykl jego książek mówi wyraźnie i niedwuznacznie: »Czemkolwiek jesteś, świętym, czy zbrodniarzem, jesteś nim z mocy prawa dziedziczności — jesteś takim, jak być musisz, i w żadnym razie niema ani twojej winy, ani twojej zasługi«. Ach, oto kwestya odpowiedzialności! Ani tu pora, ani miejsce jej poruszać. Filozofia

nie znalazła dowodu na to, że człowiek istnieje, a gdy kartezyańskie: »cogito ergo sum« nie okazało się wystarczającem — pytanie jest dotychczas otwarte. Tak samo z odpowiedzialnością. Niechby całe wieki filozofii twierdziły tak lub inaczej, człowiek ma przeświadczenie wewnętrzne, że istnieje — i niemniej mocne przeświadczenie, że jest odpowiedzialny, i całe jego życie, bez względu na jego teorye, jest na takiem przeświadczeniu oparte. Zresztą i ścisła nauka kwestyi woli i odpowiedzialności nie rozstrzygnęła. Przeciw powagom można zacytować powagi, przeciw opiniom opinie, przeciw wywodom wywody. Dla Zoli jednak jest to kwestya rozstrzygnięta. Odpowiedzialności niema, jest tylko jakaś babka Adelajda lub dziadek Jacques, od których wszystko zależy. I odtąd zaczyna się, podług mnie, zgubny wpływ tego pisarza, gdyż on nietylko nieprzesądzone pytania przesądza, ale je popularyzuje, wszczepia i ułatwia rozkład.

Pewnej nocy doktor chwyta siostrzenicę

na zbrodni. Oto dobrała się do jego szafy, powyciągała szpargały i gotuje się je spalić. Wtedy poczynają się bić. Piękny obraz! On w bieliźnie, ona w gieźle nocnem, i ciągają się za czupryny, szarpią się, drapią. On jest mocniejszy, a ona, jakkolwiek wylomotał ją i pokrwawił, odczuwa pewną przyjemność w tem doświadczeniu na własnej dziewiczej skórze siły męskiej. I w tem jest cały Zola. Ale słuchajmy, bo chwila stanowcza zbliża się. Sam doktor, wysapawszy się nieco, zapowiada ją uroczyście. Czytelnika zdejmuje dreszcz. Czy doktor siłą swego geniuszu rozedrze nocne niebo i pokaże jej pustkę nad gwiazdami, czy siłą wymowy zwali w proch jej kościół, jej wierzenia, jej porywy, jej nadzieje? Mimowoli przychodzi na myśl wiersz:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

W ciszy odzywa się nizki głos doktora:

— Nie chciałem ci tego pokazywać, ale tak dłużej żyć nie można, więc czas nad-

szedł. Podaj mi drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów.

Co? Co?

Tak jest! Drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów! W ciszy zaczyna się czytanie: Była sobie Adelajda Fouque, która miała męża Rougona, a przyjaciela Macquarta. Z Rougona urodził się Eugeniusz Rougon, takoż Pascal Rougon, takoż Arystydes, takoż Sydonia, takoż Marta. A z Arystydesa urodził się Maksym, takoż Klotylda, takoż Wiktor, a z Maksyma urodził się Karol i na tem koniec; lecz Sydonia miała córkę Anielę, a Marta, która poszła za Moureta, który pochodził z Macquartów, miała troje dzieci i t. d.

Noc przechodzi, blednie, a czytanie trwa. Po Rougonach przychodzą Macquartowie — później potomstwo obu połączonych rodów. Idzie imię za imieniem, nazwisko za nazwiskiem. Występują źli, występują dobrzy, występują obojętni, występują wszelkie stany, od ministrów, bankierów, wielkich kupców, aż do prostych żołnierzy, albo dra-

pichrustów bez zajęcia — wreszcie doktor przestaje czytać — i spojrzawszy swemi oczyma mędrca na siostrzenicę, pyta:

— No, i cóż teraz?

A piękna Klotylda rzuca się w jego objęcia:

— Vicisti! vicisti!

I jej Bóg, jej wiara, jej kościół, jej porywy ku ideałom, jej potrzeby ducha, rozsypują się w proch.

Dlaczego? Na mocy jakiego ostatecznego wniosku? dla jakiej dobrej racyi? Co ją mogło w tem drzewie przekonać, co wywrzeć jakiekolwiek inne wrażenie, prócz wrażenia nudy? Dlaczego z ust jej nie wyszło pytanie, które narzuca się nieprzeparcie czytelnikowi: »A więc cóż z tego?« — Niewiadomo. Nie zdarzyło mi się nigdy zauważyć, by jakikolwiek autor, z przyczyny tak błahej i tak ubocznej, wyprowadzał tak wielkie i bezpośrednie skutki. Jest to coś tak zdumiewającego, jak gdyby Zola kazał rozpaść się w proch wierze i zasadom Klotyldy, na skutek przeczyta-

nia jej przez doktora kalendarza, przewodnika kolejowego, listy potraw, lub katalogu jakiegoś muzeum. Dowolność przechodzi tu wszelkie granice i staje się wprost niezrozumiałą. Czytelnik pyta się, czy autor łudzi sam siebie, czy też chce zasypać piaskiem oczy publiczności? I ten punkt kulminacyjny powieści jest zarazem upadkiem i jej całej doktryny. Klotylda winna była odpowiedzieć, co następuje:

»Twoja teorya nie stoi w żadnym związku z moją wiarą w Boga i Kościół. Twoja dziedziczność jest tak *luźną* i na mocy jej tak dalece można być *wszystkiem*, że ona sama staje się *niczem* — a więc i wszystkie dalsze wnioski, które z niej wyprowadzasz, również oparte są na niczem. Nana, według ciebie, jest ulicznicą, a Aniela świętą; ksiądz Mouret jest ascetą, Jaques Lautier mordercą, a wszystko z powodu babki Adelajdy? A ja ci powiadam z większem realnem prawdopodobieństwem, że dobrzy są dobrymi dlatego, że mają moją wiarę, że wierzą w odpowiedzialność i nieśmiertelność

duszy, a źli są złymi dlatego, że w nic nie wierzą. Czem mi dowiedziesz, że przyczyną zła i dobra jest Adelajda Fouque? Chyba zaręczysz słowem; chyba powtórzysz, że tak jest, bo jest; ja zaś mogę ci powiedzieć, że wiara i poczucie odpowiedzialności były od wieków hamulcem złego, i temu, jeśli choć trochę liczysz się jako pozywista z rzeczywistością, zaprzeczyć nie potrafisz. Jednem słowem, ja mam dowody objektywne, ty tylko swoje osobiste »widzi mi się«; jeśli zaś tak jest, to zostaw mi moją wiarę, a swoje fantastyczne drzewo sam wrzuć do pieca«.

Lecz Klotylda nie odpowiada nic podobnego. Przeciwnie, ona odrazu spożywa jabłko z tego marnego drzewa — i przechodzi z duszą i ciałem do obozu doktora, a czyni to jedynie i wyłącznie dlatego, że się Zoli tak podoba. Innej przyczyny niema i być nie mogło.

Gdyby przeszła z miłości dla doktora, gdyby ten powód, który w kobiecie może odegrać tak wielką rolę, istotnie ją odegrał,

byłoby to jeszcze zrozumiałem. Ale nie! Bo w takim razie, cóżby się stało z całą doktryną Zoli? To ona jedynie wpływa na Klotyldę, to jej stronę rozumową chce mieć autor tak nieprzepartą. I dzieje się tak, jak on chce, ale już poprostu kosztem logiki i zdrowych zmysłów. Od tej pory wszystko będzie wolno; będzie wolno wmawiać w czytelnika, że niekochany mężczyzna rozkochał w sobie kobietę za pomocą pokazania jej cennika masła lub świec stearynowych. Do tego prawdziwy i wielki talent doprowadzany bywa przez dokrynerstwo.

Doprowadza ono również do zupełnego zaniku zmysłu moralnego. Ta dziedziczność to jest ściana, w której można wybić tyle okien, ile się podoba. Doktor jest takiem oknem. Uważa on się za wyrodka z pod familijnej newrozy, to jest za człowieka normalnego, więc, jako taki, pragnąłby przekazać swoje zdrowie potomstwu. Klotylda jest również zdania, że nie byłoby to od rzeczy, że zaś łączy ich miłość, zatem się biorą. Biorą się oczywiście tak, jak brali

się ludzie w czasach jaskiniowych. Zola uważa to za zupełnie naturalne, doktor Pascal także, a że Klotylda przeszła zupełnie do jego obozu, więc nie protestuje i ona. To już wydaje się nieco dziwniejsze. Klotylda tak niedawno była przecie religijną! Młodość i niedoświadczenie nie tłómaczy jej również.

Ośmioletnie nawet dziewczyny mają instynktowe niejako poczucie wstydu. Dwudziestokilkoletnia panna wie już zawsze co czyni i ofiarą być nie może, jeśli zaś bierze z uczuciem wstydu rozbrat, to albo przez temperament, albo przez miłość, która uniesienia uszlachetnia, bo czyni je aktem przynależności i obowiązkiem, ale też i sama pragnie być obowiązkiem uprawnionym. Jeśli nawet kobieta jest istotą niereligijną i wyrzeka się uświęcenia miłości przez religię, może jeszcze żądać, by jej uczucie zostało uprawnione wobec ludzi. Ksiądz, albo »monsieur le maire«. Klodylda, która kocha przecie doktora Pascala, niczego nie żąda. Slub, dany przez mera, wydaje jej

się rzeczą podrzędną. I tu znów wprost nie można jej zrozumieć, prawdziwej miłości bowiem powinno o to chodzić, by węzeł był wzmocniony i utrwalony. Inaczej dzieje się to, co rzeczywiście dzieje się w tej powieści, że pierwsze rozłączenie się jest końcem stosunku. Gdyby byli wzięli ślub chociaż przed merem, pozostaliby i w rozłączeniu mężem i żoną, nie przestaliby do siebie należeć; — ponieważ nie wzięli, więc z chwilą jej odjazdu, on staje się sobie nieżonatym, jak dawniej, doktorem Pascalem, ona — uwiedzioną panną Klodyldą. Jeszcze za czasów ich wspólnego pożycia wynikają z tego tysiące przykrości i chwil istotnie dla obojga rozdzierających. Razu pewnego np., Klotylda wpada, cała we łzach i płomieniach, a gdy przerażony doktor pyta, co jej się stało, odpowiada:

— Ach, te kobiety! Idąc cieniem, zamknęłam parasolkę i miałam nieszczęście potrącić jakieś dziecko. Wówczas wszystkie napadły na mnie i poczęły wykrzyki-

wać takie rzeczy!... och, jakie!... że nigdy nie będę miała dzieci, że to nie dla takich ścierek, jak ja!... i inne jeszcze, których powtórzyć nie mogę, nie chcę, których nawet nie rozumiałam...

Pierś jej podnosiła się łkaniem, on pobladł i chwyciwszy ją w ramiona, począł okrywać jej twarz pocałunkami, przyczem mówił:

— To moja wina, ty przeze mnie cierpisz! Słuchaj, pojedziemy gdzieś daleko, gdzie nikt nie będzie cię znał, gdzie każdy cię powita i gdzie będziesz szczęśliwa.

Jedno tylko nie przychodzi obojgu do głowy: żeby się pobrać. Gdy matka Pascala mówi im o tem, mają uszy kamienne. Jej nie dyktuje tego sposobu wstyd kobiecy, jemu troskliwość o nią i chęć osłonienia jej od zniewag. Dlaczego? Dla niczem nieusprawiedliwionej przyczyny. Dlatego, że się Zoli tak podoba.

Ale może mu chodzi o to, by wykazać, jakie tragiczne skutki rodzą się ze związków nieuprawnionych? Bynajmniej. On całko-

wicie jest po stronie doktora i Klotyldy. Gdyby wzięli ślub przed merem, nie byłoby dramatu, a autor chce go mieć. Oto powód.

Później następuje bankructwo doktora. Trzeba się rozłączyć. To rozłączenie staje się nieszczęściem ich życia; doktor ma umrzeć od tego ciosu. Oboje czują, że to będzie koniec, oboje go nie chcą — i oboje ani pomyślą o jednym sposobie, któryby raz na zawsze stwierdził ich wzajemną przynależność i rozłączenie zmienił tylko w odjazd nie w wieczyste rozerwanie: i nie biorą ślubu.

Byli ludźmi bez religii, więc nie chcieli księdza; to się rozumie. Ale dlaczego nie chcieli mera? Pytanie zostaje bez odpowiedzi.

Tu już obok braku zmysłu moralnego jest coś więcej, bo i brak prostego sensu. Powieść jest nietylko niemoralną, ale jest zarazem lichą budą, kleconą z desek nietrzymających się jedna drugiej, nie wytrzymującą najlżejszego zetknięcia się z logiką

i zdrowym rozsądkiem. W tem trzęsawisku nonsensów utonął nawet talent.

Jedna rzecz zostaje: trucizna płynie po staremu w duszę czytelników, umysły oswajają się ze złem i przestają się niem oburzać. Trucizna sączy się, rozkłada prostotę duszy, wrażliwość moralną i ów zmysł sumienia, który odróżnia dobre od złego.

Doktor, z żalu po Klotyldzie, dostaje sklerozy i umiera. Ona wraca pod dawny dach i zajmuje się wychowaniem dziecka. Nic z tego, co wszczepił doktor w jej duszę, nie zmarniało i nie zwiędło. Owszem, wyrosło silniej jeszcze. On kochał życie, kocha je teraz i ona, zgadza się na nie zupełnie nie przez rezygnacyę, ale dlatego, że je uznaje — i im więcej nad niem rozmyśla, kołysząc na kolanach dziecko bez nazwiska, tem uznaje bardziej. Na tem kończy się cykl Rougon-Macquartów.

Lecz ten koniec jest nową niespodzianką. Oto leży przed nami dziewiętnaście tomów, a w nich, jak mówi sam Zola, «tant de boue, tant de larmes... C'était á se deman-

der si d'un coup de foudre, il n'aurait par mieux valu balayer cette fourmilière gatée et miserable...» I prawda! Ktokolwiek owe tomy przeczyta, ten nie może dojść do innego wniosku, tylko, że życie jest rozpaczliwym i ślepym mechanicznym procesem, w którym na większą niedolę ludzką trzeba brać udział, bo uniknąć go niepodobna. Błoto przeważa w nim nad zieloną murawą, zgnilizna nad czerstwością, trupi zapach nad wonią kwiatów, choroba, obłąkanie i zbrodnia — nad zdrowiem i cnotą. To Gehenna nietylko straszna, ale i obrzydła. Włosy wstają na głowie, a jednocześnie ślina napływa do ust i rzeczywiście narzuca się pytanie: czyby nie lepiej było, gdyby piorun zmiótł «cette fourmilière gatée et miserable?»

Innego wniosku być nie może, inny byłby wprost szalonem zboczeniem umysłowem, prostem złamaniem praw rozumu i logiki. A teraz, czy wiecie, jak się naprawdę kończy cykl tych powieści? Oto hymnem na cześć życia.

To już opadają ręce. Próżna robota wykazywać znowu, że autor dochodzi do czegoś wprost przeciwnego temu, co powinno było wypaść z jego dzieła. Bóg z nim! Niech jednak się nie dziwi, że opuszczają go nawet uczniowie. Ludzie muszą myśleć wedle praw logiki. A że przytem muszą żyć, więc chcą na tę drogę otuchy. Mistrze, w rodzaju Zoli, dają im tylko rozkład, chaos, wstręt do życia i rozpacz. Ich racyonalizm nie umie wykazać nic innego, wykazywał zaś to zawsze tak skwapliwie, że przebrał miarę. Dziś zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wątpiącym nadziei, targanym niepokojem trochy spokoju, przeto słusznie czynią, zwracając się tam, skąd nadzieja i spokój płynie, tam, gdzie ich błogosławią krzyżem i gdzie im mówią, jak Łazarzowi: «Tolle grabatum tuum et ambula!»

I tem tłómaczy się ostatnia ewolucya, której fale poczynają się rozchodzić na wszystkie strony świata.

Podług mnie, musi przejść przez nią również poezya i powieść — więcej nawet:

musi ją potęgować i przyśpieszać. Tak dalej iść poprostu niemożna! Na wyjałowionem polu porastają tylko chwasty. Powieść winna krzepić życie, nie zaś podkopywać; uszlachetniać je, nie zaś plugawić; nieść dobrą «nowinę», nie zaś złą. Mniejsza mi o to, czy to, co mówię, podoba się komuś lub nie, sądzę bowiem, że odczuwam wielką i pilną potrzebę duszy ludzkiej, która woła o zmianę.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str.
Wyrok Zeusa. Bajka grecka	1
Z wrażeń włoskich. Nervi	25
Organista z Ponikły	45
U źródła	63
Lux in tenebris lucet	107
Bądź błogosławiona! Legenda indyjska . . .	129
Pójdźmy za nim!	137
Listy o Zoli (»Le docteur Pascal«)	207

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

XXI

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM XXI

BEZ DOGMATU

TOM I

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Henryk Sienkiewicz

BEZ DOGMATU

POWIEŚĆ

TOM I

WYDANIE CZWARTE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Дозволено цензурою.

Варшава, 23 Ноября 1898 г.

Rzym, 9 Stycznia.

Przed kilku miesiącami spotkałem kolegę mego i przyjaciela, Józefa Śniatyńskiego, który w ostatnich czasach zajął wybitne stanowisko między naszymi piszącymi. W rozmowach, jakie prowadziliśmy o literaturze, Śniatyński przypisywał ogromne znaczenie pamiętnikom wogóle. Mówił, że człowiek, który zostawia po sobie pamiętnik, źle lub dobrze pisany, byle szczery, przekazuje i daje przyszłym psychologom i powieściopisarzom nietylko obraz swoich czasów, ale jedynie prawdziwe, ludzkie dokumenty, którym można zaufać. Przewidywał także, że przyszłą formą powieści, będzie wyłącznie forma pamiętnikowa; twierdził nakoniec, że kto pisze pamiętnik, ten tem samem pracuje dla swego społeczeństwa i zjednywa sobie prawo do zasługi.

Ponieważ mam lat trzydzieści pięć, a nie

przypominam sobie, abym kiedykolwiek zrobił coś dla mego społeczeństwa, choćby dlatego, że życie moje, od ukończenia uniwersytetu, upływało, z małemi przerwami, za granicą; ponieważ dalej, pomimo całego humoru, z jakim o tem wspominam i całego sceptycyzmu, jakim jestem, nakształt gąbki, przesiąknięty, niemało jest goryczy w tem wyznaniu, postanowiłem przeto pisać pamiętnik. Jeśli to ma być istotnie pracą i zasługą, niechże choć w ten sposób się zasłużę.

Chcę być jednak zupełnie szczerym. Biorę się do tego pamiętnika nietylko z powyższych względów, ale i dlatego, że ta myśl mnie bawi. Sniatyński utrzymuje, że gdy raz się człowiek przyzwyczai do spisywania swych wrażeń i myśli, to potem stanowi to jedno z najmilszych zajęć w życiu. Jeśli się okaże przeciwnie, to Boże zmiłuj się nad moim pamiętnikiem! Zwodziłbym sam siebie, gdybym nie przewidywał z zupełną pewnością, że urwie się on, jak zbyt naciągnięta struna. Gotów-em dużo znieść dla społeczeństwa, ale nudzić się dla społeczeństwa— o nie! tego nie zrobię, bo nie potrafię.

Natomiast postanowiłem nie zrażać się pierwszemi trudnościami; popróbuję przyzwyczaić

się i zasmakować w tej robocie. Sniatyński, w ciągu naszych rozmów, powtarzał mi ciągle: «Tylko nie wpadaj w żaden styl, nie pisz po literacku». Mała rzecz! Rozumiem to dobrze, że im pisarz znakomitszy, tem mniej pisze po literacku; ale ja jestem dyletant i nie panuje nad formą. Wiem to z własnego doświadczenia, że człowiekowi, który myśli wiele i odczuwa mocno, zdaje się nieraz, że tylko spisać po prostu to, o czem myśli i co odczuwa, a powstanie jakaś rzecz niepowszednia — tymczasem, gdy się do tego zabierze, wpada natychmiast w jakieś formy stylistyczne, i choćby pisał sam dla siebie, w jakąś pozę, w pospolitą frazeologię; myśl nie chce spływać przez ramię. palce i stalówkę na papier i można rzec, że nie głowa pióro, ale pióro głowę prowadzi i prowadzi w sposób płaski, czczy, sztuczny. Tego się boję dla siebie, głównie z tego powodu, że jeśli brak mi wprawy, języka, malowniczości, prostoty pisarskiej i t. d., to z pewnością nie brak mi smaku — i mogę sobie zbrzydzić własny styl do tego stopnia, że robota stanie mi się wprost niemożliwą. Ale to się pokaże później. Obecnie zamierzam poprzedzić właściwy pamiętnik krótkim wstępem biograficznym.

Nazywam się Leon Płoszowski, mam lat, jak wspomniałem wyżej trzydzieści pięć. Pochodzę z rodziny zamożnej, która do ostatnich czasów zachowała fortunę, znacznie więcej niż średnią. Co do mnie, jestem pewien, że majątku rodzinnego nie powiększę, ale też go nie utracę. Położenie moje jest tego rodzaju, że się nie potrzebuję wspinać na żadne wyżyny, ani też nigdzie wkupować. Co do kosztownych i rujnujących uciech, jestem życiowym sceptykiem, który wie, ile co jest warte, albo inaczej mówiąc, który wie, że wszystko jest dyablo mało warte.

Matka moja umarła w tydzień po wydaniu mnie na świat. Ojciec, który kochał ją nad życie, dostał po jej śmierci napadów melancholii. Wyleczywszy się z niej w Wiedniu, nie chciał już wracać do rodzinnego majątku, tamtejsze bowiem wspomnienia rozdzierały mu duszę; odstąpił Płoszów siostrze swojej, a mojej ciotce, sam zaś przeniósł się w roku 1848 do Rzymu, z którego przez trzydzieści kilka lat ani razu nie wyjechał, nie chcąc oddalać się od grobu matki. Zapomniałem bowiem nadmienić, że trumnę matki sprowadził z kraju i pochował ją na Campo Santo.

Mamy na Babuino własny dom, zwany Casa

Osoria, od rodzinnego herbu. Wygląda on trochę na muzeum, ojciec bowiem ma niepospolite zbiory, zwłaszcza z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Obecnie stały się one przewodnią ideą jego życia. Za młodu był to człowiek niezmiernie świetny, tak pod względem powierzchowności, jak umysłu. Że zaś nazwisko i wielka zamożność otwierały przed nim wszystkie drogi — rokowano o jego przyszłości wielkie nadzieje. Wiem to od tych, którzy kolegowali z nim na uniwersytecie berlińskim. Zajmował się wówczas bardzo filozofią — i powszechne było wówczas mniemanie, że nazwisko jego zagrzmi z czasem przynajmniej równie głośno, jak Cieszkowskiego, Libelta etc. Życie towarzyskie i niesłychane powodzenie u kobiet, odciągnęło go później od ścisłej pracy naukowej. Nazywano go w salonach «Léon l'Invincible». Mimo tych powodzeń, nie przestał jednak zajmować się filozofią i wszyscy spodziewali się, że lada dzień wystąpi z jakiem znakomitem dziełem, które uczyni go sławnym w Europie.

Nadzieje te zawiodły. Z dawnej świetności zewnętrznej pozostało tyle, że dziś jeszcze jest to jedna z najpiękniejszych i najszlachetniejszych głów, jakie w życiu spotkałem. Malarze

są tego samego zdania, a niedawno jeszcze jeden z nich mówił mi, że doskonalszego typu patrycyusza trudno sobie wyobrazić. Pod względem naukowym ojciec mój był, i pozostanie, bardzo zdolnym i bardzo wykształconym szlachcicem-dyletantem. Wierzę do pewnego stopnia, że dyletantyzm jest przeznaczeniem wszystkich Płoszowskich i rozpiszę się o tem później, gdy mi przyjdzie mówić o sobie samym.

Co do mego ojca, wiem, że przechowuje w biurku pożółkły już traktat filozoficzny: «O Troistości». Rękopis ten przeglądałem i znudził mnie. Pamiętam tylko, że są tam jakieś zestawienia trójcy realnej: tlenu, wodorodu i azotu — z trójcą transcedentalną, skrystalizowaną przez chrześcijaństwo w pojęciu Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha; oprócz tego pełno analogicznych trójek, począwszy od dobra, piękna i prawdy, a skończywszy na logicznym sylogizmie, złożonym z premisy większej, mniejszej i wniosku — dziwna mieszanina idei heglowskich z ideami Hoene-Wrońskiego, wysiłek myśli bardzo kunsztowny, a zupełnie czczy. Jestem też przekonany, że ojciec nigdy nie zechce tego drukować, choćby z tego powodu, że flozofia spekulatywna zban-

krutowała pierwej jeszcze w jego umyśle, niż w całym świecie.

Przyczyną tego bankructwa w jego umyśle, była śmierć matki. Ojciec, który mimo swego przezwiska: «l'Invincible», i mimo swej opinii pogromcy serc, był człowiekiem niezmiernie tkliwym i który matkę moją poprostu ubóstwiał, postawił zapewne mnóstwo strasznych pytań swej filozofii, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, ani żadnej pociechy, poznał jej całą czczość i jałowość wobec życiowego nieszczęścia. Musiała to być istotnie bajeczna tragedya w jego życiu, gdy naraz odjęto mu dwie podstawy, gdy naraz rozdarło mu się serce i mózg. Wpadł wówczas, jak wspomniałem, w melancholię, potem wyleczywszy się, wrócił do uczuć religijnych. Powiadano mi, że był czas, iż modlił się dzień i noc, że klękał na ulicy przed wszystkimi kościołami i dochodził do takich religijnych uniesień, iż w Rzymie jedni mieli go za obłąkanego, drudzy za świętego.

Widocznie jednak znalazł w tem więcej pociechy, niż w swoich filozoficznych trójkach, bo stopniowo uspokoił się i zaczął żyć życiem rzeczywistem. Serce jego zwróciło się z całą siłą uczucia ku mnie, a zamiłowania estetyczne

i umysłowe ku pierwszym czasom chrześcijaństwa. Umysł jego żywy i lotny potrzebował pokarmu. Po roku pobytu w Rzymie począł zajmować się archeologią, przez studya zaś dodatkowe, doszedł do znajomości czasów starożytnych. Ksiądz Calvi, mój pierwszy guwerner, a zarazem wielki znawca Rzymu, popchnął stanowczo ojca w kierunku studyów nad wiecznem miastem. Przed kilkunastu laty zawarł ojciec znajomość, a w końcu przyjaźń z wielkim Rossim, z którym całe dnie przepędzał w katakumbach. Dzięki swym niezwyczajnym zdolnościom, doszedł wkrótce do takiej znajomości Rzymu, że niejednokrotnie zadziwiał samego Rossiego swą wiedzą. Zabierał się też nieraz do pisania, ale jakoś nigdy nie kończył tego, co zaczął. Może być, że uzupełnianie zbiorów zabierało mu wszystek czas, a jeszcze prawdopodobnie dlatego nie pozostawi nic po sobie, prócz zbiorów, że nie ograniczył się na jednej epoce, ani na jednej jakiejś specyalności w zakresie swych badań. Zwolna, średniowieczny Rzym baronów począł go pociągać z równą siłą, jak pierwsze czasy chrześcijaństwa. Była epoka, że miał pełną głowę Colonnów i Orsinich, potem zbliżył się do renesansu i rozkochał się w nim zupełnie.

Od inskrypcyi, grobowców, pierwszych zabytków chrześcijańskiej architektury, przeszedł do czasów dalszych, od bizantyńskich malowideł, do Fiesolich i Giottów, od nich do innych quatro i cinquecentistów i t. d., rozmiłował się w rzeźbach, obrazach; zbiory na tem korzystały niezawodnie, ale wielkie dzieło w naszym języku o trzech Rzymach, o którem z początku marzył, przeszło do krainy niespełnionych zamiarów.

Co do swych zbiorów, ma ojciec szczególniejszą ideę. Oto chce je po śmierci zapisać Rzymowi, z tym tylko warunkiem, by były umieszczone w osobnej sali i by ta sala nosiła napis: «Muzeum Ozoryjów-Płoszowskich». Naturalnie, stanie się według jego woli — dziwi mnie tylko, że ojciec jest przekonany, iż tym sposobem odda daleko większą usługę swemu społeczeństwu, niż gdyby swe zbiory przeniósł gdzie do kraju.

Przed niedawnym jeszcze czasem mówił mi:

— Widzisz, tam niktby ich nie widział, niktby z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo.

Nie wypada mi roztrząsać, czy w tem nie ma trochę próżności rodowej i czy myśl, że na-

zwisko Płoszowskich zostanie wyryte na marmurze w wiecznem mieście, nie była rozstrzygającą w tej sprawie? Krótko mówiąc, sądzę, że tak było. Ostatecznie jest mi to dość obojętne gdzie te zbiory zostaną umieszczone.

Natomiast ciotka moja, do której, mówiąc nawiasem, wyjeżdżam w tych dniach do Warszawy, oburza się na myśl pozostawienia zbiorów w Rzymie, a ponieważ jest to osoba, której nic w świecie nie zdoła wstrzymać od wypowiedzenia tego co myśli, wypowiada więc swoje oburzenie bez żadnych ogródek, w każdym liście do ojca. Przed kilku laty była w Rzymie i kłócili się z ojcem z tego powodu codziennie, a byliby się może pokłócili na dobre, gdyby przywiązanie, istotnie niezmierne, jakie ciotka ma do mnie. nie było hamowało jej zapędów.

Ciotka moja starsza jest o kilka lat od ojca. Ojciec, po nieszczęściu, jakie go spotkało, wyjechawszy z kraju, wziął przy działach majątkowych kapitały, jej zaś zostawił majątek rodzinny, Płoszów. Ciotka, zarządza nim od lat trzydziestu i zarządza doskonale. Jestto osoba niepospolitego charakteru, dlatego poświęcam jej słów kilka. Mając lat dwadzieścia, była narzeczoną młodego człowieka, który umarł za gra-

nicą, właśnie wówczas, gdy ciotka wybierała się za nim w podróż. Od tej pory odrzucała wszelkie partye i pozostała starą panną. Po śmierci mojej matki, towarzyszyła ojcu do Wiednia i Rzymu, gdzie przemieszkiwała lat kilka, otaczając brata najtkliwszem przywiązaniem, które potem przeniosło się na mnie. Jestto w całem znaczeniu wielka dama, nieco despotyczna, wyniosła i weredyczka, mająca tę pewność siebie, jaką daje majątek i wysokie położenie towarzyskie — w gruncie rzeczy zaś uosobiona zacność i poczciwość. Pod szorstkimi pozorami kryje ona złote, pobłażliwe serce, kochające nietylko swoich, nietylko mego ojca, mnie, domowników, ale ludzi wogóle. Jest tak cnotliwa, że doprawdy nie wiem, czy to stanowi jakąkolwiek jej zasługę, bo nie potrafiłaby być inną. Dobroczynność jej weszła w przysłowie. Pędza dziadów i baby, jak konstabl, a opatruje, jak św. Wincenty a Paulo. Jest bardzo religijna. Nigdy żaden cień zwątpienia nie wkradł się w jej duszę. Co czyni, czyni z mocy niewzruszonych podstaw; dlatego nigdy nie waha się w wyborze drogi. Z tego także powodu jest zawsze spokojna i ogromnie szczęśliwa. W War-

szawie nazywają ciotkę z powodu jej szorstkości: «le bourreau bienfaisant».

Niektórzy, a zwłaszcza niektóre, nie lubią jej; powszechnie jednak zażywa wielkiego miru we wszystkich warstwach społecznych.

Płoszów leży w pobliżu Warszawy, w której ciotka ma swój własny dom. Z tego powodu zimę spędza w mieście. Co zimę też usiłuje mnie ściągnąć do siebie, by mnie ożenić. Teraz właśnie otrzymałem tajemny i naglący list, pełen zaklęć, bym przyjeżdżał. Trzeba będzie zresztą to zrobić, bo oddawna nie byłem w kraju, ciotka zaś pisze, że się starzeje i że chciałaby mnie widzieć przed śmiercią.

Wyznaję zaś, że nie zawsze rad jeżdżę do kraju. Wiem, że najdroższym zamiarem ciotki jest — ożenić mnie; otóż, za każdym moim pobytem, sprawiam jej pod tym względem gorzki zawód. Strach mnie bierze na myśl o akcie tak stanowczym, po którym trzebaby rozpocząć jakby drugie życie, podczas gdy ja tem pierwszem jestem porządnie zmęczony. Nakoniec jest coś kłopotliwego dla mnie w stosunku do ciotki. Jak dawniej znajomi na ojca mego, tak ona dziś patrzy na mnie, jako na człowieka wyjątkowych zdolności, po którym wielkich rze-

czy należy się spodziewać. Pozwolić, by pozostała przy tem mniemaniu, wydaje mi się nadużywaniem jej dobrej wiary; oświadczyć jej, że nietylko wielkich rzeczy, ale niczego nie ma się po mnie spodziewać, byłoby to przesądzać przyszłość tylko prawdopodobną, a zarazem zadać staruszce cios stanowczy.

Może, na nieszczęście dla mnie, wielu bliższych mi ludzi dzieli mniemanie ciotki. Wzmianka o tem pozwala mi przejść do skreślenia mego wizerunku, co nie będzie rzeczą łatwą o tyle, o ile jestem istotą rzeczywiście w wysokim stopniu złożoną.

Przyniosłem na świat nerwy bardzo wrażliwe, wydoskonalone przez kulturę całych pokoleń. Pierwszemi latami mego dzieciństwa zajmowała się ciotka, po jej odjeździe zaś, jak zwykle w naszych rodzinach — bony. Ponieważ mieszkaliśmy w Rzymie, w otoczoniu obcem, ojciec zaś chciał, bym znał dobrze swój język, przeto jedna z moich bon była Polką. Mieszka ona dotychczas w naszym domu na Babuino i zarządza gospodarstwem domowem. Ojciec zajmował się mną także bardzo dużo, zwłaszcza od piątego roku mego życia. Chodziłem na rozmowy do jego pokoju, które rozwijały mnie nie-

pospolicie, a może nawet przedwcześnie. Później, gdy studya i poszukiwania archeologiczne, oraz dopełnianie zbiorów, pochłaniały ojcu wszystek czas, przyjął do mnie nauczyciela, księdza Calvi. Był to człowiek już stary, z wiarą i duszą nadzwyczaj pogodną. Kochał on nad wszystko sztukę. Sądzę nawet, że religię odczuwał przedewszystkiem przez jej piękność. W muzeach, wobec arcydzieł, lub słuchając muzyki w kaplicy sykstyńskiej, zapamiętywał się zupełnie. W tych głębokich upodobaniach jego do sztuki nie było jednak nic pogańskiego, gdyż nie wspierały się one na sybarytyzmie, na używaniu zmysłowem, ale na uczuciu. Ksiądz Calvi kochał poprostu sztukę tą czystą i pogodną miłością, z jaką mogli ją kochać Da Fiesole, Cimabue lub Giotto — a co więcej, kochał ją także z pokorą, bo sam nie miał najmniejszego talentu. Natomiast, im mniej mógł, tem więcej odczuwał. Nie umiałbym nawet powiedzieć, która ze sztuk pięknych była mu ulubioną, zdaje się bowiem, że głównie kochał we wszystkich harmonię, która odpowiadała jego wewnętrznej harmonii.

Nie wiem sam dlaczego, ale ile razy przypomnę sobie ojca Calvi, tylekroć przypomina

mi się zarazem ów starzec, stojący obok św. Cecylii Rafaela i zasłuchany w muzykę sfer.

Między moim ojcem a księdzem Calvi prędko zaczęła się przyjaźń, która trwała aż do śmierci tego ostatniego. On to utrwalił w ojcu zamiłowanie do poszukiwań archeologicznych i wogóle do wiecznego miasta. Łączyło ich prócz tego przywiązanie do mnie. Obaj uważali mnie za dziecko wyjątkowo uzdolnione i zapowiadające, Bóg wie, jaką przyszłość. Przychodzi mi nieraz na myśl, że stanowiłem dla nich także pewnego rodzaju harmonię, pewne dopełnienie świata, w którym żyli i że kochali mnie poniekąd takiem samem uczuciem, jakiem kochali Rzym i jego zabytki.

Taka atmosfera, takie otoczenie, nie mogły nie wywrzeć na mnie wpływu. Chowano mnie w sposób nieco oryginalny. Chodziłem z księdzem Calvi, a często i z ojcem, po galeryach, muzeach, za Rzym, do willi, ruin i katakumb. Ksiądz Calvi równie wrażliwy był na piękność natury, jak sztuki, wcześnie więc nauczył i mnie odczuwać poetyczną melancholię Kampanii Rzymskiej, harmonię, z jaką łuki i linie zrujnowanych wodociągów rysują się na niebie, czystość zarysów pinii; zanim umiałem dobrze cztery działania,

zdarzało mi się w galeryach poprawiać Anglików, którym nazwiska Carraci i Carravaggio mieszały się w głowach. Wcześnie i łatwo nauczyłem się po łacinie, bo język włoski, którym, jako mieszkaniec Rzymu, władałem biegle, ułatwił mi tę naukę. Mając lat jedenaście, wypowiadałem swoje poglądy na mistrzów włoskich i zagranicznych, które, mimo całej swej naiwności, nie przeszkadzały księdzu Calvi i ojcu, rzucać na się zdumionych spojrzeń. Nie lubiłem np. Ribeiry, bo był mi zanadto czarny i biały, przez co wydawał się trochę straszny, a lubiłem Carla Dolce — słowem: uchodziłem w oczach ojca, księdza Calvi i w znajomych nam domach, za cudowne dziecko; słyszałem nieraz, jak mnie chwalono — i to podniecało mą próżność.

A swoją drogą nerwy moje w tem otoczeniu i takiej atmosferze wyrobiły się wcześnie i pozostały raz na zawsze wrażliwe. Dziwna rzecz jednak, że wpływy powyższe nie były ani tak głębokie, ani tak stanowcze, jakby się można było spodziewać. Że nie zostałem artystą, to się tłómaczy tem, że zapewne nie miałem talentu, jakkolwiek moi nauczyciele muzyki i rysunku byli przeciwnego zdania; ale zasta-

nawiam się nieraz nad tem, dlaczego ani ojciec, ani ksiądz Calvi, nie potrafili mi wszczepić nawet swoich zamiłowań w tym stopniu, w jakim mieli je sami. Czy odczuwam sztukę? — tak, czy potrzebuję jej? — także tak! Ale oni ją kochali, ja zaś odczuwam ją, jak dyletant, potrzebuję jej zaś, jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych. Należy ona wogóle do rzędu moich upodobań, nie do rzędu moich namiętności. Nie mógłbym się może obejść bez niej w życiu — ale całego życiabym jej nie oddał.

Ponieważ stan szkół włoskich wogóle wiele pozostawiał do życzenia, ojciec oddał mnie do kolegium w Metz, które ukończyłem z małym trudem, a natomiast ze wszystkiemi odznaczeniami i nagrodami, jakie tam można otrzymać. Na rok przed ukończeniem, uciekłem wprawdzie do Don Karlosa i przez dwa miesiące włóczyłem się z oddziałem Tristana po Pireneach. Wyszukano mnie za pośrednictwem konsula francuskiego w Burgos i odstawiono do Metz na pokutę; należy jednak wyznać, że pokuta nie była zbyt ciężka, albowiem i ojciec mój i przewodnicy duchowni, w skrytości duszy, dumni byli

z mojej wycieczki. Zresztą świetne powodzenia egzaminowe prędko wyjednały mi przebaczenie.

Oczywiście, wśród kolegów, których sympatye w takiej szkole, jaka istniała w Metz, musiały być po stronie Don Karlosa, uchodziłem za bohatera; że zaś jednocześnie byłem pierwszym uczniem, wodziłem więc rej w całej szkole i nikomu nie przyszło do głowy spierać się ze mną o to stanowisko. Rosłem w mimowolnem przekonaniu, że i później, na szerszem polu, tak samo będzie. Przekonanie to dzielili nauczyciele i koledzy; tymczasem faktycznie tak jest, że wielu z moich towarzyszów szkolnych, którym do głowy nie przychodziło wówczas, żeby kiedykolwiek mogli współzawodniczyć ze mną, zajmuje dziś we Francyi wybitne stanowiska, bądź na polu literackiem, bądź naukowem, bądź politycznem, podczas gdy ja nie wybrałem sobie zawodu, a poprawdzie byłbym w kłopocie, gdyby mi kazano go wybrać. Stanowisko moje towarzyskie jest doskonałe; odziedziczyłem już majątek po matce, odziedziczę kiedyś po ojcu; będę gospodarował w Płoszowie, będę administrował mniej więcej mądrze albo niemądrze całą fortuną, ale już sam zakres tych zajęć wyłącza nadzieję, żebym mógł

kiedykolwiek odznaczyć się w życiu i odegrać jaką rolę.

Nie stanę się nigdy świetnym gospodarzem i administratorem, to wiem z pewnością, bo jakkolwiek nie mam zamiaru uchylać się od tych zajęć, nie mam także ochoty poświęcać im życia, z tego prostego powodu, że aspiracye moje są rozleglejsze.

Czasem stawiam sobie pytanie, czy my, Płoszowscy, nie łudzimy się co do naszych uzdolnień. Ale gdyby tak było, łudzilibyśmy się sami — ludzie zaś obcy, obojętni, nie popadaliby w ten błąd. Zresztą, ojciec mój był i jest istotnie niepowszednio uzdolnionym. Co do mnie, osobiście, nie chcę się nad tem rozwodzić, żeby to nie wyglądało na głupią próżność, ale jednak mam najszczersze przekonanie, że mógłbym być czemś nieskończenie większem, niż jestem.

Oto np., w uniwersytecie w Warszawie (ojciec i ciotka życzyli sobie, bym uniwersytet ukończył w kraju) kolegowałem ze Sniatyńskim. Obaj czuliśmy w sobie powołanie literackie i próbowaliśmy sił na tem polu. Nie mówię już o tem, że byłem uważany za studenta zdolniejszego od Śniatyńskiego, ale dalibóg, to, co pisałem wówczas, było lepsze, bardziej obiecujące

od tego, co pisał Śniatyński. A dziś co? Śniatyński się wybił względnie wysoko, ja zaś nie przestałem być wielce obiecującym panem Płoszowskim, o którym tu i owdzie ludzie mówią, kręcąc głowami: «Gdyby się tylko do czegoś wziął».

Ludzie nie liczą się z tem, że trzeba umieć chcieć. Myślałem nieraz, iż gdybym nie miał żadnego majątku, to musiałbym się do czegoś wziąć. I zapewne. Musiałbym w jakiś sposób zarabiać na chleb, ale wewnętrznie jestem przekonany, że i w takim razie nie wyzyskałbym swoich uzdolnień w dwudziestej części. Zresztą, taki Darwin, taki Buckle, to byli ludzie bogaci; sir John Lubbock jest bankierem, większość znakomitych ludzi francuskich opływała w dostatki; pokazuje się więc, że majątek nietylko nie przeszkadza, ale pomaga do zajęcia stanowiska na wszystkich polach. Przypuszczam nawet, że mnie, osobiście, oddał on wielką przysługę, bo uchronił charakter mój od wielu zwichnięć, na które naraziłoby go ubóstwo. Nie chcę powiedzieć przez to, żebym miał charakter słaby; z drugiej strony walka mogłaby go nawet zahartować — ale bądź co bądź, im kto

mniej znajduje na drodze kamieni, tem mu łatwiej uniknąć potknięcia lub upadku.

Próżniactwu nie przypiszę także mojej nicości. Posiadam w równym stopniu łatwość przyswajania sobie wiadomości, jak i ciekawość. Czytuję wiele i pamiętam wiele. Być może, iż nie zdobyłbym się na żelazną wytrwałość, na pracę długą, powolną, rozległą — ale ten brak wytrwania powinna właśnie łatwość zastąpić. Wreszcie nic mnie nie obowiązuje do pisania słowników, jak to czynił Litré. Kto nie umie świecić z wytrwałością słońca, może przynajmniej zabłysnąć, jak meteor. Ale ta nicość w przeszłości, ta prawdopodobna nicość w przyszłości... Cierpko mi się robi i nuda poczyna mnie gnębić, więc urywam na dziś pisanie.

Rzym, 10 Stycznia.

Wczoraj na wieczorze u hr. Malatesta usłyszałem frazes: «l'improductivité slave». Doznałem ulgi, jak owi chorzy nerwowi, którzy, dowiedziawszy się od doktora, że objawy ich choroby są znane i że wiele osób cierpi podobnie, cieszą się z tej wiadomości. Prawda! prawda! ilu to ja mam kolegów — nie wiem, czy w całej Słowiańszczyźnie, bo jej nie znam — ale ilu

u nas! Myślałem o tej «improductivité slave» całą noc. Nie głupi był człowiek, który to tak sformułował. Jest w nas coś takiego; jest jakaś nieudolność życiowa do wydania z siebie wszystkiego, co się w nas mieści. Można rzec, że Bóg dał nam łuk i strzały, tylko odmówił zdolności do napięcia tego łuku i wypuszczenia strzał. Pogadałbym o tem z ojcem, zwłaszcza, że ojciec lubi podobne rozprawy, ale boję się dotknąć bolączki. Myślę natomiast, że napełnię i przepełnię dziennik tą kwestyą. Może to jednak właśnie będzie dobrze, może to będzie stanowiło jego główną wartość? Przytem, cóż naturalniejszego nad to, że będę pisał o tem, co mnie najwięcej obchodzi. Każdy człowiek nosi w sobie jakąś swoją tragedyę. Otóż moja tragedya jest ta «improductivité» Płoszowskich. Wobec ludzi niema teraz zwyczaju zdradzać się z takiemi rzeczami. W niedawnych jeszcze czasach, gdy romantyzm kwitnął w sercach i w poezyi, nosiło się swą tragedyę, jak malowniczo drapowany płaszcz, obecnie nosi się, jak jegerowski kaftanik: pod koszulą. Ale dziennik, to co innego; w dzienniku wolno i należy być szczerym.

Rzym, 11 Stycznia.

Zostaję tu jeszcze parę dni, więc korzystam z czasu, by, zanim przejdę do zapisywania zdarzeń z dnia na dzień, rozejrzeć się w przeszłości i raz z nią skończyć. Jak już wyżej wzmiankowałem, ani myślę pisać obszernej autobiografii; kim jestem i jakim jestem, przyszłe moje życie pokaże to dostatecznie. Szczegółowe badanie dawniejszego, byłoby przeciwne mojej naturze. Jestto rodzaj nudnego dodawania: wypisuje się pojedyncze cyfry, jedna pod drugą, następnie podkreśla się je i sumuje. Owóż nie cierpiałem całe życie czterech działań arytmetycznych, a pierwsze z nich było mi właśnie najnieznośniejsze.

Chcę jednak mieć jakieś, choćby bardzo ogólne pojęcie o sumie, by stać się sobie samemu mniej więcej jasnym — więc w równie ogólnych zarysach idę dalej.

Po ukończeniu uniwersytetu, skończyłem szkołę rolniczą we Francyi — z łatwością, lecz bez szczególnego pociągu, jak człowiek, który wie, że go zajęcia rolnicze czekają napewno w przyszłości, ale który czuje, że się poniekąd do nich zniża i że nie odpowiedzą one nigdy ani jego zdolnościom, ani ambicyom. Dwa je-

dnak dobre rezultaty osiągnąłem z tego pobytu w szkole rolniczej. Oto rolnictwo przestało być dla mnie bajką o żelaznym wilku i pierwszy lepszy ekonom nie wywiedzie mnie w pole; powtóre, przez pracę w polach, na otwartem powietrzu, zebrałem znaczny zapas zdrowia i sił, dzięki którym dawałem skuteczny opór takiemu życiu, jakie wiodłem później w Paryżu.

Albowiem następne moje lata upływały między Rzymem i Paryżem, nie mówiąc o krótkich wizytach w Warszawie, do której od czasu do czasu wzywała mnie ciotka, bądź to z tęsknoty ku mnie, bądź z chęci ożenienia mnie z jaką dzierlątką swego wyboru. Paryż i jego życie pociągało mnie niezmiernie. Jakkolwiek byłem wówczas dobrego o sobie mniemania, jakkolwiek miałem większe zaufanie do swego rozumu, niż mam dziś, i tę pewność siebie, jaką daje niezależne stanowisko towarzyskie — jednakże przez pewien czas odgrywałem role naiwne na tej wielkiej scenie świata. Zakochałem się naprzód śmiertelnie w pannie Richemberg z Komedyi Francuskiej i chciałem się z nią koniecznie ożenić. Ile stąd wypadło zawikłań tragikomicznych, nie będę się rozpisywał, bo mi dziś trochę wstyd tych czasów, a trochę mi się śmiać

z nich chce. Potem wyprowadzono mnie jeszcze niejednokrotnie w pole, albo też i samemu zdarzało mi się brać liczmany za dobrą monetę. Kobieta francuska, tak jak zresztą i polska, choćby należąca do najwyższej sfery i choćby przytem cnotliwa, byle młoda, przypomina mi fechmistrza na szpady. Jak fechmistrz potrzebuje mieć codzień swoją «godzinę sali», by nie wyjść z wprawy w robieniu bronią, tak i te panie fechtują się w zakresie sentymentu poprostu dla wprawy. Jako chłopak młody, nie brzydszy od dyabła i należący do lepszego towarzystwa, byłem nieraz zapraszany na taką «godzinę sali» — że zaś w naiwności ducha brałem te ćwiczenia na seryo, zdarzało mi się więc nieraz również na seryo coś oberwać. Nie były to wprawdzie rany śmiertelne, ale dość bolesne zakłócia. Zresztą jestem przekonany, że każdy musi złożyć swoją daninę naiwności w tym świecie i w takiem życiu. Mój czas trwał względnie krótko. Potem przyszedł peryod, który mogę określić słowem: «la revanche«. Płaciłem za swoje, jeżeli zaś i wówczas wyprowadzano mnie w pole, to dlatego, że chciałem iść w pole.

Mając wszędzie łatwy wstęp, poznałem rozmaite towarzystwa, począwszy od domów legi-

tymistycznych, w których zresztą nudziłem się, skończywszy na tej świeżej, bardzo utytułowanej arystokracyi, stworzonej przez Bonapartych i Orleanów, a stanowiącej wielki świat... może nie paryski, ale naprzykład nicejski. Dumas syn, Sardou i inni biorą swoich hrabiów, margrabiów i książąt z tego właśnie gatunku, który, nie mając żadnej wielkiej tradycyi dziejowej, a w bród tytułów i pieniędzy, zajęty jest głównie używaniem życia. Do tych kół należą i wysokie finanse. Co do mnie, kręciłem się w nich najchętniej ze względu na *te panie*. Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają też częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycyi obowiązującej. Z tem wszystkiem, jest to świat bardzo błyszczący. «Godziny sali» są w nim tak długie, że równają się dniom i nocom, mogą zaś być niebezpieczne, bo tam nie ma zwyczaju stępiać floretów. Tam też brałem te bolesne lekcye, pókim się dostatecznie sam nie wyćwiczył. Byłoby dowodem próżności, a co więcej, złego smaku, rozpisywać o swych powodzeniach, powiem

więc tylko, że tradycye młodości ojcowskiej starałem się, jak mogłem utrzymać.

Najniższe okręgi tego świata stykają się niejako z największymi wielkiego półświata. Ow pół-świat jest niebezpieczniejszy, niż się na pierwszy rzut oka zdaje — bo bynajmniej nie jest trywialny. Cynizm jego ma pewne pozory artyzmu. Jeżelim tam nie pozostawił zbyt wielu piór, to tylko dlatego, że zanim tam wszedłem, miałem już dziób nieźle zakrzywiony i niezgorzej ostre pazury.

Ale wogóle, mówiąc o życiu paryskiem, można powiedzieć to, że kto wychodzi z tego młyna, musi się czuć nieco zmęczony, a cóż dopiero ten, który, jak ja, wychodził po to tylko, żeby wracać. Człowiek później dopiero zaczyna rozumieć, że jego zwycięstwa równają się Pyrrusowym tryumfom. Mój silny z natury organizm stawił dość skuteczny opór temu życiu, ale nerwy mam nadszarpane.

Paryż posiada wszelako jedną wyższość nad wszystkiemi innemi ogniskami życia. Oto nie znam żadnego miasta w świecie, gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólno-ludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam. Człowiek

nietylko przyswaja sobie tam mimowoli to, co w dziedzinie umysłowości jest najnowszem, ale umysł jego traci zarazem jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany. Powtarzam: ucywilizowany, bo we Włoszech, Niemczech i Polsce spotykałem głowy, nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło coś istnieć po za promieniem ich światła, tak wyłączne i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z niemi był wprost niemożliwy.

We Francyi, a ściślej mówiąc w Paryżu, podobne objawy nie istnieją. Jak potok bystro bieżący wyokrągla kamienie, trąc je jeden o drugi, tak prąd życia wyokrągla tam i humanizuje umysły. Oczywiście pod podobnymi wpływami i moja głowa stała się głową ucywilizowanego człowieka. Potrafię dużo wyrozumieć; nie rzucam pawich krzyków, gdy usłyszę coś przeciwnego moim poglądom, albo coś zgoła nowego. Być może, iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym.

Prąd umysłowy niósł mnie — płynąłem. Jeśli stosunki towarzyskie, salony, buduary, klu-

by, pochłaniały znaczną część mego czasu, to nie pochłaniały go jednak wyłącznie. Porobiłem dużo znajomości w świecie naukowym i artystycznym i żyłem życiem tego świata, a raczej żyję niem dotychczas. Z wrodzonej ciekawości czytałem bardzo wiele, że zaś przyswajam sobie łatwo to, co czytam, więc mogę powiedzieć, że wykształciłem się znacznie. Idę mniej więcej razem z ruchem umysłowym mego wieku.

Jestem też istotą w wysokim stopniu świadomą siebie. Czasem posyła się do dyabła to drugie ja, badające i krytykujące pierwsze — nie pozwalające oddać się całkowicie żadnemu wrażeniu, żadnemu działaniu, żadnemu uczuciu, żadnej rozkoszy, żadnej namiętności. Być może, iż samowiedza jest znamieniem wyższego rozwoju umysłowego, ale zarazem jest czemś osłabiającem niezmiernie odczuwanie. Nosić w sobie wiecznie czujną krytykę siebie samego, jest to odłączyć od całości potrzebną na to część ducha — a więc życie i jego wrażenia odczuwam nie całością, lecz tylko pozostałą resztą.

Jestto równie męczące, jak dla ptaka byłoby męczące latanie jednem skrzydłem. Prócz tego samowiedza zbyt rozwinięta odbiera także zdolność do czynu. Gdyby nie ona, Hamlet za-

raz w pierwszym akcie byłby na wylot przewiercił stryjaszka i z całym spokojem objął po nim sukcesyę.

Co do mnie osobiście, jeśli czasem broni mnie ona i wstrzymuje od kroków nierozważnych, to natomiast daleko częściej nuży mnie, nie pozwala mi się skupić całkowicie i wyłącznie w jednem działaniu. Noszę w sobie dwóch ludzi, z których, gdy jeden ciągle zeznaje i krytykuje, drugi żyje tylko pół-życiem i traci wszelką stanowczość. Męczy mnie i ta świadomość, że się z pod tego jarzma nie otrząsnę, owszem, o ile umysł mój będzie się rozszerzał, o tyle i samowiedza będzie się stawała coraz dokładniejszą i że, umierając nawet, nie przestanę krytykować Płoszowskiego umierającego, chyba, że gorączka zwarzy mój mózg.

Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociągała mnie tak, jak filozofia. Ale za czasów mego ojca filozofia obejmowała taki sobie, ni mniej, ni więcej, zakres, jak wszechświat i wszechbyt, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania. Obecnie stała się ona o tyle rozsądną, iż przyznaje, że jej w dawnem ogólnem

znaczeniu niema — i że istnieje tylko jako filozofia poszczególnych gałęzi wiedzy. Doprawdy, gdy o tem myślę, chcę mi się powiedzieć, że i rozum ludzki ma swoją tragedyę, i że zaczęła się ona dla niego właśnie wraz z tem wyznaniem swojej niemocy. Ponieważ piszę osobisty pamiętnik, będę więc mówił o tych rzeczach ze stanowiska osobistego. Nie mam się za fachowego filozofa, bo z fachu, jak już wspomnialem, jestem niczem — ale jak wszyscy ludzie myślący, zajmowałem się najnowszym ruchem filozoficznym, byłem i jestem pod jego wpływem i mam zupełne prawo mówić o tem, co weszło w skład i wpłynęło na wytworzenie się mojej istoty umysłowej i moralnej.

Przedewszystkiem zaznaczam, że moje wierzenia religijne, które wyniosłem jeszcze nietknięte z Metz, nie ostały się wskutek czytania książek przyrodniczo-filozoficznych. Nie idzie zatem, bym był ateistą. Och, nie! To było dobre dawniej, za owych czasów, gdy jeśli ktoś nie uznawał ducha, mówił sobie: materya — i zaspakajał się tem słowem. Dziś tylko parafialni filozofowie stoją na takiem zacofanem stanowisku. Dziś filozofia takich rzeczy nie przesądza, dziś odpowiada na podobne pytanie: «nie

wiem» — i to «nie wiem» wszczepia w duszę. Dziś psychologia zajmuje się analizą bardzo ścisłą wszelkiego rodzaju objawów psychicznych, lecz zapytana o nieśmiertelność duszy, odpowiada także: «nie wiem» — i istotnie nietylko nie wie — ale nie może wiedzieć.

A teraz łatwo mi będzie określić stan mego umysłu. Oto: nie wiem, nie wiem! W tem, w tej uznanej impotencyi ludzkiego rozumu, leży tragedya. Bo pomijając, że natura nasza duchowa będzie zawsze gwałtu krzyczała o odpowiedź na podobne pytania, toż to przecie są pytania największej wagi realnej, najbardziej człowieka obchodzące. Jeśli po tamtej stronie jest coś i to coś wieczystego, to nieszczęścia i straty po tej stronie maleją do zera. Możnaby do nich zastosować słowa Hamleta: «A to niech dyabli porwą żałobę, ja wezmę sobole«. «Zgadzam się na śmierć, mówi Renan, ale niech wiem, że mi się ona na coś przyda». A filozofia odpowiada: «Nie wiem».

Człowiek zaś szamocze się w tej wielkiej niewiadomej, czując, że gdyby się mógł na którąkolwiek stronę przechylić, to jednak byłoby mu lepiej i spokojniej. Ale cóż na to poradzić? Czy winić filozofię, że zamiast budować syste-

maty, które się codzień rozlatywały, jak domki z kart, uznała własną niemoc i zajęła się badaniem i uporządkowywaniem zjawisk, leżących w przystępnych dla rozumu granicach? Nie! Sądzę tylko, że ja i każdy inny miałby prawo przyjść do niej i powiedzieć jej: «Podziwiam twoją trzeźwość, uwielbiam ścisłość analizy, ale z tem wszystkiem uczyniłaś mnie nieszczęśliwym. Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszej dla mnie wagi — a miałaś jej dość, by podkopać moją ufność w naukę, która mi na nie odpowiadała nietylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki. I nie mów, że ponieważ nie przesądzasz nic, więc pozwalasz mi wierzyć we wszystko. Nieprawda! Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją, jest zwątpienie i krytyka. Tę swoją naukową metodę, ten sceptycyzm, tę krytykę, tak wszczepiłaś w moją duszę, że stała się ona moją naturą. Wypaliłaś, jak kamieniem piekielnym we mnie wszystkie te nerwy ducha, któremi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak, że dziś, gdybym chciał wierzyć, to nie mam czem. Pozwalasz mi chodzić na mszę, jeśli mam ochotę, ale zatrułaś mnie sceptycyzmem do tego stopnia, że dziś jestem scepty-

kiem nawet względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! — i męczę się i szaleję w tej ciemności!...»

Rzym, 12 Stycznia.

Wczoraj pisałem w pewnem uniesieniu. Ale też zdaje mi się, żem dotknął próchna i mojej własnej i ogólnej ludzkiej duszy. Bywają epoki, że obojętnieję na podobne pytania, czasem jednak targają one mnie bez miłosierdzia — tembardziej, że to są rzeczy, które się w sobie zamyka. Byłoby może lepiej o nich nie myśleć, ale zbyt są na to ważne. Bo ostatecznie człowiek chce wiedzieć, co go oczekuje i jak ma życie urządzić! Próbowałem zresztą nieraz powiedzieć sobie: dość! z tego błędnego koła nie wyjdziesz, więc w nie nie wchodź! Mam wszystko po temu, by zrobić z siebie syte i wesołe zwierzę — ale nie zawsze mogę na tem poprzestać. Powiadają, że w naturze Słowian leży pewien pociąg do mistycyzmu, do rzeczy zaświatowych. Zauważyłem, że np. na mistycyzmie kończą wszyscy nasi wielcy pisarze. Cóż dziwnego, że się czasem trochę pomęczą ludzie zwyczajni. Co do mnie, musiałem o tych

swoich wewnętrznych niepokojach napisać, by sobie skreślić dokładny obraz stanu swej duszy. Przytem człowiek potrzebuje się czasem sam przed sobą usprawiedliwić. Oto np. ja, z tem wielkiem: «nie wiem» w duszy, zachowuję przepisy religijne i nie mam się za człowieka nieszczerego. Byłoby tak, gdybym zamiast: «nie wiem» — mógł powiedzieć: wiem, że nic niema. Ale ten nasz sceptycyzm nie jest otwartą negacyą: jestto raczej bolesne i męczące podejrzenie, że może nic nie być, jestto gęsta mgła, która otacza nasze głowy, przygniata nasze piersi i przysłania nam światło. Więc wyciągam ręce do tego słońca, które może za tą mgłą świeci. I myślę, że nie sam jeden jestem w tem położeniu — i że modlitwę wielu, bardzo wielu z tych, którzy chodzą na mszę w niedzielę, możnaby streścić w słowach: Panie, rozprosz mgłę!

Nie mogę o tych rzeczach pisać zupełnie zimno. Zachowuję przepisy religijne jeszcze i dla tego, że wiara jest mi pożądana, ponieważ zaś ta słodka nauka, w której się wychowałem, kładzie, jako warunek wiary, łaskę, więc czekam łaski. Czekam, żeby mi zesłano taki stan duszy, w którym mógłbym uwierzyć tak głę-

boko i bez cienia wątpliwości, jak wierzyłem, będąc dzieckiem. To są moje powody szlachetne; nie powoduje mną żaden interes, bo przecie wygodniej mi było być tylko sytem i wesołem zwierzęciem.

Jeśli zaś chodzi o to, bym swoją zewnętrzną religijność usprawiedliwił mniej szlachetnymi, a bardziej praktycznymi powodami — ach! mam ich mnóstwo. Oto, przywykłem od dzieciństwa; spełnianie pewnych przepisów stało się niemal we mnie nałogiem; oto, jak Henryk IV mówił, że Paryż wart jest mszy, tak ja mówię sobie: spokój bliskich wart jest mszy; ludzie mojej sfery spełniają w ogóle obowiązki religijne, a moje sumienie czułoby się obowiązane do protestu tylko w takim razie, gdybym mógł sobie powiedzieć coś bardziej stanowczego, niż: «nie wiem». Oto nakoniec chodzę do kościoła, bom jest sceptyk, podniesiony do kwadratu, to znaczy, że jestem sceptykiem nawet względem własnego sceptycyzmu.

I jest mi z tem źle. Dusza moja wlecze jedno skrzydło po ziemi. Byłoby mi zaś jeszcze gorzej, gdybym te wszystkie kwestye brał zawsze tak do serca, jak brałem je, pisząc te dwie ostatnie kartki. Na szczęście dla mnie, tak nie

jest. Wspominałem już, że przychodzą na mnie epoki zobojętnienia. Czasem życie porywa mnie w swoje objęcia, a choć w gruncie rzeczy wiem, co mam myśleć o jego słodyczach, jednak oddaje mu się w zupełności — i wówczas to moralne: «to be, or not to be?» niema dla mnie znaczenia. Dziwna, a mało badana dotąd rzecz, jak niesłychane ma znaczenie w tym względzie suggestya społeczna. W Paryżu naprzykład, bywam spokojniejszy, nietylko dlatego, że mnie ten młyn ogłusza, że kipię razem z tym wrzątkiem, że mi serce i głowę zajmują moje «godziny sali», ale że tam ludzie, nie zdając sobie może sprawy, żyją tak, jakby każdy miał wszelką pewność, że w to życie warto jest włożyć wszystkie siły, bo po za niem jest tylko proces chemiczny. I puls mój poczyna bić razem z tym pulsem i nastrajam się zgodnie do tego nastroju. Bawię się lub nudzę, biję lub jestem bity, ale mam względny spokój.

Rzym. Babuino, 13 Stycznia.

Mam zaledwie cztery dni czasu do wyjazdu, chcę zaś jeszcze przed wyjazdem streścić to, com o sobie powiedział. Jestem człowiekiem nieco zmęczonym, bardzo wrażliwym i nerwowym.

Mam wyrobioną do wysokiego stopnia świadomość siebie, popartą względnem wykształceniem, czyli mogę wogóle uważać się za istotę umysłowo rozwiniętą.

Sceptycyzm, ów sceptycyzm podniesiony do kwadratu, wyłącza we mnie wszelkie niewzruszone przekonania. Patrzę, obserwuję, krytykuję — i czasem zdaje mi się, że chwytam istotę rzeczy, ale zresztą gotów jestem zawsze i o tem powątpiewać. O moim stosunku do religii mówiłem. Co do przekonań społecznych, jestem o tyle konserwatystą, o ile człowiek w moich warunkach być nim poniekąd musi, i o ile konserwatyzm odpowiada moim upodobaniom. Nie potrzebuję mówić, jak daleko od tego do poglądu na zachowawczość, jak na dogmat, którego krytykować nie wolno. Jestem człowiekiem nadto ucywilizowanym, abym stał bezwzględnie po stronie arystokracyi lub demokracyi. W takie rzeczy bawią się jeszcze po zaściankach lub w dalekich stronach, gdzie idee przychodzą tak, jak mody, o kilkanaście lat zapóźno. Od czasu, jak nie istnieje przywilej, kwestya jest, podług mnie, zamknięta; tam zaś, gdzie ją zacofanie podtrzymuje, stała się kwestyą nie zasad, ale próżności i nerwów. Co do mnie, lubię ludzi rozwinię-

tych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiej.

Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę, piękne kobiety. Pod względem estetycznym posiadam nerwy nietylko wyrobione, ale może nawet przerafinowane. Składała się na to i ich przyrodzona wrażliwość i wychowanie, jakie odebrałem. Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samo uciech, ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nietyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć. Wogóle zdaje mi się, że jestem człowiekiem — być może trochę popsutym — ale porządnym, lubo naprawdę mówiąc, poniekąd zawieszonym w powietrzu, bo nie wspierającym się na żadnych dogmatach, ani pod względem religijnym, ani społecznym. Nie mam także celu, dla którego bym życie mógł poświęcić.

Na zakończenie tej syntezy, słowo jeszcze o moich zdolnościach. Ojciec, ciotka, koledzy, a czasem i ludzie obcy, uważają je za wprost

nadzwyczajne. Ja przyznam, że mój umysł ma pewną błyskotliwość. Ale czy «l'improductivité slave» nie rozwieje pokładanych we mnie nadziei? Na mocy tego, com dotychczas zrobił, a raczej na mocy tego, żem dotychczas nic nie zrobił, nietylko dla drugich, ale nawet dla siebie, godzi mi się przypuszczać, że tak.

A zeznanie to kosztuje mnie więcej, niż się zdaje. Ironia moja, gdy o sobie myślę, ma smak goryczy. Jest coś jałowego w tej glinie, z której Bóg stworzył Płoszowskich, skoro na niej tak łatwo i bujnie wszystko porasta, a nic nie wydaje ziarna. Gdybym istotnie przy tej jałowiźnie, przy tej niemocy czynu, posiadał nawet genialne zdolności, to byłbym jakimś szczególnym rodzajem geniusza bez teki, jak bywają ministrowie bez teki.

To określenie: geniusz bez teki, wydaje mi się bliskie istoty rzeczy. Muszę wziąść na nie patent wynalazku. Ach! i znowu ta pociecha! Oto nie sam jeden, dalibóg, nie sam jeden będę nosił to miano. Imię moje jest legion! «L'improductivité slave» istnieje swoją drogą, a swoją drogą: *geniusz bez teki*, to nasz, czysto nadwiślański, płód. Raz jeszcze powtarzam, że imię moje jest legion. Nie znam zakątka ziemi, w któ-

rymby tylu marnowało świetne zdolności — w którymby ci nawet, którzy coś dają, dawali tak mało — tak niesłychanie mało, w stosunku do tego, co im Bóg dał.

Rzym. Babuino, 14 Stycznia.

Drugi list od ciotki z naleganiem, bym przyspieszył przyjazd. Jadę, kochana ciociu, jadę — a Bóg widzi, że robię to tylko z przywiązania do ciebie, bo inaczej wolałbym tu zostać. Ojciec mój czuje się nie zdrów; od czasu do czasu doznaje drętwienia w całej lewej połowie ciała. Na prośbę moją wezwał lekarza, ale jestem pewien, że lekarstwa, jakie mu przepisano, zamknął do szafy, jak to zresztą zwykł czynić od kilkunastu lat. Raz otworzył tę szafę, i pokazując mi setki butelek i buteleczek, słojów, słoików, pudełek, powiedział: «Zlituj się, gdyby to najzdrowszy człowiek zjadł i wypił, to jeszczeby nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek chory!» Dotychczas pogląd taki nie wyrządził ojcu wielkiej krzywdy, ale jestem niespokojny o przyszłość.

Drugim powodem niechęci do wyjazdu są dla mnie zamiary ciotki. Naturalnie, że chodzi jej o to, by mnie ożenić. Nie wiem, czy ciotka

ma coś upatrzonego; dałby Bóg, żeby nie miała, ale z zamiarami nawet się nie ukrywa. «Że o taką partyę, jaką ty jesteś (pisze mi) rozpocznie się zaraz wojna białych i czerwonych róż, to łatwo przewidzieć». Ależ ja jestem zmęczony, nie chcę być powodem żadnej wojny, a zwłaszcza nie chcę, jak Henryk VII-my, kończyć wojny róż małżeństwem. Z drugiej strony — oczywiście, ciotce nie mogę tego powiedzieć, ale sam przed sobą mogę zeznać: oto nie lubię Polek. Mam lat trzydzieści pięć; miałem, jak każdy człowiek, który dużo żył, rozmaite uczuciowe przygody w życiu, spotykałem i Polki — i z tych przygód, z tych zetknięć, wyniosłem wrażenie, że to są najtrudniejsze i najbardziej męczące kobiety w świecie. Nie wiem, czy są cnotliwsze, na ogół, od Francuzek lub Włoszek; wiem to tylko, że są o wiele patetyczniejsze. Zimno mi się robi, gdy o tem pomyślę. Bo rozumiem elegię nad stłuczonym dzbankiem, gdy po raz pierwszy ujrzy się u stóp skorupy; ale deklamować tę elegię z równym patosem nad wielokrotnie drutowanym dzbankiem, to, doprawdy, zakrawa na operetkę. Miła rola «czułego słuchacza», któremu przyzwoitość nakazuje brać to na seryo! Dziwne, fantastyczne kobiety, o

płonących głowach, a rybim temperamencie! W uczuciach ich niema nietylko wesołości, ale i prostoty. Kochają się one w formach uczucia, mniej dbając o treść wewnętrzną. Z tego powodu nie potrafisz nigdy Polki obrachować. Z Francuzką, z Włoszką, jeśliś logicznie ułożył premissy, możesz być mniej więcej pewien swojego «ergo». Z Polką bynajmniej! Ktoś powiedział, że jeśli się mężczyzna myli, to mówi, że dwa razy dwa jest pięć — i błąd może być sprostowany — kobieta zaś, myląc się, twierdzi, że dwa razy dwa jest lampa, i wtedy choć głową o mur bij. Otóż przedewszystkiem w logice Polek może wypaść, że dwa razy dwa nie jest cztery, ale lampa, miłość, nienawiść, kot, łzy, obowiązki, wróbel, pogarda — zgoła nic nie potrafisz przewidzieć, niczego obrachować, przeciw niczemu się ubezpieczyć. Być zresztą może, iż z powodu tych wszystkich wilczych dołów, cnota Polek lepiej jest ubezpieczoną, niż innych kobiet, choćby dlatego, że oblegający nuży się śmiertelnie. Com jednak zauważył i czego nie mogę im darować, to tego, że te wilcze doły, palisady, pastki, ta zaciekłość obrony, wszystko to nietyle obrachowane jest na ostateczne odpędze-

nie przeciwnika, ile na wyzyskanie wzruszeń walki.

Mówiłem raz o tem — naturalnie obwijając rzecz, ile możności, w bawełnę — z jedną bardzo sprytną kobietą, nawpół tylko Polką, bo ojciec jej jest Włochem. Ta, wysłuchawszy mnie, odrzekła:

— Pan masz w tej sprawie pogląd lisa na gołębnik. Nie podoba ci się to i psuje ci humor, że gołębie mieszkają zwykle wysoko, i że mają skrzydła lotniejsze od kurzych. Wszystko, co mówisz, wypada raczej na korzyść Polek.

— A to jakim sposobem?

— Bo im Polka jest nieznośniejszą, jako cudza żona, tem może być pożądańszą, jako własna.

Przyparto mnie, jak to mówią, do muru i na razie nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Może być przytem, że mam trochę pogląd lisa na gołębnik. Niewątpliwem jest także, że gdybym się miał żenić w ogólności, a w szczególności żenić z Polką, tobym tej Polki szukał nietylko między gołębiami, mieszkającymi wysoko, ale i między gołębiami białymi.

Jestem jednakże, jak owe ryby, które, na pytanie, z jakim sosem chcą być przyprawione, odpowiadają, że przedewszystkiem wcale nie

życzą sobie być przyprawione. Tu wracam do zarzutów przeciw wam, miłe rodaczki. Kochacie w ogóle więcej dramat w miłości, niż samą miłość. W każdej z was siedzi królowa — i tem ogromnie różnicie się od innych kobiet; każda z was sądzi, że już tem samem wyrządza łaskę i dobrodziejstwo, jeśli się pozwala kochać; żadna nie zgodzi się na to, by być tylko dodatkiem, tylko dopełnieniem męskiego życia, które ma przecie inne cele. Wy chcecie, żebyśmy dla was istnieli, nie wy dla nas. Następnie kochacie lepiej dzieci, niż męża. Dolą jego jest dola satelity. Widziałem to, obserwowalem nieraz — takie jesteście powszechnie; gdzieniegdzie tylko świecą wyjątki, jak dyamenty wśród osypiska. Nie! — moje księżniczki — pozwólcie uwielbiać się zdaleka.

Odsunąć raz na zawsze na drugi plan wszystkie cele, wszystkie ideały, płonąć codziennie, jak kadzidło na ołtarzu żony — i do tego własnej żony, o, panie moje — to dla człowieka trochę zamało!

Moja samowiedza pyta mnie wprawdzie zaraz: «Właściwie, co ty masz lepszego do roboty, jakie zamiary, jakie cele? Jeśli kto, to ty stworzony jesteś na ofiarę całopalną».

Ale nie — do licha! W małżeństwie trzeba tak zmienić życie, tyle wyrzec się ze swoich przyzwyczajeń, wygód, upodobań, nałogów, że chyba istotna i wielka miłość może to opłacić. Mnie się to nie trafi. Ożenienie się jest tak bajecznym aktem wiary w kobietę i woli, że się na nie nigdy nie zdobędę. Powtarzam jeszcze raz: «Nie chcę być z żadnym sosem przyprawiony».

Warszawa, 21 Stycznia.

Przyjechałem dziś rano, ale żem się zatrzymał w Wiedniu, więc droga nie dała mi się zbyt we znaki. Godzina jest późna, nerwy spać mi nie dają, zatem zasiadam do pisania. Rzeczywiście wchodzi mi ono w zwyczaj — i znajduję w niem pewien powab. Co za radość w domu! co za poczciwa ta ciotka! Z radości pewnie także nie śpi, a przy obiedzie nie mogła nic jeść. Gdy jest u siebie w Płoszowie, kłóci się zawsze z panem Chwastowskim, swoim rządcą, bardzo tęgim szlachcicem, który słowa nie pozwala sobie powiedzieć i odcina się ząb w ząb. Dopiero, gdy się tak skłócą, że rozstanie zdaje się być nieuniknione, ciotka milknie i je z apetytem, a nawet z pewną zawziętością. Dziś musiała

poprzestać na wylajaniu służby, co jej nie wystarczyło. Humor miała jednak przepyszny, i ile było niezgłębionego przywiązania w spojrzeniach, które rzucała na mnie przez całe poobiedzie, to się nie da opisać. W kółku jej znajomych nazywają mnie fetyszem, o co zresztą ciotka mocno się gniewa.

Oczywista rzecz, że przewidywania i obawy moje się sprawdziły. Nietylko istnieją zamiary, ale istnieje coś upatrzonego. Ciotka ma zwyczaj chodzić wielkimi krokami po obiedzie i głośno myśleć. Otóż, mimo tajemnicy, jaką starała się otaczać, usłyszałem monolog następujący:

— Młody jest, przystojny, bogaty, jenialny — chybaby głupia była, gdyby się w nim zaraz nie zakochała.

Jutro jedziemy na piknik, jaki młodzież wyprawia damom. Ma to być zabawa bardzo świetna.

Warszawa, 25 Stycznia.

Nudzę się często na balach, jako «homo sapiens»; nie cierpię ich, jako kandydat do małżeństwa, ale lubię je czasem, jako artysta — naturalnie, artysta bez teki. Co to za piękna rzecz, naprzykład, szerokie, rzęsiście oświecone i pełne kwiatów schody, po których kobiety, przybrane

balowo, wchodzą na górę. Wszystkie wydają się wówczas bardzo wysokie, a gdy się patrzy na nie z dołu, jak ciągną za sobą powłóczyste suknie, przypominają aniołów w śnie Jakóba. Lubię ten ruch, światła, kwiaty, te lekkie tkaniny, pokrywające jakby jasną mgłą młode panny; a cóż dopiero mówić o obnażonych szyjach, gorsach i ramionach, które po zdjęciu narzutek, zdają ścinać się, krzepnąć na powietrzu i przybierać twardość marmuru. Mój zmysł powonienia rozkoszuje się także. Przepadam za dobremi perfumami.

Piknik udał się bardzo dobrze. Trzeba przyznać Staszewskiemu, że umie takie rzeczy urządzać. Przyjechałem razem z ciotką, ale straciłem ją zaraz w przedsionku, bo Staszewski zbiegł umyślnie, żeby jej podać rękę na schody. Biedne ciotczysko ma jakąś długą, gronostajową narzutkę, której używa na wszystkie wielkie wystąpienia, wskutek czego nazywają ją «Dostojną peleryną». Wszedłszy na salę, zatrzymałem się nieopodal drzwi, żeby się rozejrzeć między ludźmi. Człowiek doznaje dziwnego wrażenia, gdy po kilkuletniej niebytności znajdzie się wśród swojskich twarzy. Czuje wówczas doskonale, że są to bliższe istoty, niż te, które gdzie-

indziej spotykał, a jednak przypatruje im się, bada je i robi spostrzeżenia, jakby obcy. Szczególniej kobiety zajęły moją uwagę.

Bądź co bądź, towarzystwo u nas jest wykwintne. Twarze widziałem ładne lub brzydkie, ale takie, jakie wytwarza stara i wyrafinowana cywilizacya. Szyje i ramiona kobiet, przy całej nieraz okrągłości młodzieńczej, przypominały mi poprostu wyroby sewrskie. Jest w nich jakaś spokojna wytworność, jakieś wykończenie. Co za stopy widziałem, co za ręce, co za rysunek czaszek! Doprawdy, że tu nie udają Europy, tu nią są.

Stałem tak z kwadrans, rozmyślając jeszcze i nad tem, którą z tych głów, który z tych gorsów, ciotka przeznacza dla mnie? Tymczasem nadeszli Śniatyńscy. Jego widziałem przed kilku miesiącami w Rzymie, ją znałem już także poprzednio. Lubię ją, bo ma ogromnie słodką twarz i należy do tych wyjątkowych Polek, które nie pochłaniają życia mężów, ale oddają im swoje. Po chwili wsunęła się między nas jakaś młoda osóbka, która, przywitawszy się ze Śniatyńską, wyciągnęła do mnie łapkę, opiętą w białą rękawiczkę i spytała:

— Nie poznajesz mnie, Leonie?

Trochę mnie zakłopotało to pytanie, bo istotnie w pierwszej chwili ani wiedziałem, kogo mam przed sobą, zacząłem jednak potrząsać tą rączką, kiwać głową, uśmiechać się i powtarzać: «A to dobre! a jakże! owszem! owszem!» — jak człowiek, który nie chce okazać się niegrzecznym. Przypuszczam nawet, że miałem przytem dość głupią minę, bo pani Śniatyńska roześmiała się, potem zaś rzekła:

— Ależ pan jej naprawdę nie poznaje: Anielka P.

Anielka! moja kuzynka! Cóż dziwnego, żem jej nie poznał! Widziałem ją przed dziesięciu, czy jedenastu laty, w sukience po kolana. Przypominam sobie, że to było w Płoszowie, w ogrodzie; miała wówczas różowe pończoszki i komary ogromnie ją cięły po nóżkach, skutkiem czego tupała, jak konik. Jakże miałem teraz poznać, że ten gors, ubrany fijołkami, że te białe ramiona, ta przystojna twarz, o ciemnych oczach, słowem: że ta panna w całym rozkwicie, to tamta pliszka na cienkich nogach. O, jaka ładna! Ależ motyl wylągł się z tej poczwarki! Oczywiście powitałem ją po raz drugi i najserdeczniej. Potem, gdy Śniatyńscy odeszli, a ona powiedziała mi, że ciotka i matka przysłały ją

po mnie, podałem jej ramię i poszliśmy razem w głąb sali.

Nagle zrobiło mi się w jednej chwili jasno w głowie. Oczywiście, że ciotka ma na celu Anielkę! Oto cała tajemnica, oto niespodzianka! Ciotka zawsze bardzo kochała tę dziewczynę i wiecznie gryzła się kłopotami majątkowymi pani P. Dziwno mi tylko było, że te panie nie stanęły w domu ciotki, ale nie chciałem się nad tem zastanawiać, bom wolał przyglądać się Anielci, która, jak łatwo zrozumieć, zaczęła mnie teraz w inny sposób interesować, niż pierwsza lepsza panna. Po drodze miałem dość czasu i na rozmowę i na egzamin, albowiem szliśmy na drugi koniec sali, a już tłok robił się coraz większy. Moda tegoroczna nakazuje nosić rękawiczki średnio długie, nie dochodzące do łokcia, spostrzegłem więc naprzód, że ramię Anielki, które wspierało się na mojem, ma ciemnawy ton od pokrywającego je, zbyt może obfitego puszku. Aniela nie jest jednak brunetką, choć na pierwszy rzut oka robi wrażenie brunetki. Włosy jej przeświecają jak bronz. Oczy ma jasne, ale i one wydają się czarne z powodu niezmiernie długich rzęs; brwi jej natomiast są zupełnie czarne i istotnie prześliczne. Cechą cha-

rakterystyczną tej małej główki, o niskiem czole, jest właśnie owa zbytnia bujność włosów, brwi, rzęs i puszku, który na bokach twarzy staje się delikatny, jak pela i zupełnie jasny. Wszystko to, razem wzięte, może z czasem wyjść na niekorzyść jej piękności, obecnie jednak jest tak młoda, że oznacza to tylko jakąś żywotność i bujność organizmu i czyni z tej dziewczyny nie zimną lalkę, ale ciepłą, żywą i pełną ponęt kobietę.

Nie zapieram się, że jakkolwiek moje nerwy są wybredne i nie poczynają grać z lada powodu, odczułem te ponęty doskonale. To mój typ. Ciotka, która jeśli słyszała o Darwinie, to zapewne uważa go za jakąś «paskudną» głowę — zastosowała się mimowolnie do jego teoryi naturalnego doboru. Tak! to mój typ! Tym razem nielada przynętę osadzono na haczyku.

Jakieś prądy elektryczne poczęły przebiegać z jej ramienia po mojem. Widziałem zresztą, że i ja robię na niej korzystne wrażenie, a to zawsze ożywia. Egzamin, który czyniłem, jako artysta, wypadł równie pomyślnie. Są twarze, które wydają się, jak przekład z muzyki lub poezyi na ludzkie rysy. Do takich właśnie należy twarz Anielki. Niema w niej pospolitości.

Dziewczynom ze szlacheckich domów wychowanie zaszczepia tak skromność, jak się dzieciom szczepi ospę — jest więc w niej i ten wyraz, jest coś niewinnego, a z pod tej niewinności wygląda gorący temperament. Co za połączenie! To jakby ktoś powiedział: niewinny djabeł!

Przypuszczam zresztą, że przy całej niewinności, Anielka może być trochę kokietką; zauważyłem zaraz, że posiada zupełną świadomość swych ponęt. Oto, wiedząc naprzykład, że ma prześliczne rzęsy, spuszcza je co chwila na oczy, bez koniecznej potrzeby. Ma także bardzo miły sposób podnoszenia głowy i patrzenia na mówiącego. Z początku rozmowy była trochę sztuczna, bo onieśmielona, ale po chwili już byliśmy tak, jak gdybyśmy się nigdy, od owych płoszowskich czasów, nie rozstawali.

Ciotka jest nieoceniona ze swojemi dystrakcyami — tylko spiskowaćbym z nią nie chciał. Ledwieśmy z Anielką przyszli do tych pań, ledwie zdołałem powitać jej matkę i przemówić z nią kilka słów, gdy ciotka, widząc moje ożywienie, rozpromieniła się w oczach, następnie ruszyła ramionami i zwróciwszy się do matki Anielki, rzekła głośno:

— Ślicznie jej w tych fijołkach! Ha! może

to i dobra była myśl, żeby ją na balu pierwszy raz zobaczył...

Matka Anielki zmieszała się bardzo, Anielka również, a ja zrozumiałem, dlaczego te panie nie zajechały do domu ciotki. Był to widocznie pomysł pani P. Ona i ciotka musiały prowadzić już oddawna układy. Przypuszczam, że Anielka nie była wprost do nich dopuszczona, ale dzięki panieńskiej przenikliwości w takich razach, mogła się ich domyślać.

Więc, żeby położyć koniec ogólnemu zakłopotaniu, zwróciłem się do niej i powiedziałem:

— Z góry cię ostrzegam, że źle tańczę, ale będą mi cię co chwila porywali, zatem daruj mi jednego walca.

Anielka w odpowiedzi podała mi karnet i rzekła rezolutnie:

— Zapisz, co chcesz.

Ja wyznaję, że nie lubię roli manekina, którego się pociąga za sznurki, nie lubię być popychanym do czegoś; więc, chcąc odrazu zająć jakąś rolę czynną w polityce starszych pań, wziąłem karnet i napisałem: «Czyś zrozumiała, że nas chcą żenić?»

Anielka, przeczytawszy, zmieniła się na twarzy, a następnie nieco przybladła. Przez chwilę

milczała, jakby nie była pewna, czy jej głos dopisze, lub jakby wahając się, co ma odpowiedzieć; wreszcie podniosła swoje śliczne rzęsy i spojrzawszy mi prosto w oczy, odrzekła:

— Tak!

Ale teraz ona zaczęła pytać, wprawdzie nie słowami, jeno wzrokiem. Powiedziałem już, że zrobiłem na niej także korzystne wrażenie, a przytem, skoro się domyślała układów, to musiała mieć napełnioną myśl mną. To też teraz czytałem wyraźnie w jej oczach słowa:

— Wiem, że mama i ciotka życzą sobie, byśmy się poznali, zbliżyli, więc... więc?

Więc zamiast odpowiedzi, otoczyłem ręką jej stan, przygarnąłem ją zlekka do siebie i poprowadziłem do walca. Przypomniały mi się moje «godziny sali».

Taka niema odpowiedź mogła trochę rozmarzyć dziewczynę, której już poprzednio zaimponowało to, co napisałem w karnecie. Ale myślałem sobie: dlaczegobym jej nie miał trochę rozmarzyć? W żadnym razie nie pójdę dalej, niż chcę, a gdzie ona zajdzie, to mnie jeszcze mało obchodzi. Anielka doskonale tańczy, a tego walca tańczyła tak właśnie, jak kobieta powinna walca tańczyć, to jest z pewnem zapamiętaniem

się i oddaniem tancerzowi. Uważałem, że fijołki na jej gorsie poruszają się żywiej, niżby to dało się usprawiedliwić powolnem zresztą tempem. Rozumiałem, że się w niej coś poczyna. Kochanie jest poprostu potrzebą fizyczną, hamowaną wprawdzie najstaranniej w pannach, należących do wyższych warstw towarzyskich, ale niemniej nieprzepartą. To też, gdy dziewczynie powiedzą: «tego wolno ci kochać» — bywa nieraz, że dziewczyna korzysta z pozwolenia bardzo skwapliwie.

Anielka widocznie spodziewała się, że skoro raz zdobyłem się na to, co napisałem w karnecie, to po walcu nastąpi o tem rozmowa w dalszym ciągu. Ale ja umyślnie usunąłem się zaraz na bok, by ją zostawić w oczekiwaniu.

Chcialem także przypatrzeć się jej z pewnej odległości. Stanowczo to mój typ. Tego rodzaju kobiety ciągną mnie poprostu, jak magnes. Ach, żeby ona miała lat trzydzieści i nie była panną, z którą mnie swatają!

Warszawa, 30 Stycznia.

Te panie przeniosły się do nas. Wczoraj cały dzień byłem z Anielką. Ma ona więcej stronnic w duszy, niż miewają zwykle panny w jej wieku. Wiele z tych stronnic przyszłość dopiero zapi-

sze, ale jest miejsce na bardzo piękne rzeczy. Odczuwa i rozumie wszystko, a przytem słucha nieporównanie, skupiając się i otwierając szeroko swe rozumne oczy na mówiącego. Kobieta, która umie słuchać, posiada jeden więcej sposób podobania się, bo pochlebia przez to miłości własnej mężczyzny. Nie wiem, czy Anielka ma świadomość tego, czy tylko szczęśliwy instynkt kobiecy. Być może także, iż tyle nasłuchała się o mnie od ciotki, że każde słowo moje uważa za wyrocznię. Ma ona jednak trochę kokieteryi. Dziś, na pytanie moje, czegoby sobie najmocniej w życiu życzyła, odpowiedziała: «zobaczyć Rzym» — przyczem opuściła swoje frendzliste powieki na oczy i była nieopisanie ładna. Widzi to doskonale, że mi się podoba i jest z tego powodu szczęśliwa. Jej kokieterya jest śliczna, bo płynie z rozradowanego serca, które chce się przypodobać drugiemu wybranemu sercu. Nie mam już najmniejszej wątpliwości, że ta dusza leci ku mnie, jak ćma ku światłu. Biedne dziecko, czując zgodę starszych, korzysta z niej aż nadto skwapliwie. Proces ten można obserwować z godziny na godzinę.

Ja powinienbym sobie może postawić pytanie: jeśli się nie chcesz żenić, to czemu czynisz

wszystko, żeby tę dziewczynę rozkochać? Ale mi się nie chce odpowiadać na to pytanie. Tak mi jest dobrze i zacisznie! A właściwie mówiąc, co ja takiego czynię? Nie staram się wydać głupszym, ani mniej uprzejmym, ani antypatyczniejszym, niż jestem — oto wszystko.

Anielka przyszła dziś na ranną kawę w jakiejś przestronnej, marynarskiej bluzce w paski, pod którą można się było tylko domyślać jej kształtów, ale można też było głowę stracić, dzięki takim domysłom. Miała oczy trochę zaspane, a w sobie jakieś ciepło snu. Coś bajecznego, jakie ona robi na mnie wrażenie.

31 Stycznia.

Ciotka wydaje wieczór dla Anielki. Chodzę z wizytami. Byłem u Śniatyńskich i siedziałem długo, bo mi jest u nich dobrze. Śniatyńscy żyją w ciągłej niezgodzie ze sobą, ale zupełnie innej, niż zwykle żyją małżeństwa. Pospolicie tak bywa, że jak jest jeden płaszcz, to każde ciągnie go dla siebie, między nimi zaś jest spór o to, że on jej chce cały oddać, a ona jemu. Lubię ich ogromnie, bo dopiero u nich przekonywam się, że szczęście może być rzeczą nietylko książkową, ale zupełnie realną. On przytem jest by-

stry człowiek, wrażliwy, jak skrzypce Stradivariusa i posiada zupełną świadomość swego szczęścia. Chce go i ma. Tego mu zazdroszczę. Rozmowa z nim zawsze była mi przyjemna. Dali mi doskonałej czarnej kawy — tylko chyba u literatów pija się podobną — i poczęli się wypytywać, jak mi się wydaje Warszawa i swoi po tak długiej niebytności. Były pytania i o ostatnią zabawę, zwłaszcza ze strony pani Śniatyńskiej, bo ona się trochę ciotczynych zamiarów domyśla, a że pochodzi z Wołynia, to jest z tych samych stron, co Anielka i Anielkę zna dobrze, więc radaby wścibić swój różowy nosek w tę sprawę.

Oczywiście unikałem rzeczy osobistych, ale dużo mówiliśmy o naszem towarzystwie w ogóle. Powiedziałem, co myślę o wytworności tego towarzystwa, że zaś Śniatyński, mimo, że sam nieraz ostro krytykuje swoje społeczeństwo, chciwy jest aż do szowinizmu na wszelką dla niego pochwałę, więc wpadł w doskonały humor i zaraz począł przytakiwać.

— Lubię — rzekł w końcu — słyszeć podobne rzeczy z takich ust, jak twoje, bo jeśli kto, to ty miałeś naprzód sposobność porównywać, a powtóre jesteś raczej pesymistą.

— Nie wiem, mój kochany — odrzekłem — czy i ten mój sąd nie jest pesymistyczny.

— Nie rozumiem dlaczego?

— Bo widzisz, na każdej kulturze, tak wyrafinowanej, możesz napisać to, co się pisze na pakach ze szkłem lub porcelaną: «fragile!» Tobie, który duchowo pochodzisz z Aten, mnie i dziesiątemu, dobrze i miło jest żyć z ludźmi, mającymi tak wydoskonalone nerwy; ale jeśli zechcesz coś na tej podstawie budować, to cię ostrzegam, że ci belki na głowę zlecą. Czy myślisz, że ci wytworni dyletanci życiowi nie muszą przegrać w walce o byt z ludźmi, mającymi tęgie nerwy, grube muskuły i grubą skórę?

Śniatyński, który jest bardzo żywy, zerwał się, zaczął chodzić po pokoju, a potem napadł na mnie z wielkim impetem:

— To jedna strona, i strona dodatnia, jak sam przyznajesz, nie myśl jednak, żeby w nas nic więcej nie było. Ty przyjeżdżasz z za morza, a mówisz, jakbyś tu życie spędził.

— Ja nie wiem, co jest w was, ale to wiem, że nigdzie na świecie niema takiego braku równowagi w kulturze klas społecznych, jak tu. Z jednej strony wykwit, albo może i przekwit

kultury, z drugiej strony absolutne barbarzyństwo i ciemnota.

Poczęliśmy się kłócić i zmrok zapadł, nim od nich wyszedłem. On mi powiedział, że jeśli będę częściej do niego przychodził, to się obowiązuje pokazać mi pośrednie ogniwa, które nie są ani przerafinowane, ani chore na dyletantyzm, ani też ciemne, jak tabaka w rogu, słowem, ma mi pokazać tęgich ludzi, którzy coś robią i wiedzą, czego chcą. Gadaliśmy jeden przez drugiego, tembardziej, że po kawie wypiliśmy po kilka kieliszków koniaku. Gdym już wyszedł, Śniatyński krzyczał jeszcze za mną na schodach:

— Z takich, jak ty, już nic nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczej musicie wszyscy, pierwej pobankrutować, bo inaczej i wnuki wasze nie wezmą się do żadnej roboty!

Myślę jednak, że na ogół ja miałem słuszność. Zapisuję właśnie dlatego tę rozmowę, ponieważ od przyjazdu nieustannie myślę o tym braku równowagi. Faktem jest, że u nas klasy społeczne dzieli przepaść, wobec której wszelkie porozumienie się, wszelkie zgodne działanie, jest zupełnie niemożliwe. Śniatyński sam musi się

zgodzić, że składamy się z ludzi przecywilizowanych i zgoła nieucywilizowanych. Tak ja przynajmniej widzę! Wyroby sewrskie i surowa glina — nic w pośrodku. Jedno «très fragile» — drugie owidiuszowa «rudis indigestaque moles». Oczywiście, że wyroby sewrskie prędzej później się potłuką, a z gliny przyszłość ulepi, co jej się podoba.

2 Lutego.

Wczoraj odbył się u nas wieczór tańcujący; Anielka istotnie zwracała wszystkie oczy. Jej białe ramionka wyglądały z osłon gazy, illuzyi — i bo ja tam wiem z jakich jeszcze materyałów — jak ramiona Wenus, wychylającej się z piany morskiej. Rozniosło się już po Warszawie, że się z nią żenię. Uważałem, że Anielka wczoraj przy każdym zawrocie tańca wodziła za mną oczyma i słuchała z dystrakcyą tego, co jej tancerze mówili. Biedne dziecko, tak nie umie nic ukryć, tak okazuje wszystko, co ma w sercu, że ślepy chybaby tego nie spostrzegł. A takie to względem mnie pokorne, takie ciche, takie szczęśliwe, gdy się zbliżam! Zaczynam ją lubić bardzo i zaczynam słabnąć. Śniatyńskim tak przecie dobrze ze sobą! Nie po raz pierw-

szy przychodzi mi zadać sobie pytanie, czy Śniatyński jest głupszy, czy też mądrzejszy odemnie. Ja, ze wszystkich zadań życiowych nie rozwiązałem żadnego, jestem niczem; sceptycyzm trawi mnie, nie jestem szczęśliwy, a czuję się znużony. On nie ma mniej świadomości odemnie, przytem pracuje; ma przystojną żonę, ale ma, bestya, jakąś filozofię życiową, która szczęście jego popiera. Stanowczo ja jestem głupszy. Kluczem do filozofii Śniatyńskiego są jego dogmaty życiowe. Jeszcze przed ożenieniem mówił mi: «Jest jedna rzecz, do której nie zbliżam się ze swoim sceptycyzmem, której nie krytykuję i nie będę: jako dla literata, dogmatem dla mnie jest społeczeństwo — jako dla człowieka prywatnego: kochana kobieta». Ja wówczas myślałem sobie: jednak mój umysł jest śmielszy, skoro nie cofa się przed rozbiorem i takich uczuć. Ale dziś widzę, że ta śmiałość nie doprowadziła mnie do niczego. Z drugiej strony: on taki śliczny, ten mój długorzęsy dogmacik! Stanowczo słabnę. Ten jakiś nadzwyczajny pociąg, jaki mam do niej, nie da się wytłómaczyć samem prawem naturalnego doboru. Nie! jest w tem coś więcej — i wiem nawet co. Oto, ona zakochała się we mnie tak świeżem i poczciwem uczuciem, jakiem

mnie nikt nie kochał. O, jakież to inne od owych «godzin sali», w czasie których zadawałem i parowałem ciosy! Kobieta, która się mocno podoba, a sama mocno kocha, jeśli tylko wytrwa, może być pewna wygranej. «Zabłąkany ptak», jak się wyraża Słowacki, wróci niechybnie do niej, jak do swej ciszy, do swego pokoju i wróci tem skwapliwiej, im mu samotniej i ciężej będzie w zabłąkaniu. Nic tak nie zjednywa, nie ujmuje, nie ciągnie męskiego serca, jak gdy czuje, że jest kochane. Kilka stronic temu napisałem Bóg wie co o Polkach, ale jeśliby kto myślał, że dla jednej marnej stronnicy, lub ze strachu przed zarzutem niekonsekwencyi, nie zrobię tego, co będę uważał w danym razie za lepsze, toby się grubo mylił.

Jak ta dziewczyna zadawalnia mój zmysł artystyczny, to coś nadzwyczajnego! Po skończonym balu nastała najmilsza chwila, gdyśmy, po odjeździe wszystkich, kazali sobie przynieść herbaty do salonu i zasiedli do niej we czworo. Ja, chcąc zobaczyć, co się dzieje na dworze, poszedłem do okna i odsunąłem nieco portyerę. Była już ósma rano, więc przez szyby wpadło nagle światło dzienne, które przy blasku lamp wydało się tak szafirowe, ażem się zdumiał. Alem

się jeszcze bardziej zdumiał, gdym zobaczył w tych szafirach Anielkę. Miałem zupełnie to wrażenie, jakby była w grocie błękitnej na Capri. Co za tony były na jej obnażonych ramionach! I cóż robić, ale taka już jest moja natura, taka wrażliwość, że w tej chwili zesłabłem do reszty, i że Anielka tak mnie chwyciła tem za serce, jakby to była jej zasługa. Długo i zupełnie inaczej, niż dotychczas, uścisnąłem jej rękę na dobranoc, a ona, nie cofając tej rączki, odpowiedziała:

— Dzień dobry, nie dobranoc, dzień dobry!

Ale, albom zupełnie ślepy, albo muzyka tego głosu mówiła, narówni z oczami dziewczyny:

— Kocham, kocham!

Prawie, że i ja.

Ciotka, patrząc na nas, wydaje głuchy pomruk radości. Widziałem, że miała łzy w oczach.

Wyjeżdżamy do Płoszowa.

Płoszów, 5 lutego.

Drugi dzień już jesteśmy na wsi. Mieliśmy pyszną drogę. Pogoda, mróz. Śnieg skrzypiał pod płozami i skrzył się na polach. Pod zachód słońca, te ogromne białe płaszczyzny nabrały odblasku zupełnie fioletowego. W lipach, pod

Płoszowem, tłukły się z wielkiem krakaniem stada wron. Zima, mocna zima u nas, to jednak piękna rzecz. Jest w niej jakaś siła i powaga, a przedewszystkiem szczerość. Równie, jak szczery przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta. Ale za to jej rzeźkość udziela się ludziom. Wszyscyśmy byli zadowoleni, że jedziemy na wieś. Prócz tego starsze panie były rade, że ich najdroższe chęci mają się ku spełnieniu, ja byłem rad, bo wyczuwałem ramieniem ramię siedzącej obok mnie Anielki — ona zaś, być może, iż z tego samego powodu czuła się szczęśliwa. Parę razy, pochyliwszy się, ucałowała ciotki ręce — ot, tak sobie, z nadmiaru radości. Bardzo jej ładnie było w jakiemś puszystym boa i w futrzanej czapeczce, z pod której ledwie wyglądały jej ciemne oczy, prawie jeszcze dziecinne i twarz z policzkami, wyszczypanemi na różowo od mrozu. Młodość aż bije od niej.

Dobrze w tym Płoszowie i zacisznie. Lubię zwłaszcza ogromnie staroświeckie kominki. Ciotka strzeże lasów, jak oka w głowie, ale paliwa nie żałuje, więc od rana do wieczora pali się na tych kominkach; płomień huczy, strzela i daje myśl wesołą. Przez całe poobiedzie siedzieliśmy

wczoraj opodal ognia. Opowiadałem dużo o Rzymie i jego zabytkach, a sluchano mnie z takiem namaszczeniem, że ażem się sam sobie wydawał śmieszny. Ciotka, gdy opowiadam, nie spuszcza oczu z Anielki, badając, z pewną surowością nawet, czy twarz jej wyraża należyty zachwyt. Ale jest go tam aż nadto. Wczoraj powiedziała mi:

— Kto inny mógłby tam całe życie mieszkać i nie dostrzedz połowy tych piękności, które ty widzisz.

Ciotka natychmiast dodała z dogmatycznym spokojem:

— Ja zawsze to samo mówiłam.

Dobrze, że niema tu drugiego takiego sceptyka, jak ja, bo obecność jego wprawiałaby mnie w zakłopotanie.

Pewnym rozdźwiękiem między nami jest matka Anielki. Tyle w życiu przeszła, tyle się nakłopotała, że wesołość jej została raz na zawsze zwarzona. Ona się poprostu boi każdej przyszłości i bezwiednie podejrzewa, że nawet pomyślność ukrywa jakąś zasadzkę. Była z mężem ogromnie nieszczęśliwa, później przechodziła tysiące zmartwień z powodu majątku, który jest

duży, ale w złym stanie. W dodatku ciągle miewa migreny.

Anielka zdaje się należeć do kategoryi kobiet, liczniejszej u nas, niżby kto myślał, których z powodu majątku nigdy głowa nie zaboli.

Lubię ją za to, bo to dowodzi, bądź co bądź, wyższych zamiłowań. Zresztą, teraz mnie w niej wszystko zachwyca. Tkliwość wyrasta tak szybko na gruncie pociągu zmysłów, jak trawa po ciepłym deszczu. Dziś rano zobaczyłem na korytarzu pannę służącą, niosącą suknię i trzewiki Anielki — i — zwłaszcza te trzewiki — tak mnie rozczuliły, jakoby posiadanie i noszenie ich było koroną wszystkich cnót Anielki.

Wogóle my, mężczyźni, jesteśmy ogromnie słabi. Trzymam rękę na własnem tętnie i badam postęp tej uczuciowej gorączki. Puls już bardzo szybki.

Płoszów, 8 lub 9 Lutego.

Ciotka wróciła już do zwykłej wojny z panem Chwastowskim. Jestto tak oryginalne przyzwyczajenie, że doprawdy warto jeden z takich sporów opisać. Ciotce stanowczo potrzeba kłótni, li tylko dla nabrania apetytu, Chwastowski zaś, który mówiąc nawiasem, administruje wybornie

Płoszowem, jestto szlachcic z saletry i siarki, nie pozwalający sobie nikomu w kaszę dmuchać — więc kłótnie ich dochodzą do wielkiej zawziętości. Już przyszedłszy do sali jadalnej, poczynają na siebie rzucać złowrogie spojrzenia: pierwszą włócznię przy zupie ciska zwykle ciotka, zaczynając tak naprzykład rozmowę:

— Nie pamiętam odkąd, proszę pana Chwastowskiego, żebym się mogła dowiedzieć czegoś o oziminach, a pan Chwastowski, jak naumyślnie, o wszystkiem mówi, tylko nie o tem.

— Pani hrabino, z jesieni wschodziły dobrze, a teraz dwa łokcie śniegu leży — co ja mogę wiedzieć? Nie jestem Panem Bogiem.

— Niech pan Chwastowski nie wzywa imienia Pana Boga nadaremno.

— Ja Mu pod śnieg nie zaglądam, więc Go i nie obrażam.

— To może ja obrażam?

— A pewnie!

— Pan Chwastowski jest nieznośny!

— Oj, znośny, znośny, bo dużo znosi!

W ten lub podobny sposób śruba idzie do góry. Rzadki obiad, żeby sobie przynajmniej nie przymówili kilkakrotnie. Ciotka milknie w końcu i je zapalczywie, jakby chciała swój gniew spę-

dzić na potrawy. Rzeczywiście ma dobry apetyt. Ale w miarę potraw, humor jej się poprawia i stopniowo przechodzi w wyśmienity. Teraz gdy ja podaję po obiedzie ramię matce Anielki, ciotce podaje pan Chwastowski i idą na czarną kawę w najlepszej zgodzie. Ciotka wypytuje go o synów, on zaś całuje ją po rękach. Naprawdę lubią się i szanują. Synów pana Chwastowskiego widywałem, kiedy byli jeszcze w uniwersytecie. Mają to być tęgie chłopaki, ale ogromne radykały.

Anielcia przestraszała się z początku trochę tej obiadowej wojny. Wytłómaczyłem jej, co to jest i teraz, gdy się spór zaczyna, spogląda na mnie ukradkiem z pod swoich długich rzęs, uśmiecha się kącikami ust — i wygląda przytem tak, że chciałoby się ją schrustać. U żadnej w życiu kobiety nie widziałem takich poprostu alabastrowych skroni i takich żyłek na skroniach.

12 Lutego.

Istne metamorfozy Owidiusza i na świecie i we mnie. Mróz zelżał, pogoda się skończyła, ciemności panują egipskie. Nie mogę lepiej opisać tego, co się dzieje na dworze, jak gdy po-

wiem, że czas jest zgniły. Jednak to jest okropny klimat. W Rzymie, w czasie największej niepogody, jeszcze dziesięć razy na dzień pokaże się słońce; tu zaś od dwóch dni należałoby w pokojach lampy palić. Ta czarna i ciężka wilgoć przenika do myśli, maluje je na czarno i zarazem przygniata. Na mnie działa to fatalnie. Ciotka z Chwastowskim kłócili się dziś więcej, niż kiedykolwiek. Chwastowski utrzymywał, że ciotka, nie pozwalając tknąć lasów, niszczy je, bo starodrzew marnieje — ciotka zaś odpowiada, że i bez jej pomocy dosyć u nas wycinają lasów — «ja się starzeję, niech się i las starzeje!» Przypomina mi to jednego szlachcica, który, mając duży majątek w najlepszych ziemiach, nie uprawiał nigdy więcej, jak tyle, «co pies obszczeka».

Ale mniejsza z tem! Ogromną przykrość wyrządziła mi niechcący matka Anielki. Zaczęła mi dziś w oranżeryi opowiadać z pewną macierzyńską, ale nieestetyczną chełpliwością, jak o Anielkę starał się znajomy mój, Kromicki. Było mi tak, jakby mi ktoś drzazgę wyjmował zębem od widelca. Tak samo, jak owo błękitne światło rozczuliło mnie dla Anielki, choć nie było jej zasługą, tak te zaloty Kromickiego ostu-

dziły mnie dla niej, choć nie były jej winą. Tę małpę, Kromickiego, znam od lat kilku i nie lubię jej. Pochodzi on ze Szląska austryackiego, gdzie kiedyś podobno Kromiccy posiadali ogromne nadania. W Rzymie rozpowiadał, że jego rodzina nosiła jeszcze w XV wieku tytuł hrabiowski — i zapisywał się w hotelach «Graf von Kromicky». Gdyby nie czarne małe oczki, świecące, jak dwa ziarnka upalonej kawy i takaż czupryna, wyglądałby, jak człowiek wycięty ze skórki od sera po obiedzie, bo ma cerę takiego właśnie koloru. Przytem podobny jest do trupiej głowy. We mnie budził poprostu fizyczny wstręt. Fi! jak mi to popsuło Anielkę. Wiem doskonale, że ona za Kromickiego i jego zamiary nie może odpowiadać, ale jednak popsuło mi to ją bardzo.

Nie rozumiem, dlaczego matka jej opowiadała mi o tem tak obszernie, bo jeśli to miało być dla mnie ostrogą, to zupełnie chybiło celu. Ona ma swoje ogromne przymioty, ta pani P., skoro potrafiła dać sobie rady z tyloma kłopotami i jeszcze wychować tak córkę, ale jest niezręczna i nudna ze swojemi migrenami i makaronizmami.

— Ja przyznaję się — mówiła mi — że by-

łam za tem. Czasem upadam pod brzemieniem kłopotów; ja jestem kobieta, która się na interesach nie zna, a która, jeśli je trochę poznała, to kosztem sił, zdrowia i dlatego, że chodziło o dziecko. Kromicki jest bardzo obrotny. On ma ogromne interesa w Odesie i robi jakieś dostawy i jakieś spekulacye na nafcie w Baku — «que sais-je!» Ale to mu podobno przeszkadza, że nie jest tutejszy poddany. Otóż myślałem sobie, że gdyby się ożenił, toby oczyścił majątek Anielki, a zarazem postarałby się o zmianę poddaństwa z racyi objęcia tego majątku.

— A Anielka? — spytałem zniecierpliwiony.

— Anielka, widziałam, że nie ma do niego wielkiego pociągu, ale to takie dobre dziecko! Przytem w razie mojej śmierci, pozostałaby bez opieki, więc...

Nie wypytywałem dalej, bo mnie to drażniło więcej, niż umiem powiedzieć i chociaż rozumiem, że jeśli małżeństwo nie doszło do skutku, to jedynie przez Anielkę, jednak mam jakiś żal do niej, że pozwoliła patrzeć na siebie takiej obrzydliwej figurze, a zwłaszcza, że mogła się przez jedną sekundę wahać.

Dla mnie byłaby to kwestya nerwów. Zapominam tylko jednej rzeczy, że nie każdy ma

takie nerwy, jak ja i że Kromicki, mimo swej bibulastej cery i mimo podobieństwa do trupiej głowy, uchodzi między kobietami za przystojnego.

Ciekawym, co on za «afery» robi. Zapomniałem się spytać, czy jest w Warszawie, choć może być, że jest, bo on tu podobno co zima przyjeżdża. Co do tych jego interesów, powiem tylko: mogą one być świetne, wątpię jednak, czy wspierają się na trwałej i niewzruszonej podstawie. Ja nie jestem żaden spekulant i nie potrafiłbym poprowadzić żadnego giełdowego interesu, ale mam ten spryt, że wiem o tem. Jestem przytem człowiekiem, który dużo obserwuje i dość łatwo wyprowadza wnioski. Owóż nie wierzę w naszych szlachciców, mających niby genialne głowy do spekulacyi. Obawiam się, że obrotność Kromickiego nie jest zdolnością odziedziczoną lub wrodzoną, tylko newrozą, która poszła w tym kierunku. Widziałem podobne przykłady. Wyradza się czasem ni stąd, ni zowąd, szlachcic-spekulant; czasem bywa nawet, że mu z początku sprzyja ślepe szczęście i że szybko robi majątek... Ale nie widziałem ani jednego, któryby przed śmiercią nie zbankrutował.

Takie uzdolnienia albo się dziedziczy, albo się nabywa, poczynając od a, b, c. Chłopaki Chwastowskiego może sobie dadzą rady, bo ojciec stracił wypadkowo wszystko i oni zaczynają od abecadła. Ale kto z gotowym majątkiem, bez tradycyi handlowej, bez fachowej znajomości, rzuca się na to — ten musi szyję złamać. W szlachcicach jestto, powtarzam, pieniężna newroza. Spekulacya nie może polegać na złudzeniach, a ile tam w tych szlacheckich spekulacyach jest ułudy, to Bóg jeden wie.

Zresztą życzę panu «von Kromicki» szczęścia.

14 Lutego.

Pax! pax! pax! Już to przykre wrażenie minęło. Jak ona jednak wyczuwa wszystko, ta Anielka. Udawałem dobry humor, chociażem go nie miał, w postępowaniu mojem z nią był ledwie cień cienia różnicy, a jednak i pochwyciła to i odczuła. Dziś, przy przeglądaniu albumów, gdyśmy zostali sami, jak zresztą często zostajemy, bo nam umyślnie nie przeszkadzają, zaczęła czegoś mieszać się, mienić. Zrozumiałem w lot, że mi chce coś powiedzieć i waha się i boi. Przez chwilę przyszła mi do głowy szalona myśl, że ona mi zrobi wyznanie. Ale wnet

przypomniałem sobie, że mam do czynienia z Polką. Taka polska smarkata, czyli, jeśli kto woli, takie królewiątko, pierwej umrze, niż pierwsze wyzna, że kocha. Łaska, jeśli zapytana, wyjąka: «tak!» Zresztą Anielka wyprowadziła mnie z błędu, bo nagle zamknęła album i zacinając się nieco ze zmieszania, spytała:

— Co tobie jest Leonie? Bo tobie coś jest, prawda?

Począłem ją zapewniać, że mi nic nie jest i śmiać się i uspakajać, ale ona, kręcąc główką, mówiła dalej:

— Od dwóch dni widzę, że ci coś jest. Wiem, że takiego człowicka, jak ty, może byle co zrazić... i tak już rachowałam się z sumieniem, czy ja nie dałam jakiego powodu, czy czego nie powiedziałam, ale...

Tu jej troszkę głos zadrżał, spojrzała mi jednak w oczy.

— Ja ci nic nie zrobiłam złego? — prawda?

Była chwila, że miałem na języku: «Jeśli mi czego brakuje, to chyba ciebie, moja Anielko najdroższa» — ale jakiś strach, jak mówi Homer, pochwycił mnie za włosy. Nie strach przed nią, tylko przed tą klamką, która mogła za-

paść. Wziąłem jednak jej rękę, pocałowałem ją i powiedziałem, jak mogłem najweselej:

— Jesteś poczciwei kochane stworzenie, o mnie zaś nie troszcz się, bo mi nic a nic nie jest... Prócz tego, ty jesteś gościem w Płoszowie i ja to powinienem się troszczyć, żeby ci było dobrze!

Tu znowu ucałowałem jej rękę, a nawet tym razem obie. Wszystko to można było jeszcze od biedy policzyć na karb uprzejmości krewnego — i natura ludzka jest tak nędzna, że świadomość tego, ta furtka, za którą się można było w danym razie schować, dodawała mi otuchy. Nazywam to poczucie nędznem dla tego, że mi żadna inna odpowiedzialność, jak przed sobą samym, nie grozi, a siebie przecie nie oszukam. Zresztą czuję, że nie będę odpowiadał nawet przed sobą samym, bo zmysły prowadziły mnie zawsze, dokąd same chciały, a w stosunku do Anielki jestem zupełnie pod ich władzą. Czuję ustami jeszcze w tej chwili rozkoszne dotknięcia jej ręki — i to są pragnienia poprostu bez granic. Prędzej później sam zatrzasnę tę furtkę, przez którą dziś jeszcze mógłbym uciec w pole. Ale czy istotnie mógł-

bym jeszcze? Tak, gdyby mi coś z zewnątrz pomogło.

Tymczasem ona najwidoczniej kocha mnie. Wszystko mnie popycha ku niej.

Dziś postawiłem sobie w ten sposób pytanie: «Jeśli to rzecz nieunikniona, dlaczego zwlóczę?»

Znalazłem taką odpowiedź: nie chcę, by mi cośkolwiek przepadło z tych wzruszeń, z tych drgnięć, z tych wrażeń, z tego uroku, jaki mają niedomówione słowa, pytające spojrzenia, oczekiwanie. Chcę mój romans wysnuć do końca. Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie. Ale gdy człowiek jest już starszy, to mu o takie rzeczy chodzi. Nieraz także już spostrzegłem, że przy pewnem stopniu wyrafinowania nerwowego, my, mężczyźni, mamy kobiece charaktery. Ja obok tego jestem trochę epikurejczykiem w uczuciu.

Po rozmowie z Anielką, którą przytoczyłem poprzednio, wpadliśmy oboje w wyśmienite usposobienia. Wieczorem pomagałem jej wystrzygać abażury, bo przytem mogłem dotykać jej rąk i sukni. Przeszkadzałem jej umyślnie w tej robocie, ona rozbawiła się, jak dziecko i udając

dziecko, zwracała się czasem do ciotki, mówiąc tym jednostajnym a prędkim głosem, jakim skarżą się małe dziewczynki:

— Ciociu, Leon dokucza!

18 Lutego.

Licho poniosło mnie do Warszawy, na męskie zebranie do radcy S. Radca S. stara się usilnie zgromadzać u siebie przedstawicieli wszystkich obozów, aby za pomocą herbaty i tartynek ułatwić porozumienie się, choć właściwie mówiąc, sam zapewne dobrze nie wie, na czem to porozumienie ma polegać. Ja, jako człowiek mieszkający prawie stale po za krajem, przyjechałem na owo zebranie, aby poznać, co się dzieje w głowach tutejszych, i przysłuchać się, jak one rozumują. Było tłumno i wskutek tego nudno, a zarazem miało miejsce to, co się zwykle dzieje na zbyt tłumnych zebraniach. Oto ludzie jednakich sposobów myślenia zbierali się w kółka w osobnych pokojach, tam sobie świadczyli wzajemnie, oddawali słuszność i t. p.

Poznałem wielu radców tutejszych i przedstawicieli prasy. Za granicą wielka jest różnica między pisarzem a dziennikarzem. Pierwszego uważają za artystę i myśliciela, drugiego za

procederzystę (nie umiem tego inaczej nazwać). Tu różnica ta nie istnieje i ludzi z obu tych kategoryi chrzczą jednem wspólnem mianem: literat. Większość też z nich zajmuje się dziennikarstwem i literaturą. Osobiście są powszechnie porządniejszymi ludźmi od dziennikarzy zagranicznych. Nie lubię prasy i uważam ją za jedną z plag, trapiących ludzkość. Szybkość, z jaką zaznajamia ludzi z wypadkami, równoważy się pobieżnością informacyi, a nie wynagradza tego niesłychanego zbałamucenia opinii publicznej, jakie każdy, kto się nie uprzedza, musi dostrzedz. Dzięki gazetom, znikł ten zmysł, na mocy którego ludzie odróżniali prawdę od fałszu, zanikło poczucie słuszności, poczucie prawa i bezprawia, zło stało się bezczelnem, krzywda poczęła przemawiać językiem sprawiedliwości, słowem: ogólna dusza ludzka stała się niemoralna i oślepła.

Był też, między innymi, na tem zebraniu Stawowski, którego uważają za najlepszą głowę w obozie skrajnie postępowym. Mówił, jak człowiek zdolny, ale zarazem chory na dwie choroby: na wątrobę i na własne «ja». Nosi on to swoje *ja*, jak szklankę pełną wody — i ciągle zdaje się mówić: «Ostrożnie, bo się rozleje!» Ten

strach udziela się przez suggestyę otoczeniu do tego stopnia, że nikt nie śmie przy nim być innego zdania. Powaga jego polega także na tem, że wierzy w to, co mówi. Tego człowieka niesłusznie mają za sceptyka. Przeciwnie, jestto temperament, jaki musieli miewać dawniejsi fanatycy. Stawowski, gdyby się urodził sto kilkadziesiąt lat temu i zasiadał w trybunale, byłby tak samo skazywał ludzi za bluźnierstwa na wyrwanie języka przez kark, jak to czyniono wówczas. Dziś podstawiło się w ten fanatyzm co innego — dziś wypełnił się nienawiścią do tego, co byłby dawniej kochał, ale zresztą pozostał taki sam.

Co zauważyłem, że nasi konserwatyści otaczali Stawowskiego, mniejsza, że z ciekawością ale z pewną czujną kokieteryą. U nas, a może i wszędzie, partya ta mało ma odwagi. Każdy zbliżał się do Stawowskiego z oczyma słodkiemi, jak figi, i z frazesem, jakby wymalowanym na czole: «Jakkolwiek jestem, panie, konserwatystą, jednakże...» I to *jednakże* było bramą jakiejś skruchy, a zarazem i wszelkiego rodzaju ustępstw. Było to tak wyraźne, że gdy ja, który jestem sceptykiem względem wszystkich obozów, począłem się sprzeczać ze Stawowskim, nie

jako przedstawiciel czegokolwiek, ale poprostu jako człowiek, który w danym wypadku jest innego zdania, moja zuchwałość wzbudziła pewien podziw. Chodziło o klasy tak zwane wyzyskiwane. Stawowski jął się rozwodzić nad ich położeniem bez wyjścia, nad ich słabością, nad brakiem zdolności do obrony — i właśnie poczęło się koło niego tworzyć kółko coraz większe, gdy mu przerwałem:

— Proszę pana, czy pan przyjmujesz teoryę Darwina walki o byt?

Stawowski, który jest z zawodu przyrodnikiem, chętnie przyjął rozprawę na tem polu.

— Naturalnie! — rzekł.

— To pozwól pan sobie powiedzieć, że jesteś niekonsekwentny. Bo gdybym ja, jako chrześcijanin, troszczył się o słabych, bezbronnych, uciśnionych — toby było słuszne: mnie Chrystus tak kazał; ale pan ze stanowiska walki o byt, powinienbyś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych, to tych — to jest kapitalne prawo natury — więc pal ich licho! Dlaczego pan sobie tego nie mówisz, wytłómacz mi tę sprzeczność?

Czy, że Stawowski stropił się opozycyą, do której nie jest przyzwyczajony, czy istotnie

tych rzeczy nie zestawiał nigdy w myśli, dość, że na razie nie znalazł odpowiedzi, zmieszał się i nie zdobył się nawet na wyraz: altruizm, który zresztą jest dosyć czczym wyrazem.

Na ten widok poczęła się tłumna emigracya naszych konserwatystów na moją stronę i byłbym mógł z łatwością zostać bohaterem wieczoru, gdyby nie to, że było późno, żem się znudził i że chciałem wrócić na noc do Płoszowa. Powoli też zabierali się i wszyscy.

Miałem już futro na sobie i szukałem, trochę zniecierpliwiony, między futrem a surdutem binokli, które mi się gdzieś zadziały, gdy Stawowski, znalazłszy widocznie odpowiedź, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Pan mnie pytałeś, dlaczego ja...

Alem mu przerwał, bom szukał ciągle binokli i zły byłem, nie mogąc ich znaleźć.

— Panie — rzekłem — szczerze mówiąc, kwestya jest dla mnie obojętna. Widzisz pan, że już późno, wszyscy wychodzą, a że przytem odgaduję mniej więcej, co pan mi możesz powiedzieć, zatem pozwól pan sobie życzyć dobrej nocy.

Zdaje mi się, że zrobiłem sobie w nim śmiertelnego wroga, zwłaszcza tą ostatnią odpowiedzią.

Była godzina pierwsza po północy, gdym przyjechał do Płoszowa, ale tu miałem najmilszą niespodziankę. Anielka czekała mnie z herbatą. Zastałem ją w sali jadalnej, ubraną zupełnie, tylko włosy jej były tak zaczesane, jak na noc. Z tej radości, jaką uczułem na jej widok, wnoszę, jak głęboko zakradła mi się do serca. Co to za kochane stworzenie i jaka była śliczna z tymi włosami, splecionymi nisko na szyi. I powiedzieć, że słowo z mojej strony, a za miesiąc, lub dwa, będę miał prawo porozpinać te warkocze i rozpuścić je na ramiona. Nie mogę myśleć o tem spokojnie. Aż się nie chce wierzyć, żeby szczęście było takie łatwe.

Począłem na nią zrzędzić, że jeszcze nie śpi, ale ona odpowiedziała mi:

— Nic mi się spać nie chciało, więc uprosiłam mamy i cioci, że mi pozwoliły czekać na ciebie. Mama sprzeciwiała się trochę, że to nie wypada, ale wytłómaczyłam, że myśmy przecie krewni — i wiesz kto stanął po mojej stronie? — ciotka.

— Poczciwa ciotka! Napijesz się ze mną herbaty?

— Dobrze.

I zaczęła się krzątać przy nalewaniu filiża-

nek. Widziałem jej szybkie i zgrabne ręce, które miałem ochotę całować. Od czasu do czasu podnosiła na mnie oczy, ale spotykając się z moim wzrokiem, spuszczała zaraz powieki. Poczęła mnie wreszcie wypytywać, jak spędziłem wieczór i jakie wyniosłem z niego wrażenie? Oboje mówiliśmy przyciszonym głosem, chociaż sypialne pokoje starszych pań były daleko i nie mogliśmy ich pobudzić. Była między nami jakaś serdeczność i poufałość, istotnie, jak między krewnymi, którzy się lubią bardzo.

Opowiadałem jej, com widział i com zauważył, tak, jak się opowiada przyjacielowi. Potem mówiłem o wrażeniu wogóle, jakie towarzystwo tutejsze robi na człowieku, który przyjeżdża z dalekich stron. Słuchała mnie cicha, otwierając szeroko oczy, szczęśliwa, że ją tak wtajemniczam w moje myśli.

Potem powiedziała:

— Czemu ty, Leonie, tego nie napiszesz? Że mnie podobne rzeczy nie przychodzą do głowy, to nic dziwnego, ale tu one nikomu nie przychodzą.

— Czemu nie piszę? — odrzekłem — z wielu, z wielu powodów, o których później ci kiedyś powiem — ale między innemi: oto może i dla-

tego, że nie mam przy sobie nikogo, ktoby mnie częściej tak, jak ty pytał: «Czemu ty nic nie robisz, Leonie?»

Umilkliśmy oboje. Rzęsy Anielki może nigdy jeszcze tak nizko nie opuściły się na policzki — i niemal słyszałem, niemal widziałem, jak jej serce biło pod suknią. Bo rzeczywiście mogła się spodziewać, że teraz skończę, że powiem: «Czy chcesz zostać zawsze ze mną i pytać podobnie?» Ale ja zbyt rozkoszowałem się temi pochyłościami, tem zawieszeniem wszystkiego, jakoby na nici — tem sercem, które jakby na dłoni mojej biło — więc nie chciałem jej kończyć.

— Dobranoc — rzekłem po chwili.

I to, rzeczywiście anielskie stworzenie, ani mi okazało, że je w tej chwili spotyka jakiś zawód. Wstała i z trochą smutku w głosie, ale bez cienia niecierpliwości, odpowiedziała:

— Dobranoc!

I uścisnąwszy sobie ręce, poszliśmy każde w swoją stronę. Lecz biorąc już za klamkę, zatrzymałem się nagle.

— Anielciu!

Zeszliśmy się znowu przy stole.

— Powiedz mi, ale tak szczerze, czy ty cza-

sem nie zarzucasz mi w duszy, że jestem fantasta, że jestem dziwaczny człowiek?

— Nie! dziwaczny? — nie! Czasem myślę, że jesteś dziwny człowiek, ale zaraz sobie powiadam, że tacy, jak ty, ludzie, muszą być dziwni.

— Jeszcze jedno pytanie: kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że ja jestem dziwny człowiek?

Anielka zarumieniła się nagle. Śliczna była, gdy ten płomień tak jej zabierał policzki, czoło, szyję; po chwili odrzekła:

— Nie... to tak trudno... Tego nie potrafię powiedzieć...

— To przynajmniej, jeśli ja odgadnę, powiedz mi: «tak!» a ja ci powiem tylko jedno słowo.

— Jakie? — spytała z widocznym niepokojem.

— Karnet. Tak, czy nie?

— Tak — odrzekła Anielka, spuszczając główkę.

— Więc ci powiem, dlaczegom tam napisał to, com napisał: oto dlatego, żeby coś było między nami, żebyśmy mieli odrazu jakąś wspólną naszą tajemnicę, a powtóre...

Tu pokazałem jej bukiet, który ogrodnik przyniósł z rana z cieplarni.

— A powtóre: widzisz, rozmaite kwiaty lepiej rozwijają się w jasności, więc chciałem jeszcze, żeby między nami było jasno.

— Ja cię czasem mogę nie zrozumieć — odpowiedziała po chwili milczenia Anielka — ale tak wierzę w ciebie!... tak wierzę!...

I znów umilkliśmy oboje. Nakoniec podałem jej rękę na pożegnanie.

Przy drzwiach zatrzymaliśmy się jeszcze, odwróciliśmy się w tej samej chwili i spojrzeli na siebie. Ach! jak to źródło wzbiera i wzbiera. Lada chwila rozleje się przez brzegi.

23 Lutego.

Człowiek jest, jak morze: ma swoje przypływy i odpływy. Dziś jest dla mnie dzień odpływu woli, energii, chęci do jakiegokolwiek czynu, ochoty do życia. Przyszło to bez jakiegokolwiek powodu — ot, tak sobie! — rzecz nerwów! Ale właśnie dlatego pełen jestem gorzkich rozmyślań. Czy taki człowiek, fizycznie zmęczony, duchowo stary, ma prawo się żenić? Mimowoli przychodzą mi na myśl słowa Hamleta: «Po co masz płodzić grzeszników — idź do

klasztoru!« Ja wprawdzie do klasztoru nie pójdę; potomstwo moje, moi przyszli «grzesznicy», będą podobni do mnie, to jest nerwowi, przeczuleni, do niczego nie zdolni — słowem: geniusze bez teki — ale pal ich licho! W tej chwili mi o nich nie idzie, tylko o Anielkę. Czy ja mam prawo się z nią żenić? czy mi wolno wiązać to życie młode, świeże, pełne wiary w świat i pana Boga, z mojemi zwątpieniami, z moją duchową niemocą, z moim beznadziejnym sceptycyzmem, z moją krytyką, z mojemi nerwami? Co z tego będzie? Ja przecie nie zakwitnę drugą młodością duchową przy niej, nie odnajdę się; mózg mój nie zmieni się, nerwy nie okrzepną — więc co? więc ona ma zeschnąć przy mnie? Zali nie będzie to coś potwornego? Mogęż odgrywać rolę tego polipa, który wysysa ofiarę dla odżywienia się jej krwią?

Mam poprostu chmurę na mózgu. Bo z drugiej strony, jeśli tak jest, to dlaczego dałem się popchnąć aż do tej granicy, na której obecnie stoję? Cóżem robił od chwili poznania Anielki? Oto kładłem ręce na struny tej duszy i dawałem sobie poprostu koncerta. A przecież to, co dla mnie jest sonatą «Quasi una fantasia», to dla niej może być sonatą «Quasi un dolore».

Tak jest! wygrywam na niej od rana do wieczora — i co więcej! — mimo tych wyrzutów, które sobie w tej chwili czynię, wiem, że się od tego wstrzymać nie potrafię, że będę tak samo grał jutro i pojutrze, jak grałem wczoraj i onegdaj, bo mnie to ciągnie nieprzeparcie, bo nic mnie więcej nie ciągnie w świecie, bo ja tej dziewczyny pragnę, jako kobiety, bo ją kocham. Na co się oszukiwać? — kocham!

A zatem, co robić: cofnąć się, uciec do Rzymu? — to znaczy uczynić jej zawód i unieszczęśliwić ją. Kto wie, jak głęboko zaszło w uczucie to serce. Ożenić się z nią, to znaczy poświęcić ją dla siebie i unieszczęśliwić w inny sposób. Oto koło błędne. Tylko ludzie z gatunku Płoszowskich mogą wpaść w podobne. I dyablo mała mi teraz pociecha, że takich Płoszowskich więcej jest u nas, że imię moje jest legion. Jak dalece jednak ten gatunek skazany jest na zatracenie, jak nam się, po za całą naszą nieudolnością życiową, jeszcze nie wiedzie wszystko w życiu! Toż ja taką Anielkę mogłem spotkać dziesięć lat temu, gdy jeszcze moje żagle nie były tak podobne do dziurawych worków, jak dziś.

Żeby ta poczciwa, zacna ciotka Płoszowska

wiedziała, jaką ona niechcący i w najlepszej myśli wyrządziła mi krzywdę, toby się zmartwiła. Mało miałem tej tragedyi, płynącej z poczucia mojej nicości, z tego mroku, w którym brodzę — mam teraz nowe: być albo nie być — gdzie tam! — gorzej, niż to!

26 Lutego.

Wczoraj jeździłem znów do Warszawy, gdziem miał się spotkać z p. Juliuszem Kw., na którego majątku jest umieszczona część kapitałów, jakie mi przypadają po matce. Pan Juliusz Kw. zaciągnął pożyczkę Towarzystwa kredytowego i chcę tę sumę spłacić.

Ale niech dyabli porwą sposób, w jaki ludzie załatwiają sprawy w tym kraju. Kw. sam mnie wezwał, sam wyznaczył termin — i — czekałem go napróżno cały dzień. Wezwie jeszcze pięć razy, i jeszcze pięć razy się nie stawi. Kw. jest człowiek zamożny, sam się chce pozbyć tej sumy — i jest w stanie spłacić ją na każde zawołanie. Ale — to są u nas terminy.

Z moich własnych spostrzeżeń dawno doszedłem do wniosku, że jesteśmy jednem z najbardziej w stosunkach pieniężnych lekkomyślnych i nie szanujących terminu społeczeństw. Ja,

który lubię dociekać wszelkich przyczyn, zastanawiałem się nieraz nad tym objawem — i oto, co sądzę. Podług mnie, pochodzi on stanowczo z wyłącznie rolniczego zajęcia narodu. Handlem zajmowali się u nas żydzi i ci nie mogli nas nauczyć ścisłości — rolnik zaś często musi być nierzetelnym, bo ziemia jest niesłychanie nierzetelna; musi być bezterminowym, bo ziemia jest bezterminowa. Ten jej charakter udziela się i tym, którzy w niej grzebią — wchodzi następnie w skład moralnej istoty całego społeczeństwa i powoli staje się wadą dziedziczną. Wprawdzie zrozumienie tej rzeczy nie poprawia mi humoru, bom się musiał na cały dzień oderwać od Anielki i co więcej, grozi mi jeszcze to samo za parę dni — ale na to niema rady.

W mieszkaniu ciotki zastałem bilety Kromickiego, jeden dla mnie, dwa dla starszych pań. Obawiałem się, żeby mu nie przyszło do głowy powtórzyć odwiedzin w Płoszowie, więc, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem rzucić mu kartę. Na nieszczęście, był w domu i musiałem przesiedzieć u niego z pół godziny.

Zaczął od tego, że się obiecał do Płoszowa, na co odpowiedziałem, że jesteśmy tam tylko dla odpoczynku i że lada dzień jedziemy do

Warszawy. Dopytywał się o matkę Anielki — i z wszelką ostrożnością, o Anielkę. Widocznie chciał mi dać do zrozumienia, że pyta zupełnie bezinteresownie, tylko jako znajomy. Jestem tak wrażliwy, że mnie i to ukłóło, ale bo też co za wstrętna dla mnie bestya! Widocznie Tatarzy Batuchana, po zwycięstwie pod Lignicą, musieli i na dzisiejszym austryackim Śląsku dużo dokazywać, bo, że te oczki Kromickiego, podobne do ziarnek kawy, są nie śląskiego pochodzenia, to niema wątpliwości.

Był dla mnie niezmiernie uprzejmy, ponieważ jestem człowiekiem zamożnym. Wprawdzie on niczego odemnie nie potrzebuje, ja mu nic nie dam i nic mu nigdy z mojej zamożności nie przyjdzie, ale on przejął się już tą czcią dla bogactwa, jaką odznaczają się finansiści. Mówiliśmy z początku o kłopotach, jakie miała, a raczej, jakie ma dotąd matka Anielki. Według Kromickiego dałoby się dużo uratować, gdyby pani P. zgodziła się sprzedać majątek. Kromicki patrzy na ten upór, jak na czysty romantyzm — bo, żeby tego można uniknąć, toby jeszcze rozumiał, ale jeśli rzeczy pójdą, jak idą, to się musi na tem skończyć, chyba, że jaka

«forsa» przyjdzie — «jeżeli *forsa* przyjdzie, to co innego».

Jestto człowiek gadatliwy, więc rozgadał się ogromnie o naszem niedołęstwie. Zdaniem jego, pieniądze leżą u nas na bruku, dość się schylić. On jest najlepszym przykładem. Jego ojciec był, jak wszyscy wielcy panowie: miał tyle długów, że pozostało maximum sto tysięcy guldenów — a dziś co?

— Dziś, jeśli mi się jeden interes w Turkiestanie uda, no to mogę się zaraz potem zlikwidować. Żydzi i Grecy porobili miliony na dostawach, pytam się, dlaczego mybyśmy nie mieli robić? Nie podaję się za wzór, ale pytam się! Tam dla wszystkich dość miejsca — i dlatego się pytam!

Podług mnie, jestto człowiek, mający pewien spryt do interesów, ale ogólnie biorąc, głupi. Że jesteśmy niezaradni — stara historya; że pojedynczy jakiś człowiek może zrobić miliony na dostawach, wierzę, ale całe społeczeństwo musi pracować w domu, nie zaś szukać milionów z dostaw do Turkiestanu.

Bóg strzegł Anielkę, że nie związała życia z tym człowiekiem. Może on mieć swoje przymioty, jestto jednak zgoła inny moralny typ.

Ale jeśli ona istotnie może gorzej trafić, jak na mnie, to czy powinienem się wahać?

28 Lutego.

Starsze panie zaczynają się nieco niepokoić, że sprawa nie idzie tak prędko, jakby chciały; szczególniej zżyma się zapewne w duszy ciotka, która z natury jest niecierpliwa. Łagodzi jednak wszystko i dodaje starym paniom otuchy spokój i szczęście, malujące się na twarzy Anielki. Ta wierzy mi, jak tylko wierzyć można i spogląda na mnie oczyma, w którym czytam ufność bez granic. Napełniła moją myśl tak, że jej od niej od rana do wieczora oderwać nie mogę. Pragnę jej coraz więcej. Nie chcę już koncertów — chcę jej.

4 Marca.

Dzień dzisiejszy tak zakończył się dla mnie, że muszę zbierać cały spokój i zimną krew, żeby przy opisywaniu trzymać się kolejnego porządku — nie zaś poczynać od zakończenia. Jednak nie mogę wytrzymać. Oto kości są rzucone, lub tak, jak rzucone. Nie umiałbym nic napisać, gdybym przedewszystkiem tego nie napisał.

A teraz mogę zacząć. Przyjechali koło południa na wczesny obiad Śniatyńscy. Dziś w teatrze jego nowa sztuka, więc musieli wracać na wieczór do miasta. Jakkolwiek dobrze nam jest w pustelni płoszowskiej, jednak przyjazd ich ucieszył nas. Anielka ma dla niej wiele szczerej przyjaźni — przypuszczam także, że czuła potrzebę wyspowiadania się przed kimś ze wszystkiego, co jej się w piersiach zebrało. Pani Śniatyńska domyślała się od początku, jak rzeczy stoją i podsadzała nawet, jak mogła, swoje ramionka pod ten wóz, żeby jak najprędzej z miejsca ruszył. Zaledwie przyjechali i zaledwie zaczęła się gawęda o naszem ustroniu wiejskiem, powiedziała zaraz do ciotki:

— Ach! jak tu miło i zacisznie! Rozumiem, że i tej młodej parze dobrze tu ze sobą i że nie tęskni do Warszawy.

I ja i Anielcia zrozumieliśmy doskonale, że pani Śniatyńska, nazywając nas młodą parą, nie wiek nasz ma na względzie. Zresztą powtórzyła z dziesięć razy umyślnie w czasie obiadu: to «młoda para», to «państwo młodzi» — niby przeciwstawiając nas starszym paniom.

Tyle było jednak sympatyi dla nas w spojrzeniach pani Śniatyńskiej, tyle czysto kobiece-

go nastawiania uszków na wszystko, co do siebie mówimy i tak było kobietce z tem ładnie, że chętnie przebaczam jej owo poczciwe wścibstwo. Doszedłem do tego, że mnie to umyślne łączenie naszych imion raczej gładzi po sercu, niż drażni.

Anielka zdawała się także słuchać tego z przyjemnością. W jej uprzejmości dla Śniatyńskich, w tem zajmowaniu się niemi podczas obiadu, było coś takiego, że robiła istotnie wrażenie młodej gospodyni, przyjmującej po raz pierwszy miłych gości we własnym domu. W ciotce serce rosło na ten widok — i przez cały obiad prawiła grzeczności Śniatyńskim. Dostrzegłem przytem niesłychaną rzecz, której bym stanowczo nie wierzył, gdybym własnemi oczyma na to nie patrzył: oto pani Śniatyńskiej czerwienią się uszy, gdy ktoś wychwala jej męża. Czerwienić się z powodu męża po ośmiu latach pożycia... nie!... czy ja nie popisałem wypadkiem kapitalnych głupstw, pisząc poprzednio o Polkach?

Obiad zeszedł nam wybornie. Taka jedna para może narobić małżeństw, jak maku, każdy bowiem, patrząc na nich, musi sobie powiedzieć: «E! jeśli to tak, to się żenię!» Ja przy-

najmniej pierwszy raz widziałem małżeństwo nie w szarym mroku prozy życia, spowszednienia, ukrywania mniej więcej obojętności, ale w takiem wesołem świetle.

Anielka widocznie również widziała naszą przyszłość przez to światło; poznałem, że tak jest z jej rozjaśnionej twarzy.

Po obiedzie zostaliśmy ze Śniatyńskim w jadalnym pokoju, wiedziałem bowiem, że on rad wypija jeden i drugi kieliszek koniaku po kawie; starsze panie poszły do bocznego salonu, Anielka z panią Śniatyńską pobiegły na górę po jakieś albumy z widokami Wołynia, ja zaś począłem wypytywać Śniatyńskiego o jego sztukę, o którą był niespokojny. Rozmowa przeszła następnie na nasze dawne czasy, kiedyśmy to obaj próbowali wzlatywać na nieopierzonych jeszcze skrzydłach. Śniatyński opowiadał mi, jak stopniowo przychodziło mu uznanie, jak nieraz wątpił o sobie, i jak jeszcze często wątpi, mimo, iż się do pewnego stopnia wybił.

— Powiedz mi — spytałem — co ty robisz ze swoją sławą?

— Jakto, co robię ze sławą?

— No, czy ją nosisz, jak mitrę na głowie, czy jak złote runo na szyi, czy to stoi na two-

jem biurku, czy wisi w salonie? Pytam, jak człowiek, który nie ma pojęcia, co to jest i co się z tem robi, gdy się to ma?

— Przypuśćmy, że to mam, więc ci odpowiem tak: trzeba być dyablo źle urodzonym duchowo, żeby tak zwaną sławę nosić na głowie, na szyi, stawiać na biurku, albo wieszać w salonie. Przyznaję, że to łechce z początku miłość własną, ale tylko parweniuszowi duchowemu może takie łechtanie wypełnić życie i zastąpić wszystkie pozostałe gatunki szczęścia. Inna rzecz przeświadczenie, że to, co robię, znajduje uznanie i budzi echo — z tego publiczny człowiek może być zadowolony. Ale żeby mnie, prywatnego, miało uszczęśliwiać to, że mi ktoś w salonie powie z mniej więcej głupią miną: «Tyle przyjemnych chwil panu zawdzięczamy», albo, że gdy zjem coś niestrawnego, to jakiś dziennik zaraz napisze: «Dzielimy się z czytelnikami smutną wiadomością, że naszego znakomitego X. X. brzuch boli» — żeby mnie to miało uszczęśliwiać? — fi! za kogo mnie masz?

— Słuchaj — rzekłem — ja także nie jestem próżny, ale człowiek chce od ludzi jakie-

goś uznania. Jestto namiętność wrodzona. Dalibóg, nie jestem próżny, a jednak powiem ci szczerze: gdy ludzie widzą we mnie jakieś zdolności, gdy mówią o nich, gdy ich żałują, to chociaż wówczas moja nicość staje mi wyraźniej, niż kiedykolwiek, przed oczyma — jednak to mnie cokolwiek łechce, jednak mi to sprawia jakąś — może gorzką przyjemność — ale przyjemność.

— Bo się żałujesz, w czem zresztą masz racyę. Nie odwracaj kwestyi. Ja wcale nie dowodzę, żeby to mogło komuś sprawić przyjemność, gdy go nazwą osłem.

— Ale ten szacunek, który idzie za sławą?

Śniatyński, który jest bardzo żywy i który w czasie rozmowy ma zwyczaj latać po pokoju, przysiadać na wszystkich stołkach, stołach, przysiadł tym razem na oknie i odpowiedział:

— Szacunek? Mylisz się mój kochany. My jesteśmy dziwnem społeczeństwem. U nas panuje czysto republikańska zazdrość. Ja piszę komedye, pracuję dla teatru — dobrze! zyskałem pewien rozgłos — jeszcze lepiej; otóż tych komedyi będzie mi u nas zazdrościł — myślisz, że tylko drugi komedyopisarz? — nieprawda. Będzie mi ich zazdrościł inżynier, urzędnik ban-

kowy, pedagog, lekarz, agent kolejowy, słowem, ludzie, którzyby i tak nigdy nie pisali komedyi. Ci wszyscy, w stosunkach z tobą, będą ci okazywali, że mało sobie z ciebie robią, w rozmowach po za twojemi oczami będą cię lekceważyli, będą cię umyślnie umniejszali, żeby się przez to samo mogli więksi wydać. Jeśli kto kazał sobie u tego samego krawca surdut zrobić, to przy pierwszej sposobności ruszy ramionami i powie: «Śniatyński? wielka rzecz! ubiera się u Pacykiewicza, tak, jak i ja!» Oto, jak u nas jest — oto, co prowadzi za sobą twoja sława!

— Musi jednak ona być coś warta, skoro sobie ludzie dla niej i przez nią karki kręcą.

Śniatyński zamyślił się nieco i odpowiedział z powagą:

— W prywatnem życiu sława jest o tyle coś warta, że można z niej zrobić podnóżek dla kochanej kobiety.

— Nową sławę zdobędziesz sobie tem określeniem.

Śniatyński przyleciał do mnie z wielkim impetem:

— A tak! tak! Pakuj laury w pokrowiec,

ruszaj z nimi do kochanego stworzenia i powiedz mu: *To, przez co ludzie karki kręcą, to, co mają za szczęście, cenią na równi z bogactwem, to ja mam, tom zdobył, a teraz stawiaj mi zaraz na tem łapy!“* Jeśli to zrobisz, wówczas będziesz kochany całe życie — rozumiesz. Chciałeś wiedzieć, co jest sława warta — więc masz!

Dalszą rozprawę przerwało Śniatyńskiemu wejście żony i Anielki. Wybierały się do cieplarni.

Jednakże w tej pani Śniatyńskiej siedzi jakiś dyabełek! Przyszła niby pytać męża o pozwolenie, a gdy ów, zastrzegłszy sobie, żeby się odpowiednio ubrała, pozwolił, ona zwróciła się ku mnie i z prawdziwie kocią miną spytała:

— A pan Anielci pozwoli?

Że Anielka zaczerwieniła się po uszy, to naturalne, ale że ja, stary wyga, ostrzony, jak brzytwa, na najrozmaitszych towarzyskich paskach, zmieszałem się także w pierwszej chwili, tego sobie nie mogę darować. Nadrabiając jednak odwagą, podszedłem do Anielki, podniosłem do ust jej rękę i powiedziałem:

— Anielka tu w Płoszowie rozkazuje, a ja pierwszy gotów jestem słuchać jej rozkazów.

Miałem ochotę, byśmy ze Śniatyńskim po-

szli zaraz z niemi do oranżeryi, ale powstrzymałem się. Czułem potrzebę mówienia o Anielce, o mojem przyszłem małżeństwie, widziałem zaś, że Śniatyński w końcu dojdzie do tego przedmiotu. Ułatwiłem mu to nawet, spytawszy zaraz po odejściu naszych pań:

— Więc wierzysz zawsze niewzruszenie w swoje życiowe dogmaty?

— Więcej niż kiedykolwiek, a raczej zawsze jednakowo. Niema na świecie bardziej zużytego wyrazu, jak miłość, dlatego aż przykro go powtarzać, ale tobie, we cztery oczy, powiem: miłość w znaczeniu ogólnem, miłość w znaczeniu szczegółowem — i wobec tego precz z krytyką! Tak! to są życiowe kanony. Moja filozofia polega na tem, żeby nad nimi nie filozofować — i niech mnie licho porwie, jeśli się z tego powodu uważam za głupszego od innych. Z tem, życie jest coś warte; bez tego, nie warte torby sieczki.

— Mówmy o tej szczegółowej miłości, albo lepiej zastąpmy ten wyraz wyrazem: kobieta.

— Dobrze, zastąpmy. Dobrze: kobieta!

— Mój kochany, czy nie widzisz, na jak niesłychanie kruchej podstawie opierasz osobiste szczęście?

— Na tak kruchej, jak jest życie — nic więcej.

Ale ja nie miałem na myśli tych rozłączeń, tych przepaści, które może powodować śmierć — i powiedziałem Śniatyńskiemu:

— Zlituj się, nie uogólniaj twego osobistego szczęścia. Tyś dobrze trafił, ale można i źle trafić.

Lecz Śniatyński nie chciał o tem słyszeć. Według niego, na sto razy, dziewięćdziesiąt razy trafia się dobrze. Kobiety, jego zdaniem, są lepsze, czystsze, szlachetniejsze od nas.

— My jesteśmy gałgany w porównaniu! — krzyczał, machając rękoma i swoją płową czupryną. — Nic, tylko gałgany! Ja ci to mówię, który obserwuję życie i umiem obserwować, choćby dlatego, że jestem komedyopisarzem.

Tu siadł na krzesło, jak na konia i atakując mnie poręczą, mówił dalej z niemniejszym rozmachem:

— Są, jak mówi Dumas, małpy z krainy Nod, na które niema hamulca, ale ty masz od tego oczy, żebyś małpy z krainy Nod nie brał; wogóle zaś kobieta nie zawiedzie męża, nie zdradzi, chyba, że sam w niej serce zepsuje, albo je podepcze, albo zrazi i odepchnie swoją mało-

ścią, swoim egoizmem, swoją ciasnotą, swoją lichą i nędzną naturą. Kochaj przytem! Niech ona czuje się nietylko twoją samicą, ale twoją najdroższą głową, twojem dzieckiem, przyjacielem; noś ją w zanadrzu, niech jej będzie ciepło, a wówczas bądź spokojny, a wówczas co rok będzie mocniej przytulać się do ciebie, aż się zrośniecie, jak bliźnięta siamscy. Nie dasz jej tego, zepsujesz ją, zrazisz swoją lichotą — to odejdzie! Odejdzie, jak tylko jakieś szlachetniejsze ręce wyciągną się ku niej, bo musi odejść, bo ona tego ciepła, tego uznania potrzebuje, jak powietrza do oddechu.

I tak naciskał mnie poręczą, że musiałem się cofać; w ten sposób przysunęliśmy się do okna. Tam zerwał się i mówił dalej:

— Jacy wy jesteście tępi! Wobec takiej posuchy społecznej, wobec takiego braku ogólnego szczęścia, jakiem odznacza się nasz wiek, wobec braku podstaw, nadziei, żeby sobie przynajmniej tego szczęścia, tej podstawy, nie stworzyć! Marznąć na forum i w domu sobie jeszcze ognia nie napalić! Głupota dalej nie idzie! A ja tobie do oczu powiadam: żeń się!...

Tu ukazał mi przez okno Anielkę, wracającą z jego żoną z oranżeryi.

— Ot, gdzie twoje szczęście! Ot, tam ono drepce w berlaczach po śniegu! Powtarzam ci: żeń się! Na wagę złota ją bierz! co to na wagę złota! — na karaty — rozumiesz! Ty nie masz poprostu stałego miejsca zamieszkania, nietylko pod względem fizycznym, ale umysłowym i moralnym; nie masz podstaw, nie masz spokoju, ona ci to wszystko da. Tylko jej nie przefilozofuj, jakeś przefilozofował swoje zdolności i swoje trzydzieści pięć lat życia!

Nie mógł mi nic lepszego, zacniejszego i bardziej zgodnego z memi pragnieniami powiedzieć, więc uścisnąłem mu rękę i odrzekłem:

— Nie, jej nie przefilozofuję, bo ją kocham.

I uściskaliśmy się po przyjacielsku.

Tymczasem nadeszły młode panie. Śniatyńska, spostrzegłszy nasz uścisk, rzekła:

— Wychodząc, słyszałyśmy jakieś spory, ale widzę, że się skończyły zgodnie. Wolno wiedzieć, o czem była mowa?

— O kobietach, pani — odrzekłem.

— I co wynikło?

— Jak pani widzi: uścisk, a dalsze wyniki przyjdą niebawem.

Lecz przedtem jeszcze przyszły ich sanki. Przy krótkim dniu miało się pod wieczór i mu-

sieli wracać, ale że pogoda była piękna i cicha, a śnieg w alei ubity, jak posadzka, postanowiliśmy z Anielką odprowadzić ich aż do kołowrotu przy gościńcu.

I tak się stało. Pożegnawszy tę miłą parę, wracaliśmy do domu. Mroczyło się już, ale mieliśmy światło zorzy wieczornej w oczy, więc twarz Anielki widziałem doskonale. Była jakaś wzruszona. Domyślałem się, że musiały mówić bardzo otwarcie z panią Śniatyńską; może też spodziewała się, że teraz właśnie wypowiem to oczekiwane słowo? Już i mnie ono paliło wargi, ale o dziwo, ja, który sądziłem, że w sprawach uczuciowych władnę sobą, jak mało kto, ja, który się mam za artystę koncertowego, ja, który w czasie «godzin sali», jeśli z niedostateczną zręcznością, to przynajmniej z zupełnie zimną krwią, parowałem najbardziej mistrzowskie pchnięcia — byłem teraz tak wzruszony, jak student. Co za różnica uczucia! Miałem obawę, że nie posklejam wyrazów — i milczałem.

W tem milczeniu szliśmy ku gankowi. Podałem jej rękę, bo śnieg był wyślizgany płozami sanek — i gdy się wsparła na mojem ramieniu, odczułem raz jeszcze, jaka to jest dla mnie upragniona kobieta. Po chwili uczucie to poczęło mnie

przejmować dreszczem i przebiegać po wszystkich nerwach nakształt iskier.

Weszliśmy do przedsionka.

Nie było tam nikogo, nie było nawet jeszcze światła, tylko przez otwory drzwiczek od pieców przebłyskiwał plomień palącego się ognia. W mroku i w ciągłem milczeniu począłem zdejmować futrzany płaszczyk z Anielki i gdy nagle z pod tego płaszczyka wionęło na mnie jej ciepło, objąłem ją ramionami i przygarnąwszy do siebie, dotknąłem ustami jej czoła.

Stało się to, z mojej strony, niemal bez zeznania, co robię. Anielka musiała poprostu zdrętwieć, bo nie stawiła najmniejszego oporu. Wysunęła się jednak z moich ramion prawie natychmiast, gdyż w drugiej sieni dały się słyszeć kroki służącego, który niósł światło. Ona uciekła do siebie na górę, ja zaś cały wzburzony wszedłem do sali jadalnej.

Każdemu mężczyźnie, obdarzonemu pewną przedsiębiorczością, trafiają się podobne chwile w życiu, więc trafiały się już i mnie — ale zwykle bywałem dość spokojny i zachowywałem zupełną świadomość siebie. Obecnie wrażenia i myśli przelatywały mi przez głowę, jakby je wiatr przeganiał. Szczęściem, jadalna sala

była pusta; ciotka i matka Anielki siedziały dalej, w mniejszym saloniku.

Wszedłem tam, ale myśl moja była tak dalece gdzieindziej, żem ledwie rozumiał, co do mnie te panie mówiły. Ogarnął mnie niepokój. Wyobrażałem sobie, że Anielka jest teraz w swoim pokoju i że ściska sobie skronie rękoma; starałem się wyczuć i zrozumieć, co mogło dziać się w tej chwili w jej sercu i w głowie.

Tymczasem Anielka wkrótce nadeszła. Odetchnąłem, gdyż nie wiem, dlaczego zdawało mi się, że się tego wieczora nie pokaże. Miała silne wypieki i oczy błyszczące, jakby ze snu. Widocznie starała się ochłodzić pudrem swoją rozpaloną twarz, bo ślady jego osiadły gęściej przy lewej skroni. Widok jej poruszył mnie. Poczułem, że bardzo ją kocham.

Zająwszy się jakąś robotą, siedziała ze spuszczoną głową, spostrzegłem jednak, że oddycha szybko, a raz i drugi chwyciłem jej przelotne, pytające i pełne niepokoju spojrzenie.

Więc chcąc rozproszyć ten niepokój, wtrąciłem się do rozmowy starszych pań, które mówiły o Śniatyńskich i rzekłem:

— Śniatyński zarzucał mi dziś, że ze mnie

czysty Hamlet, bo zbyt filozofuję, ale ja mu dowiodę, że tak nie jest — i to nie dalej, jak jutro.

Owo «jutro» wymówiłem z przyciskiem i uważałem, że Anielka doskonale zrozumiała, bo spojrzała na mnie przeciągle, ciotka jednak, nie domyślając się wcale, o co idzie, spytała:

— To zobaczycie się jutro?

— Trzeba nam być na jego sztuce; jeśli Anielka się zgodzi, to może się jutro wybierzemy?

Kochana dziewczyna podniosła na mnie oczy zmieszane, ale pełne ufności i odrzekła z nieopisaną słodyczą:

— Ja się na wszystko z radością zgodzę!

Była chwila, żem chciał skończyć odrazu — i może powinienem był skończyć, ale że to «jutro» było już powiedziane — więc się wstrzymałem.

Mam uczucie człowieka, który przyciska sobie palcami oczy, uszy i nozdrza, aby dać nurka w głębinę.

Ale też istotnie myślę, że prawdziwą perłę znajdę na dnie tej głębiny.

6 Marca. Rzym. Casa Osoria.

Od wczoraj jestem w Rzymie. Ojciec nie jest

tak chory, jak się obawiałem. Lewa ręka i lewa strona ciała są nawpół sparaliżowane, ale lekarze uspokajają mnie, że serce nie jest zagrożone paraliżem i że można żyć lata całe w takim stanie.

7 Marca.

Więc Anielka pozostała w niepewności, oczekiwaniu, rozterce. Ale nie mogłem inaczej postąpić. Nazajutrz po bytności Śniatyńskich w Płoszowie, zatem tegoż samego dnia, w którym postanowiłem oświadczyć się Anielce i jej matce, odebrałem list z Rzymu od ojca, donoszący mi o jego chorobie: «Spiesz się, kochany chłopcze — pisał ojciec — bo chciałbym cię jeszcze uściskać przed śmiercią, a czuję, że łódź po mnie przybiła już do brzegu». Oczywiście, po odebraniu takiego listu, wyjechałem pierwszym pociągiem i nie zatrzymałem się aż w Rzymie. W chwili wyjazdu rozumiałem, że nie zastanę już ojca przy życiu. Próżno ciotka uspakajała mnie, że gdyby niebezpieczeństwo było nagłe, ojciec wysłałby lub kazał wysłać depeszę zamiast listu. Ja wiedziałem, że ojciec ma swoje dziwactwa, do rzędu których należała zawsze jego antypatya do telegrafów. Ciotka zresztą tylko udawała

spokój, a w gruncie rzeczy była również przestraszona.

W tym pośpiechu, przerażeniu i pod grozą prawdopodobnej śmierci ojca, nie mogłem i nie chciałem się oświadczać. Byłoby czemś przeciwnem naturze i cynicznem z mojej strony szeptać czułe słowa, nie wiedząc, czy właśnie w tej chwili ojciec nie wydaje ostatniego tchnienia. Rozumieli to wszyscy, a przedewszystkiem rozumiała Anielka. Na odjezdnem powiedziałem jej: «Napiszę do ciebie z Rzymu» — na co odrzekła: «Pierwej niech ci Pan Bóg da spokój!» Ona ufa mi zupełnie. Słusznie, czy niesłusznie mam opinię człowieka lekkomyślnego względem kobiet i opinia ta musiała się odbić o uszy Anielki, ale może właśnie dlatego drogie to stworzenie okazuje mi tem więcej ufności. Odgaduję i rozumiem, co ona myśli i czuje. Oto słyszę niemal, jak czysta jej dusza mówi do mnie: «Skrzywdzono cię; ty nie jesteś lekkomyślny, a te, które oskarżają cię o lekkomyślność, czynią to dlatego, że nie umiały cię kochać ani tak poczciwie, ani tak głęboko, jak ja kocham». I Anielka ma słuszność. Być może, iż mam usposobienie nieco wichrowate, ale że na rozwój takiego usposobienia wpłynęła wichrowatość,

czczość i jałowość uczuć, z któremi się spotykałem — to nie podpada wątpliwości. Mogło to poprostu całkiem skazić i wysuszyć mi serce — i gdyby się tak było stało, wówczas taka istota, jak Anielka, musiałaby płacić za winy innych. Ale sądzę, że jeszcze jest ratunek i że błogosławiony lekarz nie przychodzi zapóźno. Kto wie zresztą, czy kiedykolwiek bywa zapóźno i czy uczciwe i czyste serce kobiece nie posiada zawsze daru wskrzeszania umarłych?

Być może także, że serce męskie ma większą moc odradzania się. Istnieje jakieś podanie o róży jerychońskiej, która, choćby zeschnięta do cna, byle spotkała się z kroplą dżdżu, zaraz poczyna żyć i puszcza nowe liście. Zauważyłem, że w naturze męskiej leży wogóle nierównie więcej sprężystości, niż w kobiecej. Mężczyzna nieraz zbruka się w rozpuście tak bezecnej, że połowa tego jadu pokryłaby raz na zawsze śmiertelnym trądem kobiety; tymczasem syn Adamowy nietylko umie otrząsnąć się z zarazy, nietylko odzyskuje z łatwością moralne zdrowie, i świeżość, ale poprostu dziewictwo serca. Tak samo jest pod względem uczucia. Znałem kobiety z sercem wyjałowionem do tego stopnia, że utraciły stanowczo zdolność kochania, a na-

wet szanowania kogokolwiek lub czegokolwiek. Mężczyzn takich nie znałem. Miłość stanowczo powraca nam dziewictwo.

Podobne określenia mogą wydawać się dziwne pod piórem sceptyka, ale naprzód, ja nie mam większego zaufania do swych zwątpień, jak do wszelkiego rodzaju twierdzeń, pewników i spostrzeżeń, które ogółowi ludzi służą za podstawę życia. W każdej chwili gotów jestem zgodzić się na to, że moje zwątpienia mogą być równie dalekie od istoty rzeczy, jak te pewniki. Powtóre, to, co piszę, pod wpływem uczucia dla Anielki, która sama może nie wie, jaką mądrą drogę wybrała okazując mi tę bezgraniczną ufność; jak mnie tem chwyta za serce i przykuwa do siebie. Wreszcie, czy mówię o miłości, czy o jakimkolwiek innym życiowym czynniku, mówię i piszę zawsze to, co mi się wydaje dziś. Jaki będzie mój sąd jutro — nie wiem. Ach, gdybym wiedział, że jakikolwiek mój pogląd, jakiekolwiek przekonanie, jakakolwiek zasada, ostoi się przed jutrzejszym i pozajutrzejszym powiewem sceptycyzmu, chwyciłbym się jej oburącz, uczyniłbym z niej mój kanon — i płynąłbym, jak Śniatyński, pełnymi żaglami, i w świetle — zamiast brodzić w ciemności i pustce.

Nie chcę jednak znów wracać do mojej wewnętrznej tragedyi. Co do miłości wogóle, jako sceptyk względem życia i wszystkich jego zjawisk, mogę i nad nią wymówić Salomonowe *vanitas vanitatum*, ale byłbym chyba zupełnie ślepym, gdybym nie dostrzegł, że ze wszystkich czynników życiowych jestto najpotężniejszy i tak wszechmocny, że ilekroć o tem myślę, ilekroć ogarnę wzrokiem wieczne morze wszechżycia, staję za każdym razem poprostu w osłupieniu i podziwie nad tą wszechmocą. Są to przecie rzeczy uznane i znane tak samo, jak wschód słońca, jak przypływy i odpływy oceanu — a jednak zawsze jednakowo zdumiewające. Po Empedoklesie, który odgadł, że Eros wyłonił światy z chaosu, metafizyka nie postąpiła krokiem naprzód. Jedna śmierć jest siłą równie bezwzględną, ale w odwiecznych zapasach tych dwóch sił, miłość bierze ją za gardło i przyciska jej kolanem piersi, bije ją w dzień i w nocy, bije ją każdej wiosny, chodzi krok w krok za nią — i w każden dół, który ta wykopie, rzuca posiew nowego życia. Ludzie, zajęci codziennemi sprawami, zapominają lub nie chcą pamiętać, że służą tylko wyłącznie miłości. Dziwna rzecz pomyśleć, że wojownik, kanclerz państwa, rolnik, kupiec, ban-

kier, w wysiłkach swych, nie mających pozornie najmniejszego związku z miłością, w istocie rzeczy służą tylko tej zasadzie, spełniają tylko to przyrodzone prawo, na mocy którego ramiona mężczyzny wyciągają się do kobiety. Jakim szalonym paradoksem wydałoby się takiemu Bismarckowi, gdyby mu ktoś powiedział, że ostatecznym i jedynym celem jego zabiegów jest to, by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei. Mnie równie wydaje się w tej chwili, żem napisał paradoks, a jednak!... jednak Bismarck pracuje nad spotęgowaniem niemieckiego życia, życie to zaś nie może potęgować się w inny sposób, jak przez Hermana i Doroteę. Co więcej ma do roboty Bismarck, jak polityką lub bagnetem wytworzyć takie warunki, w którychby Herman i Dorotea mogli się kochać spokojnie, połączyć szczęśliwie i hodować nowe pokolenie?

Jeszcze w uniwersytecie czytałem jakąś gazelę arabską, porównywającą siłę miłości do siły piekielnych kleszczów. Zapomniałem nazwiska poety, ale myśl została mi w pamięci. Istotnie, w głowie się przewraca, gdy się pomyśli o tej potędze. Ostatecznie, wszystkie objawy życia są tylko różnorodnemi formami jednej i tej

samej zasady. Jestto eleackie: «ἓν καὶ πᾶν». Naprawdę ona jedna jest, ona jedna włada, ona jedna trwa, skupia, utrzymuje, tworzy.

10 Marca.

Dziś zdarłem trzy lub cztery listy do Anielki. Po obiedzie poszedłem do pracowni ojca, by pomówić z nim o zamiarach ciotki. Zastałem go rozpatrującego przez powiększające szkło pełne jeszcze ziemi epilichniony, które nadesłano mu z Peloponezu. Mówiąc nawiasem, wyglądał przepysznie, w tym muzealnym, oświeconym naprzemian przez białe i kolorowe okna pokoju, pełnym etrusków, odłamów posągów i wszelkiego rodzaju greckich i rzymskich zabytków. Wśród tego otoczenia twarz jego wydawała mi się zupełnie podobna do twarzy jakiegoś «boskiego» Platona lub innego greckiego mędrca. Z chwilą mego wejścia, przerwał robotę, wysłuchał mnie z zajęciem — poczem spytał:

— Czy ty się wahasz?

— Nie waham się, ale rozmyślam — i chcę wiedzieć, dlaczego chcę.

— A więc ci powiem tak: byłem człowiekiem, który niemniej od ciebie lubił sobie zdawać sprawę z samego siebie i ze wszystkich

objawów życia. Ale gdym poznał twą matkę, straciłem odrazu tę zdolność. Wiedziałem tylko jedno: że chcę ją mieć — i nie chciałem wiedzieć o niczem więcej.

— Więc?

— Więc, jeśli chcesz równie mocno, to się żeń. Źle mówię: jeżeli chcesz równie mocno, to się ożenisz bez niczyjej rady i pomocy, będziesz tak szczęśliwy, jak ja byłem, póki mi twoja matka nie umarła.

Na chwilę umilkliśmy. Gdybym chciał ściśle stosować do swej natury słowa ojca, nie byłbym znalazł pociechy. Kocham Anielkę niewątpliwie, nie doszedłem jednak do tego, by nie było już we mnie miejsca na żadną refleksyę. Ale to nie jest zły znak — poprostu tylko generacya, do której należę, posunęła się o stopień wyżej pod względem świadomości. Mam w sobie zawsze dwóch ludzi: aktora i widza. Często widz nie jest zadowolony z aktora, ale tym razem panuje we mnie między nimi zgoda.

Ojciec pierwszy przerwał milczenie:

— Powiedz mi, jak ona wygląda?

Ponieważ opis jest najniedołężniejszym sposobem malowania portretów, przyniosłem ojcu dużą i istotnie doskonałą fotografię Anielki, któ-

rej począł przypatrywać się z niezmierną ciekawością.

Ja zaś przypatrywałem się niemniej ciekawie jemu, gdyż zaraz obudził się w nim artysta, a zarazem dawny, wykwintny znawca i miłośnik kobiet — dawny «Leon l'Invincible». Oparłszy fotografię na rękawie swej biednej lewej ręki, nawpół już martwej, prawą chwycił szkło i, to zbliżając je, to oddalając, począł mówić:

— Gdyby nie pewne szczegóły, byłaby to twarz w rodzaju Ary-Scheffera... Ślicznieby wyglądała ze łzami w oczach... Są ludzie, którzy nie lubią w kobiecie anielskiego wyrazu, ale podług mnie, nauczyć anioła, jak być kobietą — to szczyt zwycięstwa... Bardzo ładna i bardzo niepospolita... «Enfin, tout ce qu'il y a de plus beau au monde — c'est la femme!»

Tu znowu począł manewrować szkłem, wreszcie dodał:

— Sądząc z twarzy, a zwłaszcza z fotografii, można się zawsze omylić, ale ja mam trochę wprawy. Otóż, podług mnie, powinna to być natura bardzo lojalna. Tak mi się zdaje... Podobne typy kochają się w czystości swych piór... Daj-że ci Boże szczęście, mój chłopcze, bo mi się bardzo podoba twoja Anielka... Obawiałem

się zawsze, byś się ożenił z jaką cudzoziemką — niechże będzie Anielka!...

Zbliżyłem się do niego, a on objął prawą ręką moją szyję, uściskał mnie i rzekł:

— Cobym dał, gdybym mógł jeszcze tak samo uściskać synowę!

Począłem go zapewniać, że to niechybnie nastąpi. W dalszym ciągu mówiliśmy o moim zamiarze sprowadzenia ciotki, Anielki i jej matki do Rzymu. Po oświadczeniu się listownem, mógłbym tego wymagać, a te panie zgodziłyby się niewątpliwie na przyjazd, ze względu na ojca. W takim razie ślub odbyłby się w Rzymie — i bardzo prędko.

Ojcu podobał się niezmiernie ten plan, bo ludzie starsi i chorzy lubią widzieć naokół siebie dużo życia i ruchu. Wiedziałem także, że Anielka będzie uszczęśliwiona z takiego obrotu rzeczy, więc i sam nabierałem z każdą chwilą więcej ochoty. W tydzień mogło być wszystko przeprowadzone. Czułem, że taka energia i taka stanowczość będą trochę przeciwne mojej naturze, ale właśnie ta myśl, że się na nie zdobędę, sprawiała mi przyjemność. Przytem, jako człowiek obdarzony wyobraźnią, widziałem się już ciceronującego Anielce po Rzymie. Ci tylko, którzy

tu mieszkają, rozumieją, jaką jest rozkoszą pokazywać komukolwiek zabytki tego miasta, a cóż dopiero pokazywać je kobiecie kochanej.

Rozmowę z ojcem przerwało nam nadejście państwa Davis, którzy codziennie ojca odwiedzają. On pochodzi z angielskich żydów, ona jest szlachcianką włoską, która poszła za mąż dla pieniędzy. Sam Davis jestto charłak, który nadużył życia w sposób, przenoszący dwukrotnie jego marne z natury siły. Obecnie jest chory, zagrożony rozrzedzeniem mózgu, obojętny na wszystko w świecie, słowem, jeden z takich okazów, jakie widuje się w zakładach hydropatycznych. Ona wygląda, jak Junona; ma brwi zrośnięte nad czołem i kształty greckiego posągu. Nie lubię jej, bo jest jak wieża pizańska; wiecznie się pochyla, a nigdy nie upada. Rok temu czyniłem względem niej zabiegi, ona zaś kokietowała mnie mocno, co jednak obustronnie pozostało bez rezultatu. Ojciec ma do niej nadzwyczajną słabość. Posądzałem go nawet, że się w niej kochał. W każdym razie zachwyca go, jako artystę i myśliciela, jest bowiem istotnie bardzo piękna i nad zwykłą miarę inteligentna. Prowadzą ze sobą nieskończone dysputy, które ojciec nazywa «Causeries Romaines» i znajduje

w nich stałe upodobanie może i z tego względu, że takie roztrząsanie zagadnień życiowych z piękną kobietą wydaje mu się czemś czysto włoskiem, godnem czasów renesansowych i poetycznem. Ja rzadko biorę w rozprawach udział, bo nie wierzę w szczerość pani Davis. Zdaje mi się, że ta istotnie niepospolita jej inteligencya jest inteligencyą mózgu, nie duszy, że naprawdę nic ją nie obchodzi, prócz własnej piękności i własnych wygód. Spotykałem tu nieraz kobiety, które wydają się być pełne aspiracyi, a które w gruncie rzeczy na religię, filozofię, sztukę, literaturę patrzą, jak na przybory tualetowe. Od czasu do czasu ubierają się w nie, bo sądzą, że im z tem do twarzy. Przypuszczam, że w ten właśnie sposób pani Davis ubiera się czasem w zagadnienia życiowe, czasem w Grecyę i Rzym starożytny, czasem w Boską Komedyę, czasem w Renesans, w kościoły, w galerye Borgezów lub Colonnów i tym podobnie. Rozumiem, że potężne organizacye duchowe robią ze siebie środkowy punkt świata, ale w kobietach, którym chodzi o marne rzeczy, jestto egoizm i śmieszny i marny.

Zadawałem sobie pytanie, skąd się bierze przyjaźń, powiem więcej: afekt pani Davis dla

ojca — i myślę, żem znalazł odpowiedź. Oto ojciec, ze swoją przepyszną głową patrycyusza-filozofa i z manierami, przypominającemi wiek XVIII, jest dla niej rodzajem «objet d'art», a co więcej, jest wspaniałem i inteligentnem zwierciadłem, w którem pani Davis może podziwiać dowoli swój rozum i swoją piękność. Jest ona mu przytem wdzięczna za to, że patrzy na nią bezkrytycznie, że ją lubi bardzo. Być może, iż na tym gruncie wyrosło i w niej nieco przywiązania do niego, a przynajmniej, że się stał jedną z jej potrzeb. Prócz tego, pani Davis ma opinię kokietki, bywając zaś codziennie u ojca, odpowiada tem samem światu: «Nieprawda, bo oto ten starzec ma lat siedemdziesiąt, nikt mnie nie może posądzić o chęć zdobycia jego serca, a jednak okazuję mu więcej uczucia, niż komukolwiek». Nakoniec, ona pochodzi wprawdzie ze starej rodziny włoskiej, ale pan Davis, mimo swego olbrzymiego majątku, jest tylko panem Davis, więc przyjaźń z ojcem wzmacnia ich stanowisko w wielkim świecie.

Był czas, żem siebie pytał, czy czasem nie ja jestem, choć w części, powodem tych codziennych wizyt — i kto wie! W każdym razie nie moje przymioty pociągają tę kobietę, a tem

mniej uczucie. Ale ona czuje, że ja patrzę na nią sceptycznie i to ją korci. Być może, iż mnie nienawidzi, ale radaby była, gdybym przed nią klęknął. Jabym to zresztą uczynił, bo ostatecznie jestto przepyszny egzemplarz ludzkiego gatunku, uczyniłbym to, choćby dla jej zrośniętych brwi i godnych Junony ramion — ale za cenę, na którą ona zgodzić się nie chce.

Zaraz po przyjściu Davisów, ojciec wszczął jakąś filozoficzną rozprawę, która, przetaczając się z kwestyi na kwestyę, skończyła się na analizie ludzkich uczuć. Davisowa wypowiedziała kilka uwag nadzwyczaj trafnych. Z pokoju muzealnego przenieśliśmy się na wewnętrzny taras, wychodzący na nasze ogrody. Dopiero dziesiąty marca, a tu już wiosna w całej potędze. Tego roku wszystko przyśpieszone. W dzień upał; magnolie pokryte kwiatem, jak śniegiem; noce ciepłe, jak w lipcu. Jaki tu jednak inny świat, niż w naszym Płoszowie! Oddycham całą piersią. Davisowa na tym tarasie, przy świetle księżyca w pełni, była poprostu tak piękna, jak jakiś grecki sen. Widziałem, że jest pod wrażeniem tej nieopisanej rzymskiej nocy. Głos jej stał się słodszy i cichszy, niż zwykle. Być może zresztą, że jak zawsze, tak i teraz, myślała tylko o so-

bie i odczuwała tylko przez siebie; że ubierała się w księżyc, ciszę, zapach magnolii, jak w kapelusz, szal, etc. Ale było jej w tym stroju nadzwyczaj do twarzy. Gdyby nie to, że mam serce zajęte Anielką, byłbym pod wrażeniem tego obrazu. Mówiła przytem rzeczy, które nie każdemu mężczyźnie przyjdą do głowy.

Swoją drogą, ile razy odbywają się owe «Causeries Romaines», zawsze mam wrażenie, że ojciec, ja, taka pani Davisowa, że wreszcie my wszyscy ludzie, należący do pewnej sfery społecznej, nie żyjemy naprawdę życiem rzeczywistem i realnem. Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się, jak morze — a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich. My nie wiedząc o tem, mamy zamiłowania, nerwy i dusze, dobre na święto. Pogrążeni w błogim dyletantyzmie, jakby w letniej kąpieli, żyjemy wpół na jawie, wpół we

śnie. Przeżuwając zwolna odziedziczone mienie i odziedziczony zapas sił muskularnych i nerwowych, tracimy stopniowo grunt pod nogami. Jesteśmy, jak owe puchy, które wiatr nosi. Zaledwie gdzie przypadniemy, życie realne spycha nas — i ustępujem — bo się nie czujemy na siłach, by dać opór.

Gdy o tem myślę, uderza mnie w nas tysiące sprzeczności. Oto uważamy się za wykwit cywilizacyi, za ostatni szczebel, a straciliśmy wiarę w siebie. Tylko najgłupsi z pomiędzy nas wierzą jeszcze w racyę naszego bytu. W życiu szukamy instynktownie świątecznych stron, rozkoszy i szczęścia, a nie wierzymy także i w szczęście. Pesymizm nasz jest wprawdzie nikły i lekki, jak dym naszych hawańskich cygar, niemniej jednak przesłania nam on dalsze widnokręgi. W tych przesłonach w tym dymie, tworzymy świat oddzielny, oderwany od ogromu wszechżycia, zamknięty w sobie — trochę czczy i senny.

I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokracyę rodu lub pieniędzy, zjawisko nie byłoby zbyt ważnem. Ale do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka,

literatura i sztuka. Coś się stało takiego, że to wszystko nie tkwi w samej miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złagodzenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami.

Nie mówię o tem, jak reformator, bo na to nie mam dość sił. Wreszcie, co mnie to może obchodzić? Będzie, jak musi być! Chwilami jednak miewam pół jasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całej kulturze. Fala, która nas spłucze z powierzchni ziemi, zabierze więcej, niż ta, która spłukała świat pudrowanych peruk i żabotów. Prawda, że i tamtym ludziom, gdy ginęli, wydawało się, że wraz z nimi ginie cała cywilizacya.

Tymczasem, tak miło jest zasiąść niekiedy w ciepłą, księżycową noc na tarasie i rozmawiać przyciszonym głosem o sztuce, literaturze, miłości i kobietach, a przytem patrzyć na oświecony srebrnym blaskiem boski profil takiej kobiety, jak pani Davisowa.

10 Marca.

Góry, skały i wieże, w miarę, jak się od nich oddalamy, przesłaniają się mgłą błękitną.

Zauważyłem, że istnieje pewnego rodzaju mgła psychiczna, która tak samo przesłania nam osoby oddalone. Śmierć nie jest niczem innem, jak oddaleniem, ale tak niezmiernem, że istoty, choćby najukochańsze, pogrążone w niej, tracą stopniowo swą rzeczywistość, błękitnieją i stają się tylko drogimi cieniami. Zrozumiał to geniusz grecki, zaludniając tłumem cieniów pola Elizejskie. Nie chcę wszelako nadużywać tych smutnych porównań, skoro mam zamiar pisać o Anielce. Jestem zupełnie pewny, że uczucie moje dla niej nie zmniejszyło się, a jednak jest ona dla mnie również jakąś błękitniejszą i mniej realną, niż była w Płoszowie. Nie wyczuwam jej bezpośrednio zmysłami. W porównaniu do uczucia, jakie miałem dla niej w Płoszowie, stała mi się nieco więcej ukochaną duszą, a nieco mniej upragnioną kobietą. Jest-li to lepiej, czy gorzej? Z pewnego względu lepiej, bo pożądaną kobietą mogłaby mi być nawet pani Davisowa; z drugiej strony, kto wie jednak, czy to nie jest jednym z powodów, dla których nie napisałem dotąd listu do Anielki? Niezawodnie ten profil Davisowej, który nie schodzi mi z oczu, jest wrażeniem przemijającem i bez znaczenia. Owszem, gdy porównywam te dwie kobiety,

przywiązanie moje do tamtej dziewczyny, potęguje się pewnem rozczuleniem, a mimo tego pozostawiłem ją w niepewności i przykrem oczekiwaniu. Dziś ojciec pisał do ciotki, uspokajając ją co do swego zdrowia, ja zaś dopisałem słów kilka, w których zaledwie zdobyłem się na pozdrowienie dla Anielki i jej matki. W dopisku nie mogłem wprawdzie wiele więcej powiedzieć, ale mogłem przynajmniej oznajmić, że wkrótce napiszę osobno i obszernie. Taka zapowiedź byłaby balsamem dla Anielki i dla starszych pań. Nie uczyniłem i tego, bo nie byłem w stanie. Dziś znowu mój dzień odpływu. Ochota do życia i zaufanie do przyszłości cofnęły się aż hen, na krańce, tak daleko, że ich nie widać, a widać tylko dno suche i piaszczyste. Nie mogę się uporać z myślą, że wolno mi się żenić z Anielką tylko w takim razie, jeśli sumiennie będę przekonany, że ten nasz związek będzie zarazem aktem obustronnego szczęścia. Nie mogę także inaczej przedstawić go Anielce, czyniąc zaś to, popełnię kłamstwo, oszukam ją zanim nam stułą obwiną ręce, bo tej wiary niema we mnie samym, jest natomiast zwątpienie o życiu wogóle i niechęć do niego.

Jej źle w tem oczekiwaniu i niepewności,

ale mnie gorzej — i tem gorzej, im głębiej ją kocham.

11 Marca.

Pani Davisowa, której w czasie owej księżycowej «Causerie» powtórzyłem o wszechmocy miłości mniej więcej to samo, com poprzednio napisał w tym dzienniku, nazwała mnie Anakreontem, radziła przybrać się w girlandy dzikiego wina, a następnie spytała poważniej:

— Jeśli tak jest, to czemu pan grywasz rolę pesymisty? Wiara w takie bóstwo powinna czynić człowieka szczęśliwym.

Czemu?

Jej nie odpowiedziałem, ale sam wiem dobrze, czemu. Miłość zwycięża nawet śmierć, ale chroni przed nią tylko gatunek. A co mi z tego, że gatunek będzie zachowany, gdy ja, ten właśnie osobnik, który miłość odczuwa, skazany jestem na nieubłaganą i niechybną zatratę? Nie jest-że raczej wyrafinowanem okrucieństwem taki układ, z mocy którego to uczucie, które może być odczuwane wyłącznie przez indywiduum, służy i przydaje się na coś wyłącznie gatunkowi? Czuć w sobie drgnienia nieśmiertelnej siły i musieć umrzeć — to przecie szczyt

niedoli. W rzeczywistości istnieją tylko indywidua, gatunek zaś jest pojęciem ogólnem i w stosunku do jednostki najzupełniejszą nirwaną. Rozumiem miłość do swego syna, wnuka, prawnuka, to jest właśnie do jednostek, przeznaczonych na zagładę, ale patryotyzm swego gatunku może mieć chyba albo bardzo nieszczery, albo bardzo głupi doktryner. Rozumiem teraz, że po Empedoklesie przyszli na świat, po upływie wieków, Schopenhauer i Hartman.

Mózg mój jest tak obolały, jak może być obolały grzbiet robotnika, noszącego ciężary nad siły. Ale robotnik, trudząc się, zarabia przynajmniej na chleb i spokój.

Przypominam też sobie bezustannie słowa Śniatyńskiego: «Tylko jej nie przefilozofuj, jak przefilozofowałeś swoje zdolności i trzydzieści pięć lat życia». Ja wiem, że to nie prowadzi do niczego, że to jest źle — ale nie umiem nie myśleć.

13 Marca.

Ojciec mój zmarł dziś nad ranem. Chorował zaledwie kilkanaście godzin...

. . . . . .

22 Marca. Peli. Willa Laura.

Śmierć jest taką otchłanią, że choć wiemy, że trzeba do niej zstąpić, to jednak ilekroć zstąpi ktoś z naszych bliskich i kochanych, nam, pozostałym na brzegu, dusza się rozdziera z trwogi, żalu, rozpaczy. Wszystkie rozumowania kończą się na tej krawędzi i chce się tylko krzyczeć o ratunek, który nie może przyjść znikąd. Jedynym ratunkiem, jedyną pociechą mogłaby być wiara, ale kto nie ma tej świecy, ten może poprostu oszaleć na myśl o takiej wiecznej nocy. Dziesięć razy na dzień zdaje mi się, że to nie może być, że to niepodobna, że to byłoby zbyt straszne, gdyby śmierć kończyła wszystko — dziesięć razy na dzień mam poczucie, że tak jest.

23 Marca.

Kiedym przyjechał z Płoszowa, zastałem ojca tak dobrze, że ani mi w głowie nie postało, żeby koniec miał być tak bliski. I co za dziwne zakręty ma w sobie natura ludzka. Bóg widzi, że znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie, a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec i siebie klęczącego przy jego tru-

mnie, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żal było tego napróżnego żalu. Dziś wspomnienie o tem stało się gorzkie i dokucza mi jak wyrzut.

Jak głęboko nieszczęśliwy jest człowiek, którego serce i dusza straciły prostotę! Oto niemniej gorzkiem, niemniej podobnem do wyrzutu, jest dla mnie wspomnienie, że gdy ojciec konał, było we mnie dwóch ludzi: jeden syn, który bolał szczerze i gryzł palce, by potłumić szlochanie; drugi mędrek, który badał psychologię śmierci. Jestem niewypowiedzianie nieszczęśliwy, bo natura moja jest nieszczęśliwa.

Ojciec umierał zupełnie przytomnie. W sobotę wieczór czuł się nieco gorzej. Posłałem po doktora, by na wszelki wypadek był w domu. Ten przepisał jakieś lekarstwo, o które ojciec począł zaraz z nim wojować, dowodząc, że środek ten może przyspieszyć atak. Doktor uspokoił mnie, oświadczywszy, że jakkolwiek, gdy chodzi o chorego, który raz miał już atak paraliżu, nigdy nie można być pewnym, czy nie przyjdzie drugi — jednakże nie sądzi, by niebezpieczeństwo było nagłe — i przypuszcza, że ojciec może pożyć nawet kilkanaście lat. O tych kilkunastu latach powiedział i ojcu, który ma-

chnął na to ręką i powiedział: «Zobaczymy!» Że jednak przez całe życie miał zwyczaj drażnić się z doktorami i dowodzić nicości medycyny, nie brałem tego do serca. Tymczasem koło dziesiątej, w czasie herbaty, podniósł się nagle i zawołał:

— Leonie! prędko do mnie!...

W kwadrans później leżał w łóżku, a w godzinę rozpoczęło się konanie.

24 Marca.

Przekonałem się, że człowiek do ostatniej chwili zachowuje wszystkie cechy swego charakteru, a nawet swe oryginalności. Oto ojciec, w całej tej uroczystej powadze myśli, jaką daje zbliżanie się śmierci, okazywał jeszcze jakoby pewne zadowolenie miłości własnej, z tego, że to doktor się pomylił, nie on — i że niewiara jego w medycynę była uzasadniona. Słuchałem tego, co mówił w ostatnich godzinach, a prócz tego czytałem myśli w jego twarzy. Było w nich przejęcie się ważnością chwili, była ciekawość, jakie też jest to drugie życie, ani cienia wątpliwości, że ono może nie istnieć — natomiast trochę niepokoju, czy go tam dobrze przyjmą, w połęczeniu z jakąś bezwiedną, powiem: naiwną

pewnością, że jednak nie przyjmą go, jak byle kogo. Ja nie będę tak umierał, bo nie mam takich podstaw życiowych, które mi by wystarczyły nawet w godzinę śmierci. Ojciec rozstawał się z życiem z głęboką wiarą i skruchą prawdziwego chrześcijanina. W chwili, gdy przyjmował Najświętszy Sakrament był tak czcigodny i tak po prostu święty, że obraz jego pozostanie mi na zawsze w pamięci.

Jaki marny, jaki nędzny wydaje mi się mój sceptycyzm, w porównaniu z tą ogromną siłą wiary, która potężniej jeszcze niż miłość, umie tryumfować nad śmiercią i to właśnie w chwili, gdy ta gasi życie. Po przyjęciu Komunii i ostatniem namaszczeniu ogarnęło ojca rozrzewnienie. Chwycił mocno, prawie konwulsyjnie, moją rękę i nie puszczał jej, jakby się chciał zaczepić jeszcze o życie. Ale nie czynił tego ze strachu, ni rozpaczy: nie bał się nic a nic — po chwili spostrzegłem, że oczy jego, ciągle we mnie wpatrzone, stają się nieruchome i mętne, a czoło pokrywa się jakby rosą; twarz bielała mu coraz bardziej; otworzył kilkakrotnie usta, jakby łowiąc oddech — i westchnąwszy głęboko po raz ostatni — zgasł.

Nie byłem przy balsamowaniu ciała — nie

miałem na to dość sił; ale po skończeniu balsamowania, nie opuściłem zwłok ani na chwilę, bom nie chciał, by ubierając je do trumny, postępowano z niemi, jak z rzeczą. Jaki straszny jest cały obrządek pogrzebowy: te katafalki, świece, bractwa w kapturach na twarzy, śpiewy! Do tej pory mam jeszcze w uszach: «Anima ejus» i «Requiem aeternam». Wieje z tego istotnie ponury i przestraszny duch śmierci! Zwłoki wyprowadziliśmy z Santa Maria Maggiore — i tam ostatni raz rzuciłem wzrokiem na tę twarz drogą i wspaniałą. Campo Santo wygląda już, jak wyspa zielona. Wiosna tego roku bardzo wczesna. Drzewa kwitną, a białe marmury grobowców kąpią się w słońcu. Jakie przeraźliwie smutne zestawienie tego budzącego się życia, tej zieleni, słońca i zgiełku ptactwa — z pogrzebem. Tłumy ludu szły aż na cmentarz, bo ojciec tak znany był w Rzymie ze swej dobroczynności, jak ciotka znaną jest w Warszawie. Mnie jednak drażnił ten napływ gawiedzi, na której twarzach odbijało się ożywienie i nastrój wiosenny. Tłumy, zwłaszcza we Włoszech, robią sobie ze wszystkiego widowisko — i tym razem zgromadziło je nietyle współczucie, ile ciekawość widzenia okazałego pogrzebu. Egoizm

ludzki nie zna granic i jestem przekonany, że nawet ludzie moralnie i umysłowo wyrobieni, gdy towarzyszą pogrzebom, towarzyszą im z pewnem uczuciem bezwiednego zadowolenia, że to kogo innego spotkało i że nie ich grzebią.

Ciotka przyjechała, bom ją wezwał depeszą. Ale ona, ze stanowiska swej niewzruszonej wiary patrzy na śmierć, jak na zmianę w istocie swej najszczęśliwszą ze wszystkich, więc przyjęła cios, jaki nas spotkał, daleko spokojniej odemnie. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie płakać szczerze przy trumnie brata, ale nie odjęło jej pogody. Potem miała ze mną rozmowę bardzo serdeczną i poczciwą, którą jednak na razie wziąłem na opak, czego dziś żałuję. Nie wspomniała ani słowem o Anielce, mówiła tylko o mojem przyszłem osamotnieniu — i ciągnęła mnie koniecznie do Płoszowa, upewniając, że tam mi się sieroctwo mniej wyda ciężkiem, bo znajdę kochające serca, a przedewszystkiem jej stare serce, które mnie jednego kocha na świecie. Ja widziałem w tem tylko chęć prowadzenia dalej swatów, co wobec świeżej śmierci ojcowskiej wydało mi się niewłaściwem i rozdrażniło mnie mocno. Nie do życia mi teraz, nie do oświadczyn i ślubów, gdy pada na mnie je-

szcze cień śmierci. W rozżaleniu, odmówiłem stanowczo, a nawet nieco szorstko. Powiedziałem ciotce, że wyjadę w podróż, prawdopodobnie na Korfu, potem wrócę na parę tygodni do Rzymu, dla uregulowania spadku, i dopiero następnie przyjadę do Płoszowa.

Na razie nie nastawała. Odczuwając mój żal, była nawet dla mnie tak pełna słodyczy, jak nigdy. Odjechała w trzy dni po pogrzebie. Ja do Korfu nie wyjechałem, ale natomiast Davisowie zabrali mnie do swej willi w Peli, gdzie bawię od kilku dni. Czy pani Davisowa jest szczera, czy nieszczera — nie wiem i nie chcę nawet w to wchodzić, wiem tylko to, że żadna siostra nie mogłaby mi okazać więcej współczucia i troskliwości. Ze swoją zatrutą przez sceptycyzm naturą, gotówem zawsze wszystkich podejrzewać, ale gdyby się pokazało, że się mylę, będę się czuł wobec tej kobiety prawdziwie winny, bo dobroć jej dla mnie przechodzi istotnie zwykłą miarę.

26 Marca.

Okna moje wychodzą na te niesłychane błękity Śródziemnego morza, zamknięte na krańcach pasmami ciemnego szafiru. W pobliżu willi,

zmarszczona fala lśni się nakształt ognistej łuski, dal zaś jest gładka, cicha, jak gdyby ukojona w swym błękicie. Łacińskie żagle rybackich łodzi bielą się tu i owdzie; raz na dzień zaś przechodzi parowiec z Marsylii do Genui, wlokąc za sobą puszystą kiść dymu, która czernieje, jak chmura nad morzem, zanim się rozejdzie i rozproszy. Wypoczynek tu ogromny. Myśl rozprasza się na podobieństwo owego dymu między dwoma błękitami i człowiek istnieje jakiemś błogiem istnieniem roślinnem. Wczoraj byłem bardzo zmęczony, ale dziś wciągam pełnemi piersiami świeży powiew morski, osadzający wilgotne atomy soli na moich ustach. Bądź co bądź, ta Rywiera jest jednakże arcydziełem Boskiem. Wyobrażam sobie, jakie teraz muszą być szarugi w Płoszowie, jakie ciemności, jakie nagłe marcowe przeskoki od zimna do ciepła, od śnieżnej kaszy, sypiącej się z przelotnych chmur, do krótkich przebłysków słońca. Tu niebo świetliste, pogodne; powiew morski, który w tej chwili chłodzi mi czoło, zdaje się po prostu je całować; upajający zapach rezedy, heliotropów i róż bije przez otwarte okno z ogrodowych klombów, jak z kadzielnic. Zaczarowany kraj, «gdzie cytryna dojrzewa», a po trochu i zacza-

rowany pałac, wszystko bowiem, na co mogły złożyć się miliony Davisa i wyborny smak jej, znajduje się w tej willi. Otaczają mnie arcydzieła sztuki: obrazy, posągi, nieporównane okazy ceramiki, złotnicze dzieła Benvenuta. Oczy, upojone naturą, poją się sztuką i wzrok nie wie, gdzie ma spocząć, chyba, że spocznie na tej przepysznej pani tych wszystkich skarbów, której jedyną religią jest piękno.

Ale niesłusznie zowią ją poganką, bo powtarzam, że szczerze, czy nie szczerze, dzieli jednak mój smutek i stara się go łagodzić. Rozmawiamy całemi godzinami o ojcu i często widuje łzy w jej oczach. Spostrzegłszy, że muzyka koi moje potargane nerwy, grywa do późna w noc. Nieraz siadam pociemku w swoim pokoju, patrzę trochę bezmyślnie przez otwarte okno na podzierżgane w srebrną siatkę morze i słucham tych tonów, zmieszanych z pluskiem fal, słucham aż do zapamiętania się, aż do półsnu, w którym zapominam o rzeczywistości i jej strapieniach.

29 Marca.

Nie chce mi się nawet i pisywać codziennie. Czytujemy razem «Boską Komedyę», a raczej

tylko ostatnią jej część. Niegdyś bardziej mnie pociągała pełna straszliwej grozy plastyka Piekła, obecnie z lubością zanurzam się w tej świetlistej mgle, zaludnionej jeszcze świetlistszemi duchami, która przepełnia dantejskie Niebo. Czasem zdaje mi się, że widzę wśród tych promieni znajome mi, kochane rysy, i żal mój staje się wówczas prawie słodki. Teraz dopiero zrozumiałem wszystkie piękności Nieba. Jednakże nigdy duch ludzki nie roztoczył tak szeroko skrzydeł, nie objął takich ogromów, nie zapożyczył się tak nieskończoności, jak w tym nieśmiertelnym i wielkim poemacie. Onegdaj, wczoraj i dziś, czytaliśmy w łodzi. Odjeżdżamy zwykle bardzo daleko; wówczas, jeśli cisza jest zupełna, zsuwam żagiel i czytamy, kołysani przez fale, a raczej ona czyta, ja tylko słucham. Wczoraj całe niebo oblało się po zachodzie słońca czerwonym blaskiem; ona siedziała naprzeciw mnie i czytała, jakby natchniona, wznosząc od czasu do czasu oczy, w których odbijało się światło zorzy. W tych łunach zachodu, daleko od brzegu, na tej łodzi, widząc przed sobą tę przepiękną kobietę i słuchając Danta, miałem poprostu złudzenie, że nie żyję życiem rzeczywistem.

30 Marca.

Czasem żal, który zdawał się już usypiać, budzi się we mnie z nową siłą. Chce mi się wówczas stąd uciekać.

31 Marca. Willa Laura.

Myślałem dziś dużo o Anielce. Mam szczególniejsze uczucie, jakby nas rozdzieliły lądy i morza. Zdaje mi się, że Płoszów leży gdzieś w hiperborejskich krainach, na krańcu świata. Jestto złudzenie tego rodzaju, w którem osobiste wrażenia poczytuje się za przedmiotowy stan rzeczy. To nie Anielka jest daleką odemnie, tylko ja oddalam się coraz bardziej od owego Płoszowskiego, który poprzednio miał nią napełnione wszystkie myśli i serce. Nie idzie za tem, żeby uczucie moje dla niej miało zgasnąć zupełnie. Analizując je, dostrzegam jednak, że straciło ono swój charakter czynny. Przed kilku tygodniami, kochając, chciałem czegoś; obecnie, kochając, niczego nie chcę. Smierć ojca rozproszyła skupienie mego uczucia. Tak samo byłoby naprzykład, gdybym pisał jakieś dzieło literackie i gdyby zewnętrzne a nieszczęśliwe wypadki oderwały mnie od niego. Ale to nie dosyć! Wszystkie władze mego ducha były do

niedawna napięte, jak cięciwa łuku, a teraz, pod wpływem zmartwień wielkiego znaczenia, pod wpływem tego słodkiego klimatu, tych błękitów, tego morza, które kołysze, jak do snu, przeszły w stan folgi. Żyję, jak powiedziałem, życiem roślinnem; wypoczywam, jak człowiek zupełnie utrudzony i ogarnia mnie drzemka, jak gdybym był ciągle zanurzony w ciepłej kąpieli. Nigdy nie czułem się mniej zdolnym do jakichkolwiek przedsięwzięć i sama myśl o nich jest mi przykrą. Obmyślając sobie hasło, obmyśliłbym: «Nie budźcie mnie!»

Co będzie, jak się zbudzę — nie wiem. Teraz jest mi smutno, ale dobrze: więc i nie chcę się budzić i nie poczuwam się do obowiązku. Rzeczywiście, aż mi samemu trudno sobie wyobrazić, jak daleki jestem od owego Płoszowskiego, który czuł się związanym wobec Anielki. Związany? — czem? z jakiego powodu? — co między nami zaszło? Jedno przelotne, prawie niepochwytne dotknięcie ustami jej czoła — dotknięcie, które aż nadto dobrze może być między tak bliskimi krewnymi usprawiedliwione stosunkiem rodzinnym... To są śmieszne skrupuły. Czy to ja na takie węzły związywałem nieraz stosunki, których zerwanie nie sprawiało

mi potem żadnych wyrzutów? Gdybym nie był jej krewnym — nie mówię! Ona wprawdzie inaczej wówczas rozumiała — ja, który nie oszukuję się nigdy, wyznaję, że także rozumiałem inaczej, ale... A więc, niech i tak będzie! niech mam tę szpilkę w sumieniu. Mało-ż to na świecie spełnia się w każdej godzinie występków, wobec których ten zawód, jaki sprawiłem Anielce, wydaje się istnem dzieciństwem? Sumienie może się zajmować podobną winą tylko w takim razie, gdy pozwala sobie wprost na zbytek, nie mając nic lepszego do roboty. Tego rodzaju występki mają się tak do prawdziwych, jak nasze próżniacze rozmowy na tarasach do trudnej i ciężkiej rzeczywistości życia.

Zresztą nie przewiduję, co będzie, tylko przedewszystkiem chcę teraz spokoju i wolę o niczem nie myśleć. «Nie budźcie mnie!» Dziś przy obiedzie była mowa, że w połowie kwietnia, gdy poczną się upały, opuścimy Peli i pojedziem do Szwajcaryi. Nawet i to mnie przestrasza. Zdaje się, że biednego Davisa żona będzie musiała umieścić w jakimś zakładzie. On poprostu ma początki pomieszania. Po całych dniach milczy i patrzy w ziemię, od czasu do czasu tylko spogląda na swe paznogcie, bo ma

stałą obawę, że mu odpadają. Są to skutki szalonego życia i morfiny.

Kończę pisać, zbliża się bowiem godzina naszej przejażdżki po morzu.

2 Kwietnia.

Wczoraj była burza. Wicher południowy, spędził chmury, jak tabun koni. Czas jakiś targał je i szarpał, zganiał i rozganiał pod niebem, potem wziął je pod siebie i zwalił z całych sił na morze, które pociemniało w mgnieniu oka, jak twarz człowieka w gniewie i poczęło na odwet ciskać pianą do góry. Istna walka dwóch wściekłości, które uderzając na siebie wzajem, wydają grźmoty i błyskawice. Ale wszystko to trwało krótko. Nie jeździliśmy jednak na naszą zwykłą wycieczkę — fale zbyt były rozkołysane. Patrzyliśmy natomiast na burzę z oszklonego balkonu, a czasem patrzyliśmy na siebie. Trudno się łudzić dłużej. Między nami coś się staje, coś się poczyna dziać. Żadne z nas nie wyrzekło ani słowa, wychodzącego po za granicę zwykłej przyjaźni, żadne nie wyznało nic; a jednak, gdy odzywamy się do siebie, czujemy, że słowa nasze są tylko zagadywaniem czegoś innego. Tak samo się dzieje, gdy jeździmy na morze,

gdy czytamy razem, gdy słucham jej grającej. Wszystkie te czynności nasze wydają się jak pozory, jak nieszczere formy zewnętrzne, pod któremi ukrywa się i czai jakaś inna tajemnicza istota rzeczy, dotąd niema i z osłoniętą twarzą, ale zawsze obecna, chodząca jak cień za nami. Żadne z nas nie chce dotąd jej nazwać — czujemy jednak ciągle jej obecność. Zjawisko to powtarza się prawdopodobnie stale, ilekroć mężczyzna i kobieta poczynają działać wzajem na siebie. Kiedy zaczęło się ono dla nas, nie umiem ściśle powiedzieć; wyznaję wszelako, że nie przyszło całkiem niespodzianie.

Przyjąłem gościnność Davisów, bo ona była przyjaciółką ojca i okazała mi tyle współczucia po jego śmierci, jak nikt w Rzymie. Posiadam jednak tyle świadomości i tak się umiem dzielić, że zaraz po przybyciu tutaj, pomimo świeżej boleści, miałem poczucie, że między mną i tą kobietą przyjdzie do jakichś zmian w stosunku. Oburzałem się na siebie, że niemal nazajutrz po śmierci ojca mogę znaleźć w myśli miejsce na podobną świadomość, alem ją miał. Dziś sprawdzają się tylko moje przewidywania. Jeślim się przytem wyraził, że nasz zmieniony stosunek ma osłoniętą twarz, to tylko dlatego,

że nie wiem, kiedy przełom nastąpi i w jakiej formie — ale treści domyślam się i jestem pod urokiem tych domysłów. Byłbym też naiwny, gdybym przypuszczał, że ona ma mniej pod tym względem świadomości odemnie. Prawdopodobnie ma więcej. Prawdopodobnie ona kieruje temi zmianami i wszystko, co się dzieje, dzieje się z jej woli i chłodnego rozmysłu. Dyana Łowczyni rozciąga sieci na zwierza! Ale co mi to szkodzi? co mam do stracenia? Jak każdy prawie mężczyzna, jestem tego rodzaju niebezpieczną zwierzyną, która pozwala polować na się tylko dlatego, by sama mogła, w stosownej chwili, rzucić się na myśliwca. W takich wypadkach wszyscy mamy dość energii. Są to zapasy, w których z natury rzeczy zwycięstwo musi pozostać przy nas. Wiem doskonale, że Davisowa mnie nie kocha, ale i ja jej nie kocham. Oddziaływanie nasze wzajem na siebie jest w najlepszym razie oddziaływaniem dwóch pogańskich natur, wysoce artystycznych i zmysłowych. W niej gra także i miłość własna, ale to tem gorzej dla niej, bo w takiej grze można się zapamiętać i dojść tam, dokąd miłość prowadzi.

Ja nie zajdę za daleko. W uczuciach moich

dla niej niema wcale ani przywiązania, ani tkliwości, jest tylko zachwyt dla arcydzieła i pociąg, naturalny w mężczyźnie, gdy podziwiane arcydzieło jest żywą kobietą. Ojciec mówił, że szczytem zwycięstwa dla nas jest zmienić anioła w kobietę; ja sądzę, że nie mniejszym tryumfem dla mężczyzny byłoby uczuć owinięte koło swej szyi ciepłe ramiona florenckiej Wenus.

Pod tym względem ta kobieta jest ostatniem słowem tego, czego wyobraźnia najbardziej wyrafinowana i najbujniejsza może pożądać. Jest-to Fryne. Można stracić istotnie zmysły, gdy się ją widzi, naprzykład, w amazonce, tak opiętej, że wszystkie kształty jej ciała są prawie równie widoczne, jak kształty posągu. Na łodzi, czytając Danta, wygląda, jak Sybilla — i rozumie się wówczas świętokradzką namiętność Nerona! Jest tak piękna, że niemal złowroga w swej piękności. Tylko zrośnięte czarne brwi czynią z niej współczesną, dzisiejszą kobietę — ale drażnią tem więcej. Ma ona zwyczaj, poprawiając włosy, zakładać obie dłonie w tył głowy; wówczas ramiona jej się podnoszą, cała postać wygina się, pierś podaje się naprzód — i trzeba wysiłku woli, by jej nie porwać, nie

unieść na rękach i nie zanieść daleko od ludzkich oczu.

W każdym z nas siedzi ukryty Satyr. Co do mnie, jestem, jak powiedziałem, człowiekiem wyjątkowo wrażliwym — to też, gdy pomyślę, że między mną a tym żywym posągiem Junony zaczyna się coś dziać, że jakaś siła popycha nas nieubłaganie ku sobie, doznaję nieledwie zawrotu głowy i pytam się, co doskonalszego może mnie spotkać w życiu?

3 Kwietnia.

Ile tylko kobieta może okazać współczucia i troskliwości przyjacielowi, którego spotkała ciężka strata, tyle mi ich ona okazuje. A jednak, dziwna rzecz, dobroć ta sprawia mi wrażenie księżycowego światła: ma blask — bez ciepła; posiada wszystkie udoskonalone formy, tylko brak jej duszy; płynie z postanowienia, nie z natury. Mówi przezemnie znów sceptyk, ale ja się nigdy tak nie upoję, żebym miał w tem upojeniu zatracić nawet swą zdolność spostrzegawczą. Gdyby ta bogini była dobrą, byłaby dobrą dla wszystkich. Tymczasem — naprzykład stosunek jej z mężem nie pozostawia mi co do jej serca żadnych złudzeń. Nieszczęśliwy Davis ma

wprawdzie i krew tak wystygłą, że mu zimno nawet na skwarze słonecznym, ale też jakże mu zimno przy niej! Nie widziałem w niej nigdy iskry współczucia dla jego nędzy. Ona go po prostu nie widzi i nie uznaje. Ten milioner chodzi wśród przepychu, jaki go otacza, taki biedny, aż litość bierze. Jest on niby zobojętniały na wszystko, ale człowiek, póki ma choć trochę przytomności, odczuwa jednak dobroć. Najlepszym tego dowodem, iż Davis okazuje mi pewną wdzięczność za to tylko, iż czasem rozmawiam z nim o jego zdrowiu.

Może też kieruje nim ten bezwiedny pociąg, na mocy którego istota słaba i bezradna garnie się do silniejszej? Ja, istotnie, gdy widzę jego kredową twarz, nie większą od mojej pięści, jego nogi podobne do lasek, jego drobną postać, otuloną nawet w upały, ciepłym pledem, lituję się nad nim szczerze. Nie chcę wszelako nawet przed sobą udawać lepszego, niż jestem. To współczucie nie powstrzyma mnie od niczego. Kleń dlatego żyje, jak powiada Szekspir, aby stał się pastwą szczupaka. Uderzało mnie to nieraz, że gdy chodzi o kobietę, mężczyźni stają się względem siebie bezlitośni; jestto w nas szczątkowy instynkt zwierzęcy, nakazujący wal-

kę na śmierć i życie o samicę. W takiej walce, jakkolwiek przybrała ona między ludźmi odmienną postać, biada słabszym! Nawet honor nie jest w niej hamulcem; potępia ją bezwzględnie tylko jedna religia.

12 Kwietnia.

Nie pisałem blisko dziesięć dni. Przełom nastąpił już od tygodnia. Spodziewałem się z góry, że to będzie miało miejsce na morzu. Tego rodzaju kobiety, jak Laura, nawet w chwilach zapomnienia, nie zapominają o odpowiedniem tle. Jeżeli bowiem nawet dobre uczynki spełniają tylko dlatego, że im z tem pięknie, tembardziej potrzeba im piękna w upadku. Łączy się z tem zamiłowanie nadzwyczajności, które płynie nie z poezyi, tkwiącej w ich duszach, ale z chęci przyozdobienia się wszystkiem, co tylko może być ozdobą. Nie straciłem głowy tak dalece, abym miał zmienić swe zdanie o Laurze, lubo doprawdy, nie wiem, czy ona nie ma prawa być taką, jak jest i uważać, że nawet słońce i gwiazdy istnieją tylko dlatego, by mogła się w nie ubrać. Bezwzględna piękność musi być z natury rzeczy niezmiernym egoizmem, który podporządkowywa sobie wszystko.

Laura jest wcieleniem takiej piękności i nikt niema prawa wymagać od niej więcej nad to, by była zawsze i wszędzie piękna — ja przynajmniej nie wymagam więcej...

Błogosławię moją biegłość żeglarską, dzięki której w wycieczkach naszych na łodzi możemy być sami. Tydzień temu Laura powiedziała mi w czasie największego upału, że chce jechać na morze. Ona kocha się w skwarze słonecznym, jak Hekate. Lekki powiew odepchnął nas wkrótce dość daleko od brzegu i ucichł nagle. Łaciński nasz żagiel opuścił się wzdłuż masztu. Blaski słońca, odbijając się o wygładzoną, nakształt lustra, toń, powiększały jeszcze znój dnia, choć godzina była popołudniowa. Laura rzuciła się na indyjskie maty, wyścielające dno statku i wsparłszy głowę na poduszkach, pozostała bez ruchu, zanurzona w czerwcowem świetle promieni, przecedzonych przez baldachim łodzi. Opanowało mnie dziwne lenistwo, a jednocześnie, na widok tej kobiety, której greckie kształty rysowały się pod lekką odzieżą, przejmował mnie dreszcz zachwytu. I w niej była jakaś ociężałość; oczy miała zamglone, usta wpół otwarte, w całej postaci niemoc i bezwładność. Gdym ogarniał ją

wzrokiem, przymykała powieki, jakby mi chciała powiedzieć: «Otom jest słaba...»

Późno bardzo wróciliśmy do willi i ten nasz powrót pozostanie mi długo w pamięci. Po zachodzie słońca, w czasie którego niebo i morze stopiły się w jeden blask bez granic i rozdziału, nastała noc tak cudna, że drugiej podobnej nie widziałem nigdy na Rywierze. Z toni podniósł się ogromny czerwony księżyc i nasycił ciemności łagodnem światłem, a zarazem rzucił na morze lśniący, szeroki gościniec, po którym płynęliśmy do brzegu. Morze wzdymało się lekko zwykłym nocnym ruchem, podobnym do głębokich westchnień. Z małego portu dochodziły nas głosy ligurskich rybaków, śpiewających chórem pieśni. Powiew wstał znowu, ale szedł od lądu, niosąc zapach pomarańczowego kwiatu. Jakkolwiek nie umiem zatopić się całkowicie w żadnem wrażeniu, byłem jednak pod czarem owej niezmiernej słodyczy, unoszącej się nad lądem i nad morzem, osiadającej, jak rosa na przedmiotach i na duszach. Chwilami patrzyłem na tę piękną, jak Helena, kobietę, która bieliła się przedemną w świetle księżyca i miałem złudzenie, że żyjemy w greckich czasach, że płyniemy gdzieś do świętych gajów oliwnych, w któ-

rych spełniają się tajemnice Eleuzyjskie. Uniesienia nasze wydawały nam się nietylko porywem zmysłów, ale jakimś kultem, jakimś mistycznym związkiem z tą nocą, z tą wiosną, z całą naturą.

15 Kwietnia.

Przyszedł termin naszego wyjazdu, ale nie wyjeżdżamy. Moja Hekate nie boi się słońca; Davisa ono leczy, a mnie tak samo będzie w Szwajcaryi, jak jest tu. Przychodzi mi dziwna myśl do głowy; nieco się przed nią wzdragam, ale wypowiadam ją otwarcie: oto wydaje mi się czasem, że dusza chrześcijanina, choćby w nim źródło wiary wyschło zupełnie, nie może żyć samą pięknością formy. Jestto dla mnie wprost smutne odkrycie, bo jeśli się sprawdzi, wówczas usunie mi z pod nóg ten grunt, na którym stoję obecnie. Ta myśl mi jednak wraca. My jesteśmy ludzie innej kultury. Dusze nasze mają pełno gotyckich strzelistości i załamań, których się nigdy nie pozbędą, a których nie miały dusze greckie. Nasze piętrzą się instynktownie ku górze, ich — rozciągały się z pogodą i prostotą nad ziemią. Ci z nas, w których kołacze się silniej, niż w innych, duch

Hellady, potrzebują wprawdzie piękności do życia i poszukują jej skwapliwie, ale i ci jednak bezwiednie żądają, by Aspazya miała oczy Beatryczy Danta. Podobne żądania tkwią i we mnie. Gdy sobie pomyślę, że to przepyszne zwierzę ludzkie — Laura — należy do mnie i będzie należało, póki zechcę, ogarnia mnie zupełna i podwójna radość: mężczyzny i czciciela piękna; a jednak czegoś mi brak i czegoś mi duszno. Na ołtarzu mojej świątyni greckiej stoi marmurowa bogini — ale mój gotyk jest pusty. Uznaję, że spotkało mnie coś, graniczącego niemal z doskonałością, nie mogę tylko obronić się myśli, że ta doskonałość wlecze za sobą cień. Sądziłem dawniej, że Goethowskie słowa: «Będziecie podobni bogom i zwierzętom» — ogarniają życie i są ostatnim wyrazem jego mądrości; teraz oto, gdy przykazanie to spełniam, czuję, że w niem brak anioła.

17 Kwietnia.

Davis znalazł mnie dziś siedzącego na taburecie u nóg Laury, z głową opartą o jej kolana. Z jego bezkrwistej twarzy i przygasłych oczu nie zszedł, ani na sekundę, wyraz obojętnego przygnębienia. W swoich miękkich pan-

toflach, zahaftowanych indyjskiemi słońcami, przesunął się cicho, jak duch, i wszedł do przyległej biblioteki. Laura była wspaniała, gdy jej źrenice zaświeciły niepohamowanym gniewem. Ja, podniósłszy się, czekałem, co nastąpi. Przyszło mi do głowy, że Davis wyjdzie może z biblioteki z rewolwerem w ręku. Miałem zamiar wyrzucić go w takim razie przez okno, razem z jego pledem, rewolwerem i indyjskimi pantoflami. Ale nie wyszedł. Czekałem długo i napróżno. Nie wiem, co tam robił; czy rozmyślał nad swoją nędzą, czy płakał, czy też pozostał zupełnie obojętny. Zeszliśmy się we troje dopiero przy śniadaniu i siedzieliśmy, jak gdyby nic nie zaszło. Może przez wyobraźnię tylko zdawało mi się, że Laura ciska na niego groźne spojrzenia, w apatyi zaś jego jest jakiś wyraz boleśniejszy, niż zwykle. Wyznaję, że takie rozwiązanie sprawy było mi bardziej przykre, niż każde inne. Twarz tę widziałem przez cały dzień i teraz oto staje przedemną, jak niemy wyrzut. Nie jestem zawadyaką, ale gotów jestem odpowiadać za to, co czynię; ostatecznie jestem szlachcicem i wolałbym, żeby ten człowiek nie był takim małym, chorym, bezbronnym, słowem: takim nieszczęśliwym cherlakiem.

Doznaję paskudnego uczucia, jak gdybym wypoliczkował paralityka — i rzadko kiedy czułem do siebie taki niesmak.

Pojechaliśmy jednak, jak zwykle, na morze, nie chciałem bowiem, by Laura myślała, że nie śmiem tego uczynić ze względu na Davisa; ale tam po raz pierwszy zaszło między nami nieporozumienie. Wyspowiadałem się jej z moich skrupułów, gdy zaś zaczęła je wyśmiewać, powiedziałem jej wprost:

— Nie jest ci do twarzy z tym śmiechem, a pamiętaj, że wolno ci wszystko czynić, z wyjątkiem tego, co ci nie do twarzy.

Wówczas ona zmarszczyła swoje zrośnięte brwi i odrzekła z goryczą:

— Po tem, co między nami zaszło, jeszcze bezkarniej możesz ubliżać mnie, niż Davisowi.

Wobec tego rodzaju wymówki nie pozostawało mi nic, jak ją przeprosić, to też wkrótce zapanowała między nami zgoda i Laura poczęła mówić o sobie. Miałem raz jeszcze dowód jej bystrości. Wogóle, ile znałem kobiet, wszystkie w pewnych warunkach okazywały nieprzezwyciężoną chęć opowiadania swoich dziejów. Nie biorę im tego za złe, bo dowodzi mi to tylko, że odczuwają one potrzebę usprawiedliwie-

nia się we własnych i naszych oczach, której my nie odczuwamy zupełnie. Swoją drogą, nie spotkałem nigdy kobiety. ani tak rozumnej, by w owych wyznaniach zachowała odpowiednią artystyczną miarę, ani tak prawdomównej, by nie pozwoliła sobie kłamać dla lepszego usprawiedliwienia siebie. Powołuję się w tem na świadectwo wszystkich mężczyzn, którzy przy sposobności mogą zarazem potwierdzić, że podobne dzieje upadku są zawsze bajecznie do siebie podobne, zatem niepospolicie nudne. Laura poczęła mówić o sobie także z pewnem skwapliwem zadowoleniem, ale na tem ograniczyło się jej podobieństwo do innych upadłych aniołów. W tem, co mi mówiła, było może nieco pozy na oryginalność — żadnej na ofiarę. Wiedząc, że ma przed sobą sceptyka, nie chciała narażać się na pobłażliwy uśmiech niedowiarstwa. Szczerość jej graniczyła z zuchwałością, a graniczyłaby niemal z cynizmem, gdyby nie była swego rodzaju życiowym systemem, w którym estetyka zastępowała całkowicie etykę. Wolała, żeby życie jej miało kształty Apollina, niż garby poliszynela — oto jej filozofia! Za Davisa poszła nie wprost dla jego milionów, ale dlatego, żeby za pomocą ich uczynić sobie życie, o ile w mocy

ludzkiej, ozdobne, i to nie w pospolitem, ale w najwyższem, artystycznem znaczeniu tego słowa. Zresztą, nie poczuwa się względem męża do żadnych obowiązków, bo go z góry o wszystkiem uprzedziła; ma dla niego tyle samo litości, ile wstrętu — ponieważ zaś jest zupełnie na wszystko obojętny, więc nie potrzebuje się z nim więcej liczyć, niż jak gdyby już umarł. Dodała przytem, że wogóle nie liczy się z niczem, co sprzeciwia się piękności i ozdobie życia. Względy towarzyskie malo ją obchodzą i myliłbym się, gdybym sądził inaczej. Ojcu memu okazywała przyjaźń nie dla jego stosunków, ale dlatego, że widziała w nim arcydzieło natury. Mnie kochała oddawna. Rozumie, że więcejbym ją cenił, gdybym ją trudniej zdobył, ale nie chciała targować się z własnem szczęściem.

Dziwne wrażenie robiły na mnie tego rodzaju zasady, wygłaszane przez te cudne usta, głosem miękkim, pogodnym, pełnym metalicznych drgań. Mówiąc, ogarniała suknię wokół swych nóg, jakby chcąc zrobić obok miejsce dla mnie. Chwilami goniła oczyma przelatujące mewy, to znów zwracała je na moją twarz, ciekawa, co na niej wyczyta. Ja słuchałem z zadowoleniem

jej słów, stanowiły bowiem dowód, żem tę kobietę odgadł. Było jednak w nich i coś zupełnie dla mnie nowego. Oto, mimo całego uznania, jakie miałem dla jej rozumu, sądziłem, że czyny jej są więcej instynktowe, że płyną przeważnie z jej natury; nie przypuszczałem, żeby była zdolną wymyśleć cały system dla poparcia i usprawiedliwienia popędów swojej natury. Poniekąd uszlachetniło ją to w moich oczach, okazało się bowiem, że tam, gdzie ja podejrzewałem ją o rozmaite płaskie wyrachowania, ona postępowała tylko zgodnie ze swą zasadą — być może, złą i nawet straszną — ale, bądź co bądź, zasadą. Zdawało mi się naprzykład, że ma ukryty zamiar wyjść za mnie po śmierci Davisa — teraz dowiodła mi, że byłem w błędzie. Sama zaczęła o tem mówić. Wyznała, że gdybym zażądał jej ręki, prawdopodobnie nie miałaby siły odmówić, bo mnie więcej kocha, niż myślę (tu, jakom żyw, widziałem ciepły rumieniec, oblewający jej twarz i szyję); wie jednak, że to nigdy nie nastąpi; jest pewna, że prędzej później opuszczę ją z lekkiem sercem, ale cóż stąd? Oto pogrąża ręce w wodzie i czuje chłód rozkoszny: czy dlatego ma się pozbawiać

tej rozkoszy, iż wie, że za chwilę słońce wypije chłodną wilgoć z jej rąk?

Tak mówiąc, przechyliła się przez łódź, przyczem tors jej zarysował się w całej swojej niepokalanej doskonałości — i zanurzywszy dłonie, wyciągnęła je następnie ku mnie, mokre, zaróżowione, przeświecające słońcem.

Więc pochwyciłem te mokre dłonie — ona zaś, jakby do wtóru moim wrażeniom, ozwała się słodkim, pieściwym głosem:

— Pójdź!...

20 Kwietnia.

Wczoraj nie widziałem Laury cały dzień, bo była niezdrowa. Przeziębiła się, siedząc do późna na balkonie, następnie przeziębienie przeszło w ból zębów. Co za nuda! Na szczęście, jeszcze onegdaj wieczór przyjechał do Davisa doktór, który odtąd zostanie stale przy nim; inaczej, nie miałbym do kogo słowa przemówić. Jestto młody Włoch, podobny do kawałka węgla, mały, czarny, z ogromną głową i bystremi oczyma. Wydaje się bardzo inteligentny. Widocznie zaraz pierwszego wieczora rozpatrzył się w położeniu i panujących między nami stosunkach, następnie znalazł wszystko naturalnem,

i bez wahania uznał we mnie właściwego pana domu. Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu, gdy przyszedłszy dziś rano, spytał mnie, czy może «panią hrabinę» widzieć i zapisać jej lekarstwo. W tym kraju panują oryginalne obyczaje. Wszędzie gdzieindziej, gdy na zamężną kobietę pada podejrzenie, że należy do kogo innego, cały świat urządza na nią jedną wielką obławę, często pełną bezmyślnego okrucieństwa. Tu przeciwnie: panuje taka cześć dla miłości, że wszyscy stają natychmiast po jej stronie i poczynają spiskować na korzyść zakochanych. Powiedziałem Włochowi, że zapytam panią hrabinę, czy zechce go widzieć. Jakoż dziś, po śniadaniu, wtargnąłem do buduaru Laury. Przyjęła mnie niechętnie, bo twarz ma nieco nabrzmiałą i nie chciała, bym ją w tym stanie widział. I rzeczywiście, widok jej przypomniał mi moje dawne lekcye rysunków. Zauważyłem wówczas, że portretując twarz nowożytną, można popełniać różne niedokładności, nawet to i owo zmienić — a jednak, byle został wyraz, byle została idea twarzy, podobieństwo nic na tem nie traci. Inna rzecz przy przerysowywaniu antyków: lada niedokładna linia, lada zboczenie, burzy harmonię twarzy i czyni ją inną. Teraz miałem

tego przykład na Laurze. Obrzmienie jej twarzy było bardzo małe, zresztą prawiem go nie widział, bo obracała się uparcie do mnie zdrowym profilem; ale, że oczy miała cokolwiek zaczerwienione i powieki nieco cięższe, niż zwykle, nie była to już ta sama, doskonała w swej harmonii twarz — i daleko jej było do codziennej piękności. Oczywiście, nie dałem Laurze tego poznać, ale ona przyjmowała moje pieszczoty z jakimś niepokojem, zupełnie tak, jakby ją dręczyły wyrzuty sumienia. Widocznie, wedle jej zasad, fluksya jest śmiertelnym grzechem.

Szczególne, bądź co bądź, zasady! Ja także mam, niewątpliwie duszę starożytnego Greka, ale poza poganinem, jest przecie we mnie jeszcze i coś więcej. Laura może być z czasem bardzo nieszczęśliwa ze swoją filozofią. Rozumiem jeszcze, że można uczynić sobie religię z piękności w ogóle, ale czynić ją sobie z piękności własnej, jestto przygotowywać sobie nieszczęście. Co mi za religia, którą jedna fluksya podrywa, a którą pryszczyk na nosie jest mocen zburzyć do cna?

25 Kwietnia.

Trzeba jednak jechać do Szwajcaryi, bo upały zaczynają być trudne do wytrzymania. Przy-

tem od czasu do czasu, przychodzi Siroko, nakształt gorączkowego tchnienia z Afryki. Morze chłodzi wprawdzie ten oddech pustyni, jest on jednak bardzo przykry.

Davisowi szkodzi Siroko niezmiernie. Doktor pilnuje go teraz, by się nie morfinizował, bywa więc chwilami rozdrażniony do najwyższego stopnia, chwilami wpada w zupełną odrętwiałość. Ale zauważyłem, że nawet w napadach rozdrażnienia boi się i Laury i mnie. Kto wie, czy w mózgu tego pół-waryata nie poczyna powstawać mania prześladowcza i czy nie nurtuje go już podejrzenie, że chcemy go zabić lub utopić. Wogóle stosunek do niego jest dla mnie jedną z najciemniejszych stron mojej roli. Mówię: jedną, bo zdaję sobie doskonale sprawę, że jest i wiele innych. Nie byłbym chyba sobą, gdybym nie spostrzegł, że bądź co bądź dusza moja nietylko gnuśnieje, ale się szybko i stanowczo psuje w ramionach tej kobiety. Nie umiem nawet wypowiedzieć, ile obrzydzenia, goryczy i wyrzutów sprawiała mi z początku myśl, że zanurzyłem się w tę topiel uciech i zmysłowych uniesień tak bezpośrednio, tak zaraz po śmierci ojca. Oburzało się na to zarówno moje sumienie, jak delikatność moich uczuć, którą niezaprzeczenie po-

siadam. Było mi to tak przykre, że nie mogłem o tem pisać. Dziś zobojętniałem. Czasem sobie powtarzam wyrzuty, myślę o nich, ale naprawdę ich nie odczuwam.

O Anielce staram się zapomnieć, bo wspomnienie jej nuży mnie, a raczej nie mogę ze sobą trafić do ładu, gdy rozpamiętywam ten płoszowski epizod z mego życia. Raz wydaje mi się, żem jej nie wart; drugi raz, że byłem osłem i odgrywałem poprostu śmieszną rolę przy tej dziewczynie, podobnej do tuzina innych. Drażni to moją miłość własną, skutkiem czego uczuwam jakby urazę do Anielki. Bywa tak, że jednej godziny mam jakowąś niesmaczną świadomość moich win względem Anielki, w drugiej wydają mi się te winy głupie i dziecinne. Wogóle nie zgadzam się na siebie takiego, jakim byłem w Płoszowie, ale też nie zgadzam się i na takiego, jakim jestem obecnie. Zatraca się we mnie w pewnym stopniu poczucie różnicy między złem i dobrem, a co więcej, różnica ta staje mi się obojętną. Płynie to z jakiejś gnuśności ducha — z drugiej strony jednak, gnuśność ta przychodzi mi na ratunek, gdy bowiem rozterki wewnętrzne zmęczą mnie, ona odpowie: «Przypuśćmy, że jesteś gorszy, niż byłeś — więc cóż z tego? Dla-

czego masz męczyć się z jakichkolwiek powodów?»

Następnie, widzę w sobie jeszcze jedną zmianę. Stopniowo przyzwyczaiłem się nawet i do tego, co z początku tak drażniło mój honor — i policzkuję już teraz, mniej więcej obojętnie, paralityka. Spostrzegłem od kilku dni, że pozwalam sobie jednak na tysiące rzeczy, na które nigdybym się nie ośmielił, gdyby Davis, zamiast być takim fizycznym i umysłowym Łazarzem, był tęgim, umiejącym bronić swej czci i własności człowiekiem. Nie zadajemy już sobie teraz trudu jeżdżenia na morze... Wprost nie przypuszczałem, żeby moja drażliwość mogła i pod tym względem tak stępieć. Łatwo mi wprawdzie powiedzieć sobie: co mnie ten marny lewantyńczyk może obchodzić? — ale, dalibóg, nie mogę natomiast obronić się często myśli, że moja czarnowłosa bogini, z brwiami Junony, właściwie nie Juno ma na imię, ale Cyrce i że dotknięcie jej zmienia ludzi — jakby tu najmitologiczniej powiedzieć? — na wychowańców Eumeja.

A gdy zadaję sobie pytanie, w czem to leży, odpowiedź równa się bankructwu wielu moich poprzednich poglądów. Oto miłość nasza jest miłością poprostu skóry, nie duszy. Wraca mi cią-

gle myśl, że nowożytny człowiek nie może na tem poprzestać. Byliśmy z Laurą podobni tylko bogom i zwierzętom, a nigdy ludziom. Właściwie nie można nawet naszych uczuć nazwać miłością, bo jedno dla drugiego jest tylko pożądaną, bynajmniej zaś nie drogą istotą. Gdyby Laura była inna i gdybym ja był inny, moglibyśmy być stokroć szczęśliwsi, ale obecnie nie miałbym tego poczucia, że dochodzę do Eumejowego schroniska. Rozumiem, że miłość, która chce być tylko duchem, zostanie tylko cieniem; ale ogołocona zupełnie z ducha, staje się tylko upodleniem. Inna sprawa, że ludzie, dotknięci różczką Cyrce, mogą znaleźć smak w upodleniu.

Aż mi dziwno i smutno, mnie, człowiekowi typu heleńskiego, pisać takie rzeczy! Ale ogarnia mnie sceptycyzm względem mojej Hellady; poczynam wątpić, czy można żyć przeżytemi formami życia, że zaś jestem zawsze szczery, więc piszę, co myślę.

30 Kwietnia.

Wczoraj spadł na mnie list ciotki. Odesłano mi go z Rzymu. Datowany jest temu dwa tygodnie i nie rozumiem, dlaczego przetrzymano go tak długo w Casa Osoria. Ciotka jest pewna,

żem był w Korfu, ale domyśla się, żem musiał już wrócić i pisze mi, co następuje:

«Oczekujemy wiadomości od ciebie z wielkiem utęsknieniem i niepokojem. Ja, stara, wrosłam już silnie w ziemię i byle wiatr nie potrafi mną zachwiać, ale na Anielkę aż żal patrzyć. Ona widocznie wyglądała listu od ciebie z Wiednia lub z Rzymu, a gdy nie nadchodził, poczęła się niepokoić. Potem, jak wiesz, przyszła śmierć twego ojca. Mówiłam umyślnie głośno przy Anielce, że teraz nie możesz o niczem innem myśleć, jak o swej stracie, ale że po kilku tygodniach otrząśniesz się z odrętwiałości i wrócisz do życia czynnego. My z Anielką nie mówimy niby otwarcie, a doskonale się rozumiemy. Widziałem też, że się bardzo uspokoiła. Lecz gdy upłynął miesiąc, a ty nie dałeś nawet znać o sobie, znowu poczęła się trapić, głównie o twoje zdrowie, ale pewnie i dlatego, żeś tak o nas zapomniał. Ja także byłam niespokojna i pisałam kilkakrotnie na Korfu, poste restante, tak, jakeśmy się umówili. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, próbuję pisać do twego domu w Rzymie, bo myśl, że możesz być chory, zatruwa nam życie. Napisz choć kilka słów — a przedewszystkiem otrząśnij się, mój drogi Leonie,

z apatyi i pocznij być sobą. Będę z tobą otwarta. Do zmartwień Anielki przyczynia się i to, że ktoś nagadał tu jej matce, jako w całym świecie znany masz być ze swoich bałamuctw. Wyobraź sobie moje oburzenie! Celina w desperacyi powtórzyła to córce i teraz jedna ma ciągłą migrenę, drugie biedactwo pobladło, wychudło i zmieniło się tak, aż litość bierze. A kochane to stworzenie i dobre zawsze, jak anioł! Udaje wesołą, żeby matki nie martwić, ale ja widzę doskonale, co się z nią dzieje i serce mi się kraje. Mój najdroższy chłopcze, ja także nie mówiłam z tobą o tem w Rzymie, przez uszanowanie dla twej boleści, ale takie nieszczęście, to przecie wola Boska, z którą trzeba się zgodzić i nie opuszczać się w życiu. Czy nie mógłbyś nam napisać jakiego słowa, któreby nas uspokoiło? Zlituj się nad dziewczyną. Ja nie ukrywam przed tobą, że najmocniej życzę sobie, abyście się, po upływie twej żałoby, mogli połączyć, choćby za rok lub dwa, bo podług mnie, Anielka, to feniks. Ale doprawdy, gdyby nawet miało być inaczej, to i w takim razie byłoby lepiej, gdybyś jakim sposobem dał nam to poznać. Ty wiesz, że ja nie przesadzam nigdy i jeśli ci o tem piszę, to dlatego, że istotnie obawiam się

o zdrowie Anielki. Trzeba ci przytem wiedzieć, że chodzi o całą jej przyszłość. Kromicki począł coraz częściej te panie odwiedzać, i oczywista rzecz, że on ma jakieś zamiary. Chciałam go, bez długich zachodów, po swojemu, przepędzić, tembardziej, że podejrzewam, iż to on nagadał o twoich bałamuctwach, ale Celina zaklinała mnie, bym tego nie czyniła. Ona zupełnie jest zdesperowana i nic a nic nie liczy na twoje przywiązanie do Anielki. Cóż więc miałam robić? A nuż ona ma prawdziwe macierzyńskie przeczucie? Odpisuj-że, mój Leonie, jak najprędzej, a zarazem przyjmij uściśnienia i błogosławieństwo starej kobiety, która ma jednego ciebie na świecie. Anielka chciała w swoim czasie pisać do ciebie z kondolencyą, ale Celina jej nie pozwoliła, o co się z nią wykłóciłam. Celina jest najlepsza kobieta, ale często mnie gniewa. Ukłony i serdeczne pozdrowienie od wszystkich. Młody Chwastowski zakłada u nas browar. Miał coś swoich pieniędzy, a reszty mu dopożyczyłam».

W pierwszej chwili zdawało mi się, że list ten nie robi na mnie wrażenia; następnie począłem chodzić po pokoju i poznałem, że się mylę. Wrażenie zwiększało się z każdą minutą

i w końcu stało się bajeczne. Po upływie godziny powiedziałem sobie ze zdziwieniem: «Co u licha, ja przecie o niczem innem nie myślę!» Rzecz zadziwiająca, z jaką szybkością ogarniały mnie najrozmaitsze uczucia, przelatujące jedno po drugiem, zupełnie jakby je wiatr przeganiał na podobieństwo chmur. Do jakiego jednak stopnia jestem człowiekiem nerwowym! Naprzód chwyciło mnie rozczulenie nad Anielką. To wszystko, com niedawno jeszcze czuł dla niej, a co było jak gdyby zatajone w jakichś szczelinach mojej duszy, wyszło nagle, nakształt oparu, na jej powierzchnię. Jechać, uspokoić, utulić, uszczęśliwić — oto był pierwszy odruch, pierwszy pęd serca, daleki od jasno sformułowanej woli, ale nadzwyczaj silny. A gdym wyobraził sobie jej załzawione oczy, jej ręce w moich rękach, ów pociąg zmysłów, jaki czułem do niej, zmartwychwstał z całą mocą. Potem przebiegło mi przez myśl porównanie jej z Laurą, które musiało wypaść fatalnie dla Laury. Na razie, takie życie, jakie tu wiodłem, stanęło mi kością w gardle. Uczułem potrzebę czystszego powietrza, niż to, którem tu oddycham i ciszy i słodyczy i zwłaszcza: prawości uczuć. Jednocześnie opanowała mnie radość, że nic niema stra-

conego, że wszystko da się naprawić i że zależy to jedynie od woli mojej. Nagle przyszedł mi do głowy Kromicki i matka Anielki, która, nie wierząc we mnie, widocznie stanęła po jego stronie. Na myśl o nich, porwał mnie gniew, który rosnąc stopniowo, stłumił wszystkie inne uczucia. Im bardziej rozum mój przyznawał, że pani Celina ma wszelką słuszność nie liczyć na mnie, tem głębszą czułem do niej urazę, że sobie na taką niewiarę pozwoliła. W końcu doszedłem do jakiejś desperackiej złości przeciw sobie i wszystkim. Wszystko, com myślał i czuł, dało się zamknąć w tych kilku słowach: «Dobrze, niechże tak będzie!»

List przyszedł wczoraj; dziś analizując się spokojniej, stwierdzam wprost ze zdumieniem, że ta uraza tak głęboko zapadła mi w duszę, iż oto w tej chwili jest raczej większą, niż mniejszą. Obecnie jestto uczucie, panujące we mnie. Mówię sobie wszystko, co może sobie człowiek, trzeźwo myślący, powiedzieć, a jednak nie mogę tego Kromickiego przebaczyć nietylko matce, ale i Anielce. Bo ostatecznie Anielka potrafiłaby jednem słowem zamknąć mu drogę do Płoszowa, jeśli zaś tego nie czyni, to jest z jej strony ustępstwo dla matki, czyli, że mnie poświęca jej mi-

grenom. Zresztą, ten Kromicki zniża w moich oczach Anielkę, szpeci ją, sprowadza ją do tego płaskiego typu panny na wydaniu. Nie mogę o tem mówić spokojnie.

Być może, iż rozumuję i czuję, jak człowiek zbyt rozdrażniony; być może, iż moja miłość własna jest rozrośnięta nad miarę; przyznaję, widzę, umiem patrzyć na siebie, jak ktoś obcy, ale to zdwojenie nic nie pomaga. Rozgoryczam się i rozdrażniam coraz więcej. Samo pisanie o tem męczy moje nerwy — więc urywam.

1 Maja.

W nocy myślałem: «Może jutro będę spokojniejszy!» Gdzietam! Wyradza się we mnie wprost zawziętość przeciw matce Anielki, przeciw Anielce, ciotce i sobie samemu. Trzeba umieć stosować wiatr do wełny jagnięcia, a nie obliczono, że moja jest dyablo cienka. Albo mi tu nie dobrze w Peli? Laura jest, jak jedna bryła marmuru. Przynajmniej się przy niej nie męczę, bo poza pięknością niema w niej nic. Ale dosyć mam tych przerafinowanych, tkliwych dusz. Niech je Kromicki pociesza.

2 Maja.

Sam dziś odniosłem list na pocztę. Treść listu była taka: życzę panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim. Chciała ciotka stanowczej odpowiedzi, to ją ma.

3 Maja.

Przyszło mi do głowy, czy wzmianka o Kromickim w liście ciotki nie była dyplomacyą kobiecą, czy to nie miała być ostroga dla mnie? Jeśli tak, to winszuję ciotce zręczności i znajomości ludzi.

10 Maja.

Upłynął tydzień. Nie pisałem, bom chodził, jak zaczadzony. Napada też mnie ciągle ogromna zgryzota i żal. Anielka nie była i nie jest mi obojętna. Przychodzą mi na myśl słowa Hamleta: «Kochałem Ofelię, jakby jej nie kochało czterdzieści tysięcy braci!» Zmieniłbym tylko ten wykrzyk tak: «Kochałem Anielkę więcej, niż czterdzieści tysięcy Laur!» I trzeba, że to z moich rąk spada na nią zło! Migoce mi chwilami pociecha, że właśnie połączenie się z takim człowiekiem, jak ja, byłoby dla niej złem —

ale to nieprawda! Gdybym ją raz miał, byłbym dla niej dobry. Truje mnie tylko podejrzenie, że może wystarczy jej i Kromicki.

Gdy o tem myślę, znów zaczyna się we mnie wszystko burzyć i gotówbym wysłać drugi taki list.

Stało się! — to jedyna pociecha dla ludzi takich, jak ja, bo mogą założyć ręce i gnuśnieć po dawnemu. Może to dowód wyjątkowej słabości, ale znajduję pewną ulgę w tem słowie.

Mogę już rozmyślać spokojniej.

Stukam się więc w głowę i zadaję sobie pytanie, jakim sposobem przyszło do tego, że człowiek, który nietylko się chełpi nadzwyczaj rozwiniętą świadomością siebie, ale rzeczywiście ją ma — przez kilka dni działał tylko za pomocą odruchów? Do czego więc służy samowiedza, jeśli przy pierwszem lepszem wzburzeniu nerwów ucieka w jakieś zakamarki mózgowe i pozostaje biernym świadkiem odruchowych czynów? Do zbadania się *post factum?* Nie wiem, co mi z tego przyjdzie, ale ponieważ nie pozostaje mi już nic innego do roboty, niechże mam z niej choć ten pożytek. Więc dlaczegom postąpił tak, jak postąpiłem? Chyba dlatego, że jestem wprawdzie człowiekiem inteligentnym, może

nawet bardzo inteligentnym (niech mnie piorun trzaśnie, jeśli mam zamiar pochlebiać sobie, lub się chwalić!) — ale nie jestem człowiekiem rozumnym. Nie posiadam zwłaszcza spokojnego męskiego rozumu. Nerwów swoich nie trzymam na wodzy, jestem przeczulony; raniłby mnie — wedle wyrażenia poety — nawet listek róży, złożony we dwoje. Jest coś kobiecego w mojej inteligencyi. Być może, iż nie stanowię pod tym względem wyjątku i że wielu ludzi, noszących spodnie, należy, przedewszystkiem u nas, do tego samego typu. Mała stąd dla mnie pociecha. Tego rodzaju umysł może dużo rzeczy rozumieć, ale źle się nim człowiekowi kierować w życiu: rzuca się on niespokojnie, waha, nadto przecedza każdy zamiar, wreszcie zatraca się wśród krzyżowych dróg. Skutkiem tego zmniejsza zdolność do czynu, a pozwala się rozwijać słabości charakteru, która u nas jest wadą wrodzoną i powszechną. Oto stawiam sobie naprzykład nowe pytanie: gdyby nie było w liście ciotki wzmianki o Kromickim, czy w takim razie rozwiązanie sprawy byłoby inne? I dalibóg, nie śmiem odpowiedzieć: tak! Nie byłoby tak szybkie — to pewna — ale kto wie, czy pomyślniejsze. Słabe charaktery potrzebują nieskończonych ułatwień;

tylko potężne dusze znajdują w oporze bodziec. Laura, która pod pewnymi względami jest przenikliwa, jak piżmo, prawdopodobnie zrozumiała to i może dlatego była tak — łaskawą.

Nakoniec, co z tego wypada? Czy jestem safandułą? Bynajmniej! Człowiek, który sobie nie szczędzi prawdy, nie oszczędziłby i tego wyznania — ale bynajmniej!... Czuję, że mógłbym pojechać bez żadnych namysłów do bieguna, albo zostać misyonarzem i iść w głąb' Afryki; posiadam pewną czupurność, pewną odziedziczoną odwagę i byłbym zdolny do wszelkiego rodzaju śmiałych zamiarów, ryzykownych przedsięwzięć. Temperament mam żywy, ruchliwość nie tak wielką, jak naprzykład Śniatyński — ale niepomierną.

Tylko, gdy chodzi o rozwiązanie jakiegokolwiek zadania życiowego, sceptycyzm mój czyni mnie bezsilnym, umysł gubi się w spostrzeżeniach, wywodach, wola niema się na czem oprzeć — i czyny moje zależą po części od wypadków zewnętrznych.

12 Maja.

Laury nie lubiłem nigdy, chociaż byłem i dotąd jeszcze jestem pod jej fizycznym urokiem.

Może to się wydaje na pierwszy rzut oka dziwne, w istocie rzeczy jest jednak zjawiskiem dość pospolitem. Można nawet kochać i nie lubić. Ileż razy zdarzało mi się widzieć miłość gorzką, zgryźliwą, pełną uraz, dlatego właśnie, że nie była podszyta lubieniem. Wspomniałem już, zdaje mi się, o tem, że Śniatyńscy nietylko się kochają, ale się ogromnie lubią; dlatego im ze sobą dobrze... Ah! czuję, że i jabym lubił Anielkę i że byłoby nam również dobrze... Lepiej o tem nie mówić!... Co do Laury, ta mogła spotkać wielu ludzi, którzy na zabój kochali się w jej czarnych włosach, w jej posągowych kształtach, w jej brwiach, głosie, spojrzeniu, noszeniu głowy etc., jestem jednak pewny, że jej nikt nigdy nie lubił. Szczególna ta kobieta pociąga prawie nieprzeparcie, ale jednocześnie odpycha. Powiedziałem, że po za pięknością niema w niej nic, bo i jej niezwykła inteligencya, to tylko pierwsza niewolnica, klęcząca u nóg jej piękności i zawiązująca jej koturny. Nie dalej, jak tydzień temu, widziałem Laurę, dającą jałmużnę dziecku rybaka, który się niedawno utopił, i pomyślałem sobie tak: gdyby wiedziała, że jej będzie piękniej powykłuwać oczy temu dziecku, toby je powykłuwała z całym spoko-

jem i słodyczą. Takie rzeczy się czuje — i oto dlaczego można dla tej kobiety stracić głowę, ale niepodobna jej lubić. Ona zaś wszystko rozumie, prócz tego.

Ale za to jaka piękna. Gdy kilka dni temu schodziła ze schodów willi do ogrodu, kołysząc się na swoich przepysznych biodrach — «myślałem, że padnę», jak powiada Słowacki. Stanowczo jestem pod wpływem dwóch sił, z których jedna przyciąga, druga odpycha. Chcę jechać do Szwajcaryi i chcę zarazem wracać do Rzymu. Na czem się skończy, nie wiem. Ribot słusznie powiada, że *chcę*, to tylko stan świadomości, nie akt woli; tem mniej jest aktem woli podwójne *chcę*. Odebrałem list od mego notaryusza, wzywający mnie do Rzymu w sprawie spadku; są tam jakieś formalności do załatwienia, przy których zresztą możeby się bezemnie i obyło, gdybym koniecznie pragnął nie jechać... Ale zawsze to pozór... Od pewnego czasu nie lubię Laury więcej, niż dawniej. Ona sama nie przyczyniła się w niczem do tego, bo ona zawsze jednaka, tylko stało się to, że niezadowolenie z siebie samego przeniosłem na nią. W czasie moich rozterek wewnętrznych, szukałem przy niej tylko spokoju, lecz zarazem jakby umyśl-

nego poniżenia; teraz czuję za to do niej niechęć. O tych moich burzach ona ani nawet wiedziała. Co ją mogły obchodzić, skoro nie nadawały się jej do zrobienia ozdoby? Zauważyła tylko, że jestem jakiś gorączkowy i bardziej porywczy, niż zwykle; trochę pytała o przyczyny, ale bez zbytniego nalegania.

Być może, iż pociąg, jaki mam do niej, zwycięży, że nie wyjadę, ale w każdym razie powiem jej jutro lub jeszcze dziś, że muszę wyjechać. Ciekawy jestem, jak przyjmie tę wiadomość — i tem ciekawszy, że nie umiem sobie tego dobrze wyobrazić. Podejrzewałem, że po za całem uczuciem dla mnie, podobnem zresztą do mego dla niej, ona także mnie nie lubi — naturalnie, jeśli zadaje sobie trud lubienia lub nielubienia kogokolwiek. Dusze nasze mają dużo podobieństwa, ale mają i tysiące sprzeczności.

Zmęczony jestem straszliwie. Nie mogę nie myśleć o wrażeniu, jakie list mój sprawił w Płoszowie. Myślę o tem ciągle, nawet i wówczas, kiedy jestem z Laurą; ciągle widzę Anielkę i ciotkę. Jaka ta Laura szczęśliwa ze swoim wiecznym spokojem! Mnie tak trudno ze sobą wytrzymać...

Cieszę się na myśl o zmianie miejsca. Peli,

jakkolwiek są tu kąpiele morskie, jest bardzo puste. Upały nadzwyczajne. Morze leży leniwie, nie poruszając nawet falą u brzegów, jakby już nie mogło oddychać ze spiekoty. Chwilami zrywa się wiatr, ale duszny, unosząc tumany białego kurzu, który pokrywa grubą warstwą liście palm, bukszpanu, fig, mirtów, i wnika przez zapuszczone żaluzye do domów. Oczy mnie bolą, bo wszystkie mury odbijają tak rażąco blask, że w dzień niepodobna na nie patrzeć.

Albo do Szwajcaryi, albo do Rzymu, byle stąd wyjechać. Zdaje mi się, że wszędzie będzie mi lepiej, niż tu. Wszyscy zresztą gotujemy się do drogi. Davisa nie widziałem już cztery lub pięć dni. Sądzę, że lada dzień zwaryuje. Doktór mówił mi, że biedaczysko ciągle wzywa go, by się z nim próbował na siłę. Ma to być niezmiernie zły znak.

Rzym. Casa Osoria, 18 Maja.

Potrzebowałem widocznie samotności. Jest mi tak, jak było zaraz po przybyciu do Peli — i smutno i zarazem dobrze. Jest mi nawet lepiej, niż było w Peli, bo nie doznaję tego niepokoju, jakim od samego początku przejmowało

mnie towarzystwo Laury. Chodzę po samotnym, ciemnym domu, odnajduję tysiące szczegółów, przypominających mi ojca i wspomnienie jego odświeża się w mojem sercu. On mi już także był nieco zbłękitniał, a teraz co krok spotykam się z jego dawnem, realnem życiem. Na stole, w jego pracowni, leżą szkła powiększające, przez które przyglądał się okazom; bronzowe kolce, za pomocą których wydobywał zeschłą ziemię z odkopanych dzbanów; farby, pendzelki, rozpoczęte rękopismy, notatki, dotyczące zbiorów, słowem: tysiące drobiazgów. Chwilami mam wrażenie, że on odszedł tylko i wróci do swej codziennej pracy, a gdy złudzenie się rozprasza, czuję za nim żal prawdziwy, głęboki i kocham go nietylko jako wspomnienie, ale kocham go także, pogrążonego teraz w wiecznym śnie na Campo Santo.

Stąd mój smutek, ale jestto uczucie tak wiele czystsze od tych wszystkich, które rządziły mną, jak same chciały, w ostatnich czasach, że mi z niem dobrze, bo czuję się lepszy, a przynajmniej nie tak zepsuty, jak mi się wydawało... Spostrzegam także, że żadne, najbardziej desperackie rozumowanie nie odbierze człowiekowi pociechy, jaką mu sprawia obecność w nim ja-

kichkolwiek szlachetniejszych pierwiastków. Skąd to nieprzeparte i niczem niepohamowane dążenie ludzi do dobra? Czasem, począwszy snuć nić z tego kłębka, dochodzę bardzo daleko. Rozum nasz jest przecie odbiciem logicznej prawidłowości ogólnego bytu, więc może i nasze pojęcie dobra jest również odblaskiem jakiegoś absolutnego dobra. Gdyby zaś tak było, człowiek mógłby skończyć naraz ze wszystkiemi swemi zwątpieniami i wykrzyknąć nietylko: «eureka», ale i «alleluja!» Boję się wszakże, żeby mi się ta budowa nie zapadła, jak tyle innych, i dlatego nie śmiem jej wznosić. To są zresztą raczej moje poczucia, niż rozumowania, ale wrócę do nich z czasem niewątpliwie, bo to jest dla mnie kwestya wyciągnięcia sobie ciernia nie z nogi, ale z duszy. Teraz jednak jestem zbyt zmęczony, zbyt mi jest smutno, a zarazem zbyt cicho i dobrze.

Zdaje mi się, że ze wszystkich istot na świecie, jeden człowiek potrafi postępować często wbrew swej woli. Pokazuje się, że miałem ochotę oddawna opuścić Peli, tymczasem dzień za dniem uchodził, a ja siedziałem i siedziałem. Jeszcze w wigilię wyjazdu mego byłem prawie

pewny, że zostanę; nadspodziewanie przyszła mi w pomoc sama Laura.

Zawiadomiłem ją o liście notaryusza i o wyjeździe, li tylko dlatego, by zobaczyć wrażenie, jakie to na niej sprawi. Byliśmy sami. Spodziewałem się jakiegoś okrzyku z jej strony, jakiegoś wzruszenia, jakiegoś «veto» — nic z tego!

Usłyszawszy nowinę, odwróciła się ku mnie, zanurzyła zlekka palce w me włosy i przysunąwszy mą twarz blisko do swojej, spytała:

— Ale wrócisz? nieprawdaż?

Dalibóg, jest dotychczas dla mnie zagadką, co to miało znaczyć? Czy przypuszczała, że muszę bezwarunkowo jechać? czy ufna w moc swej piękności, nie wątpiła ani na chwilę, że wrócę? czy nakoniec chwyciła w lot sposobność, żeby się mnie pozbyć? — bo po takiem pytaniu nie pozostawało mi nic innego, jak wyjechać. Pieszczotliwy ruch, towarzyszący pytaniu, przemawia trochę przeciw temu przypuszczeniu, które zresztą wydaje mi się najprawdopodobniejsze. — Chwilami jestem prawie pewien, że chciała mi powiedzieć: «Nie ty mnie, ale ja tobie daję odprawę». Przyznaję nawet, że jeśli to było odprawą, to zręczność Laury jest istotnie niesłychana — i tembardziej zadziwia-

jąca, im sposób był słodszy, pieszczotliwszy i im bardziej pozostawił mnie w niepewności, czy ze mnie zadrwiono, czy nie? Ale po co się mam łudzić? Pytaniem swojem ona wygrała grę. Być może, że w każdym innym razie moja miłość własna czułaby się tem draśniętą, ale teraz jest mi to wszystko jedno.

Owego wieczora jednak, nietylko nie powiało na nas chłodem, ale byliśmy dla siebie jeszcze tkliwsi, niż zwykle. Rozstaliśmy się bardzo późno. Widzę ją dotąd, jak ogarnia ręką świecę i odprowadza mnie, ze spuszczonemi oczyma, do drzwi. Była tak piękna, żem po prostu żałował, iż wypada mi odjechać. Nazajutrz żegnała się ze mną na kolei. Pęk herbacianych róż zgubiłem dopiero w Genui. Dziwna kobieta! W miarę, jak się od niej oddalałem, obok tęsknoty fizycznej, doznawałem coraz większej ulgi. Jechałem jednym tchem aż do Rzymu i teraz mam uczucie ptaka, który się urwał z uwięzi.

22 Maja.

Ze znajomych nie znalazłem tu prawie nikogo. Upał porozganiał ich do willi, albo w góry. W dzień mało ludzi chodzi po ulicach, spotyka

się tylko cudzoziemców, po większej części Anglików, w korkowych hełmach, owiniętych muślinem, z czerwonym Bedekerem w ręku i z wiecznem: «Very interesting!» na ustach. O południu, na naszem Babuino, bywa tak pusto, że kroki pojedynczych przechodniów dzwonią echem na chodnikach. Zato wieczorem roją się wszystkie ulice ludem. Miewam zawsze o tej godzinie nieco duszności i nerwowego niepokoju, więc wychodzę na świeże powietrze, włóczę się do zupełnego zmęczenia i to sprawia mi ogromną ulgę. Przechadzka moja kończy się zwykle na Pincio. Często trzy i cztery razy przechodzę wzdłuż ten wspaniały taras. O tej porze krąży tam mnóstwo par zakochanych. Jedne chodzą pod rękę, z głowami skroń przy skroni i z oczyma podniesionemi, jakby z nadmiaru szczęścia, w górę; drugie siedzą na ławkach, pogrążonych w mroku drzew. Migotliwe światło latarni wydobywa z tych czarnych głębin czasem nawpół ukryty pod piórami profil bersaliera, czasem jasną suknię dziewczyny, to znów twarz robotnika lub studenta. Co chwila dochodzą mych uszu szepty, zaklęcia, pieśni, nucone pół-głosem. Robi mi to wrażenie jakby wiosennego karnawału i znajduję dziwną przyjemność, gdy się

mogę zgubić w tych tłumach i odetchnąć ich wesołością i zdrowiem. Takie to jakieś szczęśliwe, pełne prostoty! Ta prostota wchodzi we mnie i uspakaja lepiej, niż chloral, moje nerwy. Wieczory bywają ciepłe i jasne, ale pełne rzeźwych powiewów. Księżyc podnosi się z po za Trinta dei Monti i żegluje nad tem rojowiskiem ludzkiem, nakształt srebrnej łodzi, bieląc czuby drzew, dachy i wieże. U stóp tarasu szumi i świeci miasto, a hen, w dali, rysuje się w srebrnej mgle ciemna sylwetką świętego Piotra, o kopule błyszczącej, jak drugi księżyc. Dawno Rzym nie wydawał mi się tak piękny! Odnajduję w nim jakieś nowe uroki. Wracam codzień późno do domu i idę spać prawie uszczęśliwiony tą myślą, że jutro obudzę się znów w Rzymie. A śpię!... Nie wiem, może to sprawia utrudzenie, ale sypiam kamiennym snem, który jeszcze rankami pozostawia mi jakieś odurzenie.

Ranki spędzam z notaryuszem. Czasem robię sobie, dla własnego użytku, inwentarz zbiorów ojcowskich. Ojciec nie rozporządził niemi na korzyść miasta w testamencie, który czyni mnie ogólnym spadkobiercą, więc stały się one moją własnością. Wypełniając wolę ojca, darowałbym je bez wahania Rzymowi, ale obawiam

się, czy przedstawienia ciotki nie wzbudziły w ojcu pewnych skrupułów i czy nie wstrzymał się od rozporządzenia zbiorami umyślnie dlatego, by kiedyś mogły być przewiezione do kraju. Że ojciec myślał o nim w ostatnich czasach, świadczą liczne klauzule w jego testamencie. Dużo jest także drobnych zapisów dla dalszej rodziny, a jeden z nich poruszył mnie więcej, niż mogę wypowiedzieć. Brzmi on tak: «Głowę Madonny (Sassoferato) zapisuję mojej przyszłej synowej».

25 Maja.

Rzeźbiarz Łukomski rozpoczął już od miesiąca portret ojca w całej postaci, wedle popiersia, które sam robił przed kilku laty. Często w południowych godzinach chodzę do niego patrzyć na postęp roboty. Pracownia jego przenosi mnie jak gdyby w świat inny. Jestto coś w rodzaju szopy, z jednem ogromnem oknem w górze, wychodzącem na północ, wskutek czego oświecona jest zimnem, nie przesiąkniętem blaskami słonecznymi światłem. Gdy w niej siedzę, wydaje mi się, że nie jestem w Rzymie. Złudzenie powiększa sam Łukomski, mający głowę północnego człowieka, jasną brodę i błę-

kitne, zamglone oczy mistyka. Dwaj pomocnicy jego są Polacy, dwa psy w ogrodzie nazywają się Kruk i Kurta, słowem: jestto jakaś hyperborejska wyspa na południowem morzu. Lubię tam chodzić dla oryginalności wrażenia; lubię także widzieć pracującego Łukomskiego. Jest w nim wówczas siła i prostota. Szczególniej zajmujący jest, gdy oddala się od roboty, by się jej lepiej przypatrzyć, potem nagle wraca do niej, jakby do ataku. To bardzo utalentowany rzeźbiarz. Postać ojca rośnie mu w rękach i uderza podobieństwem. Będzie to nietylko portret, ale i dzieło sztuki.

Oto jeśli kto jest typem człowieka rozkochanego w pięknych formach, to Łukomski. Zdaje mi się, że on nawet myśli za pomocą greckich nosów, torsów, ramion, głów, słowem, nie za pomocą idei, ale kształtów — i to kształtów klasycznych. W Rzymie bawi już od lat piętnastu i tak zwiedzą muzea i galerye, jakby wczoraj przyjechał. Pokazuje się jednak, że taka miłość zdolna jest wypełnić życie człowieka zupełnie i zostać jego religią, może wszelako pod warunkiem, by on został jej kapłanem. Łukomski ma taką cześć dla pięknie zbudowanych ludzi, jak pobożni mają dla świętych obrazów. Pyta-

łem się go, kto, według jego zdania, jest najpiękniejszą kobietą w Rzymie? Odpowiedział bez wahania: «Davisowa», poczem zaraz zaczął rysować w powietrzu wielkiemi palcami obu rąk jej postać, z tą łatwością i wyrazistością gestów, jaką mają zwykle artyści. Łukomski jest zamknięty w sobie i melancholik, a w tej chwili ożywił się tak, że nawet oczy jego straciły zwykły mistyczny wyraz. «Oto, naprzykład — powtarzał, kreśląc coraz nowe linie — albo to!... Ona jest najpiękniejszą kobietą nie w Rzymie, ale na świecie!»

Szczególniej zachwyca go szyja Laury. Powiada, że przy podniesieniu głowy, szyja ta daje przedłużenie twarzy nie węższe od samej twarzy, co jest niezmiernie rzadkie; czasem tylko na Transtewerze widuje się u kobiet z ludu podobne szyje, ale nigdy w takim stopniu doskonałości. Rzeczywiście, ktoby w Laurze chciał odkryć jakikolwiek fizyczny błąd, tenby próżno czas tracił. Łukomski posunął się aż do twierdzenia, że takim kobietom powinno się posągi za życia na forum stawiać. Oczywiście, nie przeczyłem.

29 Maja.

Ta cała procedura spadkowa włoska poczyna mnie nudzić. Jak oni, przy swej wrodzonej

żywości, wolno wszystko robią, a jak ogromnie wiele gadają! Jestem literalnie zagadany. Sprowadziłem sobie kilka najnowszych powieści francuskich i czytam je po całych dniach. Autorowie ich robią na mnie wrażenie wprawnych rysowników. Jak prędko i biegle naznaczona tam każda postać, ile siły i charakteru w tem szkicowaniu! Technika w robocie nie idzie dalej. Natomiast o ludziach opisywanych muszę powtórzyć to, com już raz powiedział, że kochają wzajem na sobie tylko skórę i nic więcej. Może się to zdarzyć wyjątkowo, ale żeby w całej Francyi, jak długa i szeroka, nikt nie umiał kochać inaczej, — niech to mówią komu innemu. Ja ją znam zbyt dobrze i wiem, że pod tym względem jest ona lepszą od swej literatury. Ta gonitwa romansu za jaskrawą, realną prawdą, czyni go fałszem. Człowiek kocha indywiduum, a na indywiduum składa się, prócz twarzy, spojrzenia, wyrazu, głosu, postaci — jeszcze i rozum i charakter i sposób myślenia, słowem, mnóstwo pierwiastków umysłowych i moralnych. Stosunek mój do Laury jest najlepszym dowodem, że uczucie, oparte wyłącznie na zachwycie zewnętrznym, nie zasługuje nawet na nazwę miłości. Laura zresztą jest wyjątkiem.

31 Maja.

Byłem wczoraj z Łukomskim na śniadaniu; wieczorem włóczyłem się, jak zwykle, po Pincio. Moja wyobraźnia wiedzie mnie czasem na manowce. Wyobraziłem sobie, że prowadzę pod rękę Anielkę. Chodziliśmy, rozmawiali, jak dwoje ludzi, którzy się nad wszystko kochają. Było mi tak dobrze, jak nie było nigdy z Laurą, ale za to, gdy wyobraźnia przestała pracować — co za poczucie samotności! Nie chciało mi się wracać do domu. W nocy nie mogłem spać. Życie moje jest jednak niesłychanie jałowe. Te ciągłe zagłębiania się w siebie prowadzą tylko do pustki. A czuję, że mogło być inaczej. Aż dziwię się, że wspomnienie Anielki takie jest we mnie żywotne. Dlaczego, naprzykład, niewyobrażam sobie nigdy, że chodzę pod rękę z Laurą, a teraz zaś, wspomniawszy jej imię, dodaję w duszy: pal ją licho! Często myślę, że trzymałem szczęście za oba skrzydła i pozwoliłem mu odlecieć.

2 Czerwca.

Oddawna nie byłem tak zdumiony, jak dziś, z powodu Łukomskiego. Poszliśmy razem do muzeum na Kapitolu. Już przy Wenus tamtej-

szej zdziwił mnie, gdy obracając na wszystkie strony jej ruchomą podstawę, oświadczył mi, że woli neapolitańską Praxitelesową Psyche, dlatego, że jest więcej uduchowiona. Jak na takiego plastyka, było to osobliwsze zdanie. Ale większa niespodzianka czekała mnie przed konającym Gladyatorem, czy też Gallem. Łukomski patrzył na niego w milczeniu z pół godziny, a następnie ozwał się przez zaciśnięte zęby, jak ma zwyczaj, gdy go coś poruszy:

— Powiedziano już ze sto razy, że on ma słowiańską twarz — ale istotnie! — to jest coś nadzwyczajnego!... Mój brat dzierżawi Kozłówek, koło Sierpca. Był tam Michna, fornal... Zeszłego roku utonął, pławiąc konie. Powiadam panu!... kubek w kubek ta sama twarz. Ja tu często i godzinę przestoję, bo mi tego trzeba...

Uszom nie chciałem wierzyć i dziwiłem się, że sufit Kapitolu nie zapada się na nasze głowy. Sierpc, Kozłówek, Michna, tu — w tym świecie antyków i klasycznych form — i w czyich ustach, ale takiego Łukomskiego! Ale odrazu odmalował mi się, po za rzeźbiarzem człowiek: «Toś ty, bratku, taki plastyk — pomyślałem sobie — taki Grek, taki Rzymianin? To ty przychodzisz patrzyć na Gladyatora nietylko

dla jego kształtów, ale dlatego, że ci przypomina Michnę z Kozłówka? Teraz odgaduję, co znaczy twoja małomówność i twoja melancholia!»

Łukomski zaś widocznie zrozumiał moje myśli, bo wbił swe mistyczne oczy w ziemię i począł mówić głosem przerywanym, jakby tłómacząc to, co powiedział poprzednio:

— Tu w Rzymie żyć, nie umierać!... Mnie się powodzi... Nie mam prawa narzekać... Siedzę, bo trzeba... Ale mnie, panie, nostalgia tłucze, jak wszyscy dyabli... Jak mi psy zaszczekają w nocy w ogrodzie, to mi się chce ścianę drapać, bo mi się zdaje, że to nasza wieś... Jabym zwaryował, żebym przynajmniej raz na rok tam nie pojechał. I teraz niedługo jadę, bo już mam to tu!...

To rzekłszy, począł stukać palcem w gardło i złożył wargi, jak do gwizdania, dlatego, że mu się trzęsły. Był to prawie wybuch, tembardziej zdumiewający w tym człowieku, że tak niespodziany. Nagle i mnie ogarnęło wzruszenie na widok tej olbrzymiej różnicy, jaka jest między mną a takimi ludźmi, jak Łukomski lub Śniatyński. W tej chwili myślę jeszcze o niej jakby z pewną obawą. To są całe widnokręgi, dla mnie niedostępne. Co za ogrom uczu-

cia noszą ci ludzie w sobie! Może im być z tem źle lub dobrze, ale to są bogacze w porównaniu ze mną. Im nie grozi ani pustka, ani czczość! Mają zapasu życiowego każden za dziesięciu. Ja przecież poczuwam się niby także do pewnego związku z mojem społeczeństwem, ale to poczucie nie jest tak bezpośrednie, nie pali się ono we mnie, jak płomień w lampie, nie stało się częścią mojej istoty. Mnie do życia nie trzeba ani żadnego Kozłówka, ani Michny, ani Płoszowa, czyli, że tam, gdzie dla takiego Łukomskiego, albo Sniatyńskiego, biją żywe zdroje, z których czerpie się racyę życia — tam ja znajduję suchy piasek. A przecież, gdyby oni nie mieli tych podstaw, zostałyby jeszcze: jednemu jego rzeźba, drugiemu jego literatura. Jestto prawie rzecz nie do uwierzenia, żeby człowiek, który posiada tyle, co ja, warunków do szczęścia, nietylko nie był szczęśliwy, ale poprostu nie wiedział, dlaczego żyje. Niezawodnie wina to tych warunków, w jakich się chowałem, tych Rzymów, Metzów, Paryżów i znów Rzymów; byłem trochę jak drzewo, oderwane od swojego gruntu, a nie zasadzone dobrze na cudzym — ale też wina i moja, bom stawiał znaki zapytania i filozofowałem tam, gdzie inni tylko ko-

chają. Skutek był taki ,żem nie wyfilozofował nic, a wyjałowiłem w sobie serce.

8 Czerwca.

Zapisuję wspomnienia z całego tygodnia. Odebrałem kilka listów, między innemi od Śniatyńskiego. Poczciwe chłopczysko tak jest zmartwione obrotem sprawy z Anielką, że mi już nawet nie wymyśla. Donosi mi tylko, że żona jego jest na mnie zagniewana na śmierć, że nie chce o mnie słyszeć i że, według jej zdania, jestem potworem, znajdującym największą przyjemność w pastwieniu się nad ofiarami. Tym razem prawdziwy ze mnie chrześcijanin, bo nietylko nie czuję z tego powodu urazy do pani Śniatyńskiej, ale ujmuje mnie to dla niej. Co za gorące, zacne serce! Śniatyński uważa widocznie sprawę za straconą, a raczej za ostatecznie rozstrzygniętą, bo wstrzymuje się od rad i tylko ubolewa: «Daj ci Boże (pisze) znaleźć drugą podobną». Dziwna rzecz, gdy o tem myślę, wydaje mi się, że nie chcę drugiej, podobnej do Anielki, ani lepszej od niej, tylko chcę jej samej. Mówię, że mi się to wydaje, ponieważ jestto uczucie bez stałej i określonej formy. Noszę w sobie, jak gdyby motek niezmiernie poplątanego jedwabiu, męczę

się i nie umiem tych zawikłanych pasem przyprowadzić do porządku. Mimo całej samowiedzy, nie wiem naprzykład, skąd płynie mój żal, czy z tego, że kocham Anielkę więcej, niż przypuszczam, czy z tego tylko, że czuję, iż mógłbym ją bardzo kochać? Śniatyński odpowiada mi poniekąd na to w następnych słowach: «Słyszałem, czy czytałem, że bryłki złota mają czasem na sobie powłokę kwarcu, z której trudno metal wydobyć. Przypuszczam, że i serce twoje ma taką powłokę; w środku jest drogi kruszec, ale ta paskudna skorupa stopiła się niecałkowicie za twoją ostatnią bytnością w Płoszowie. Bawiłeś zbyt krótko i poprostu nie pokochałeś tej dziewczyny dość silnie. Ty masz może energię czynu, ale nie masz nic a nic energii postanowień; byłbyś się jednak i na nią zdobył, gdyby uczucie parło cię dostatecznie. Wyjechałeś, zacząłeś swoim zwyczajem zgłębiać się, rozmyślać, i stało się, jakem przewidział, to jest przefilozofowałeś własne i cudze szczęście». Uderza mnie to w słowach Śniatyńskiego, że są one jakby powtórzeniem tego, co mi w swoim czasie mówił ojciec. Śniatyński wnika jednak we mnie dokładniej, bo oto, co zaraz dodaje: «Stara historya, że kto się nadto nad sobą zacieka, ten

w końcu nie zgadza się na siebie, a kto się na siebie nie zgadza, ten nie jest zdolny do żadnych postanowień. Chory wiek, w którym tylko osły mają jeszcze jakąś wolę, bo gdy ktoś posiada choć trochę rozumu, to go zaraz użyje do zwątpienia o wszystkiem i przekonania siebie samego, że naprawdę nie warto chcieć czegokolwiek. Czytałem podobne uwagi w jednym z francuskich autorów — i pomyślałem, że dalibóg ma słuszność!»

Chwilami wolałbym, żeby Śniatyński był mi wprost nawymyślał, zamiast naszpikować list takiemi naprzykład frazesami: «Mimo twych wszystkich przymiotów, może przyjść do tego, że będziesz zawsze powodem zgryzot i zmartwień dla najbliższych i najdroższych ci osób». Jest mi to tem przykrzejsze, że to prawda. Narobiłem zgryzot Anielce, ciotce, matce Anielki i wreszcie sobie samemu. Natomiast trochę mi się śmiać chce, gdy czytam dalej: «Wedle praw życia, musi coś w człowieku wyrosnąć; otóż strzeż się, żeby w tobie nie wyrosło jakieś licho, które ciebie pierwszego otruje». Nie!... To przynajmniej mi nie grozi. Wyrosła tam przecie jakaś pleśń, zasiana ręką Laury, ale właśnie wyrosła tylko na tej kwarcowej skorupie,

o której Śniatyński wspomina; nie zdołała zapuścić korzonków głębiej, i ani ja się nią nie otrułem, ani Laura. Takiej pleśni nie trzeba nawet wyrywać, dość ją obetrzeć, jak kurz. Więcej ma słuszności Śniatyński wówczas, gdy zaczyna być sobą i gdy występując w imię swego dogmatu, który zawsze nosi w sercu, mówi:

— Jeśli masz się za typ wyższy, jeśli nim nawet jesteś, to ci powiem, że suma takich wyższości daje społeczne minus.

Licha tam ja się mam za typ wyższy — chyba w porównaniu z takim Kromickim! — ale Śniatyński ma słuszność. Tacy ludzie, jak ja, nie stanowią tylko wtedy minusów, jeśli nie należą do kategoryi geniuszów bez teki, to jest, jeśli są wielkimi uczonymi, lub wielkimi artystami. Często nawet odgrywają wówczas rolę reformatorów. Co do mnie, mógłbym być reformatorem wyłącznie względem siebie samego. Chodziłem z tą myślą cały dzień, bo istotnie jest rzeczą niesłychaną, żeby człowiek, który tak doskonale rozumie swoje braki, nie przedsiębrał nic, by im zapobiedz. Ostatecznie, gdybym w tej chwili wahał się od pół dnia, czy wyjść na ulicę, czy nie, mógłbym jednakowoż wziąść się za kołnierz i sprowadzić się aż na dół. Jestem scepty-

kiem — dobrze! Ale czy nie mogę nakazać sobie postępować tak, jakbym nim nie był? Co to kogo może obchodzić, czy w moich czynach będzie trochę mniej lub trochę więcej przekonania? Co mógłbym naprzykład uczynić obecnie? Oto kazać spakować rzeczy i pojechać do Płoszowa. Mógłbym to zrobić doskonale. Coby z tego wypadło, pokazałoby się później — tymczasem byłby jakiś czyn. Śniatyński pisze wprawdzie: «Ta małpa przesiaduje teraz codziennie w Płoszowie i dopiłowywa te panie, które i bez tego wyglądają, jak cienie». Więc może być zapóźno? Śniatyński nie wspomina, jak dawno był w Płoszowie, przypuszczam, że tydzień albo dwa temu, zatem od jego bytności rzeczy mogły bardzo się posunąć. Tak, ale ja o tem nie wiem. W ostatnim razie, co może nastąpić gorszego, niż dziś jest? Czuję, że człowiek, posiadający choć trochę energii w postanowieniach, zdobyłby się na ten wyjazd; czuję, że nabiorę dla siebie pewnego szacunku, jeśli to zrobię, a to tembardziej, że nawet i Śniatyński już mnie nie namawia do tego — on, który jest jednak bardzo rzutki. Na samą myśl, jaśniej mi w oczach; widzę przytem w tej jasności jedną tak miłą twarz, że w tej chwili wydaje mi się ona milszą, niż wszystko

w świecie i — per Baccho! — prawdopodobnie uczynię, jak zamierzam!

9 Czerwca.

«La nuit porte conseil!» Nie jadę zaraz do Płoszowa, byłby to bowiem wyjazd na ślepo, ale napisałem do ciotki długi list, w zupełnie innym rodzaju, niż ów, który wysłałem z Peli. W ciągu ośmiu, najwyżej dziesięciu dni, powinienem mieć odpowiedź i stosownie do niej pojadę, albo też... nie pojadę — i wogóle nie wiem, co zrobić. Odpowiedzi pomyślnej byłbym pewny, gdybym był naprzykład napisał: «Błagam, kochana ciotko, o przepędzenie Kromickiego za dziesiąte wrota; Anielkę przepraszam, kocham i proszę o jej rękę». Chyba, że było już po ślubie, w takim tylko razie prośba moja pozostałaby bez skutku; ale przecie przypuszczam, że tak szparko sprawy tam nie poszły. Nie napisałem jednak do ciotki nic podobnego. List mój ma odegrać rolę podjazdu, który idzie przed wojskiem i bada okolicę. Ułożyłem go w ten sposób, że ciotka, chcąc odpowiedzieć, musi mi donieść, co się dzieje nietylko w Płoszowie, ale i w sercu Anielki. Powiem szczerą prawdę, że jeśli nie byłem bardziej stanowczy, to dlatego,

że doświadczenie nauczyło mnie nie ufać sobie. Ach, gdyby ta Anielka, mimo tego żalu, który mniej więcej słusznie może mieć do mnie, odrzuciła rękę Kromickiego, jak byłbym jej za to wdzięczny, jakby odsunęła się daleko w moich oczach od tego nieznośnego typu panny na wydaniu, której jedynem zadaniem i celem jest wyjść za mąż! Szkoda, żem się dowiedział o tym Kromickim. Odleciawszy, na podobieństwo ptaka, od nóg Laury, co musiało nastąpić w każdym razie, byłbym najprawdopodobniej upadł przy Anielczynych. Poczciwa ciotka dała jednak dowód ciężkiej ręki, donosząc mi o zabiegach Kromickiego i o poparciu, jakiego mu udziela pani Celina. W dzisiejszych czasach nerwów nietylko kobiety są mimozowate, ale i mężczyźni. Jedno trochę szorstkie dotknięcie, a dusza się zwija i zamyka częstokroć raz na zawsze. Wiem, że to jest głupio i źle, ale tak jest! Chcąc się zmienić, musiałbym zamówić sobie u jakiego anatoma inne nerwy, a te, które mam, chować tylko na szczególne okazye. Nikt, nawet pani Śniatyńska, poczytująca mnie w tej chwili za potwora, nie patrzy na mnie krytyczniej, niż ja sam. Ale czy ten Kromicki jest lepszy odemnie? Czy jego płaska, pieniężna newroza więcej warta od mojej?

Bez wszelkiej chełpliwości mogę sobie powiedzieć, że mam dziesięć razy więcej delikatności uczuć, szlachetniejsze porywy, lepsze serce, więcej tkliwości, nie mówiąc już o tem, że jego rodzona matka musiałaby przyznać, iż jest głupszy odemnie. Nie zrobię wprawdzie nigdy w życiu ani miliarda, ani jego dziesiątej części, ale Kromicki nie zrobił też jeszcze ani setnej; natomiast mógłbym ręczyć, że mojej żonie będzie cieplej i widniej w życiu, niż jego, że będzie żyła życiem szerszem i szlachetniejszem.

Nie pierwszy to już raz porównywam się w myśli z Kromickim, co mnie nawet gniewa, tak dalece uważam się za wyższą istotę. My jesteśmy mieszkańcy dwóch różnych planet, jeśli zaś chodzi o zestawienie naszych dusz, to między niemi taki jest stosunek, że do mojej trzeba wchodzić po schodach — przyczem, przyznaję, że można kark skręcić — do jego zaś duszy, taka naprzykład Anielka, stanowczo musiałaby schodzić.

Czy jednak przyszłoby jej to tak trudno? Obrzydliwe pytanie! Ale widziałem pod tym względem tak niesłychane rzeczy, zwłaszcza u nas, gdzie kobiety stoją powszechnie wyżej od mężczyzn, że muszę je postawić. Widziałem

dziewczęta, dalibóg, prawie skrzydlate, pełne szlachetnych porywów, wrażliwe na wszystko, co piękne i niepospolite, które nietylko wychodziły za mąż za cymbałów najpośledniejszego gatunku, ale na drugi dzień po ślubie przechodziły na ich życiową wiarę, na ich płaskość, na ich egoizm, próżność, ciasnotę i małość. Co więcej, niektóre czyniły to chełpliwie, jakby w ich oczach owe dawne ideały tak samo nadawały się po ślubie do wyrzucenia przez okno, jak ich mirtowy wianek. I były przekonane, że w ten właśnie sposób stają się dobremi żonami, nie zdając sobie sprawy, że każda z nich poświęca poloty duszy, skłonnościom małpy. Prawda, że często potem, prędzej lub później, przychodziła reakcya, ale ogólnie biorąc, szekspirowska Tytania jest u nas typem pospolitym, który każdy z pewnością w życiu spotykał.

Jam jest sceptyk od stóp do głowy, ale mój sceptycyzm płynie z «tego, co mnie boli», bo istotnie boli mnie porządnie, gdy sobie pomyślę, że może być tak samo z Anielką. Może i ona będzie wzruszać ramionami na wspomnienie swych panieńskich polotów, przekonana, że dostawy do Turkiestanu — oto są rzeczy równie poważne, jak realne, któremi jedynie warto się

zajmować w życiu. Porywa mnie nieludzki gniew na tę myśl, zwłaszcza, że jeśli do tego przyjdzie, to przyjdzie po części z mojej winy.

Z drugiej strony jednak, moje rozmysły i wahania płyną nietylko z tego braku energii w postanowieniach, o którym pisze Śniatyński, ale jeszcze z innego źródła. Ja mam tak wysokie pojęcie o małżeństwie i tak wysokie wymagania, że to odejmuje mi odwagę. Wiem, że częstokroć mąż i żona przystają do siebie, jak dwie spaczone deski, a jednak jakoś to idzie; ale dla mnie to nie wystarcza. Właśnie dlatego, że, biorąc ogólnie, jestem względem szczęścia niedowiarkiem, powiadam sobie: niech choć to mi dopisze! A czy może dopisać? Dziwna rzecz! Oto tak wahającym się, tak mało stanowczym, zrobiły mnie nie te złe małżeństwa, które w życiu widziałem, ale tych kilka dobrych, bo właśnie na ich to wspomnienie powiadam sobie: to może dopisać! to nie książkowa rzecz! trzeba tylko umieć znaleźć!

11 Czerwca.

Z Łukomskim zaprzyjaźniłem się w ostatnich dniach bardzo. Nie jest już ze mną taki milczący i zamknięty, jak był dawniej. Wczoraj zaszedł

do mnie wieczorem; włóczyliśmy się aż hen, ku termom Karakalli, poczem zaprosiłem go do siebie i siedział blisko do północy. Miałem z nim rozmowę, którą zapisuję, bo uczyniła na mnie pewne wrażenie. Łukomski trochę się wstydził swego wybuchu przy konającym Gallu, ale ja umyślnie począłem mówić o kraju, wydobyłem z niego wszystko, co mu leżało na dnie serca, i w końcu, gdy zaczęło być między nami jakoś cieplej, powiedziałem:

— Wybacz, panie Józefie, pytaniu, ale doprawdy nie rozumiem jednej rzeczy: oto dlaczego człowiek, który tak, jak pan potrzebuje wkoło siebie swojskiego otoczenia, nie postara się o towarzyszkę z kraju. Tego wrażenia ojczystego, które ona dać potrafi, nie da panu ani pańska pracownia, ani pańscy pomocnicy, nie mówiąc już o Kruku i Kurcie.

Łukomski uśmiechnął się i pokazując mi pierścionek, rzekł:

— Ja się właśnie żenię. Czekamy tylko na wyjście żałoby po ojcu mojej narzeczonej. Za dwa miesiące jadę do tych pań.

— W okolice Sierpca?

— Nie, one pochodzą z pod Wiłkomierza.

— Cóżeś pan robił w Wiłkomierzu?

— Ja poznałem je wypadkiem w Rzymie, na Corso.

— To był szczęśliwy wypadek!

— Najszczęśliwszy w mojem życiu.

— Może w czasie karnawału?

— Gdzietam. Któregoś rana szedłem na via Condotti, wtem patrzę, jakieś dwie panie, jasne blondynki, widocznie matka i córka, rozpytują złą włoszczyzną o Kapitol. Mówiły: «Capitolio», «Capitole», «Capitol» — i nikt ich nie mógł zrozumieć z tej prostej przyczyny, że, jak panu wiadomo, mówi się: «Campidolio». Poznałem, że Polki, bo już mam do tego oko. Ucieszyły się ogromnie, kiedym do nich zagadał po polsku; ja się także ucieszyłem i nietylko pokazałem im drogę, ale sam zaprowadziłem je na miejsce.

— Nie uwierzy pan, jak mnie zajmuje pańskie opowiadanie. Poszliście więc razem?

— Poszliśmy razem. Po drodze patrzę, panienka, jak topolka; zgrabna, ładna, głowa mała, uszy, jak na model, dużo wyrazu, a rzęsy poprostu złote. Coś podobnego tylko u nas się zdarza; tego tu pan nie zobaczysz, chyba w Wenecyi, i to rzadko. Podobało mi się też, że się bardzo zajmowała matką, która była bardzo stroskana niedawną śmiercią męża. Pomyślałem,

że musi mieć poczciwe serce. Tydzień służyłem im, jak cicerone, a po tygodniu oświadczyłem się.

— Jakto? po tygodniu?

— Tak, bo one wracały do Florencyi.

— W każdym razie należysz pan do ludzi, którzy niedługo się namyślają.

— Gdyby to było w kraju, trwałoby niezawodnie dłużej, ale tu, ja, panie, miałem ochotę całować ją po rękach za to samo, że Polka...

— Tak, ale małżeństwo, to taki przełom w życiu.

— To prawda. Ale co ja lepszego mogłem wymyślić we dwa lub trzy tygodnie, niż w tydzień? Miałem pewne skrupuły — przyznaję. Trochę mi przykro o tem mówić... W naszej rodzinie jest dziedziczna głuchota. Dziad na starość nie słyszał nic, ojciec ogłuchł w czterdziestym roku życia... Można z tem żyć, ale bądź co bądź, to kalectwo ciężkie, zwłaszcza dla otoczenia, bo głusi bywają niecierpliwi. Otóż łamałem się z myślą, czy godzi się wiązać życie takiej dziewczyny ze sobą człowiekowi, któremu to kalectwo prawdopodobnie grozi — i z którym pożycie może być trudne.

Teraz dopiero spostrzegłem, że Łukomski w wyrazie oczu, w ruchach głowy, w sposobie,

w jaki słucha, gdy się do niego mówi, ma coś z tego, co mają zwykle ludzie głusi. Słyszał dotąd doskonale, ale widocznie już ciągle kontrolował się, czy mu słuch nie słabnie.

Starałem się go uspokoić, on zaś rzekł:

— Ja też to samo myślałem. Nie warto dla niebezpieczeństw — tylko prawdopodobnych, psuć życia sobie i komu. Toż i cholera bywa we Włoszech, a głupio-by przecie było, żeby się żaden Włoch nie żenił dlatego, że może umrzeć na cholerę i zostawić żonę z dziećmi bez opieki. Zresztą zrobiłem, com był powinien. Powiedziałem naprzód pannie Wandzie, że ją kocham, że dałbym życie, żeby ją mieć, ale jest na przeszkodzie to a to! I wiesz pan, co ona mi odpowiedziała? Powiedziała mi tak: «Jak panu nie będę mogła mówić, że pana kocham, to będę pisała». Nie obyło się przytem bez łez, ale w godzinę później śmieliśmy się już z tych strachów i ja umyślnie udawałem głuchego, żeby ją zmusić do napisania: «kocham».

Rozmowa ta utkwiła mi w pamięci. Śniatyński myli się, twierdząc, że u nas osły tylko mają jeszcze jakąś wolę. Ten rzeźbiarz miał istotne powody do namysłu, a tydzień wystarczył mu na tak walne postanowienie. Być może, iż

niema on świadomości siebie, rozwiniętej w tym stopniu, jak ja, ale to rozumny człowiek. Co za dzielna kobieta, ta przyszła pani rzeźbiarzowa! — i jak mi się podoba jej odpowiedź. Czuję zarazem, że Anielka należy do takiego samego gatunku kobiet. Gdybym naprzykład oślepł, Laurę obeszłaby tylko moja ślepota, o ile mogłaby mnie w danym razie ukostyumować na jakiegoś feackiego Demodoka, śpiewającego pieśni przy uczcie. Ale Anielka! — ta nie opuściłaby mnie z pewnością, choćbym jeszcze nie był jej mężem. Dałbym sobie za to rękę uciąć.

Muszę tylko przyznać, że wobec tej pewności, i tydzień wahania się był zbyteczny, ja zaś waham się od pięciu miesięcy; nawet ostatni mój list do ciotki nie jest także niczem stanowczem.

Pocieszam się jednak myślą, że ciotka, jako kobieta rozumna i kochająca mnie, domyśli się, o co mi chodzi i przyjdzie mi w pomoc po swojemu. Kołacze się też w mem sercu nadzieja, że Anielka będzie ciotce w tej robocie sprzymierzeńcem. Żałuję wszelako, żem listu nie napisał wyraźniej. Przychodzi mi chętka wysłać drugi, ale ją zwalczam. Trzeba doczekać się odpowiedzi na pierwszy. Szczęśliwi tego rodzaju

ludzie, jak Łukomski, którzy poczynają od czynów.

15 Czerwca.

Czy nazwę to uczucie, jakie mam dla Anielki, miłością, czy inaczej, zawsze spostrzegam ogromną różnicę między niem a temi wszystkiemi, które dotychczas przelatywały mi przez serce. Myślę o niem od rana do wieczora; wyrosło ono na jakąś moją sprawę osobistą, czuję się odpowiedzialnym za nie przed sobą. Tego dawniej nigdy nie bywało. Owe dawne związki zawiązywały się, trwały i rozwiązywały, zostawiając mi mniejszy lub większy smutek, czasem przyjemne wspomnienie, czasem niesmak, ale nigdy nie pochłaniały mej wewnętrznej istoty w tym stopniu. W takiem życiu próżniaczem i światowem, jakię prowadzimy my wszyscy, którzy nie stawiamy sobie żadnych wysokich celów, nie wysługujemy się żadnej idei, a jednocześnie nie potrzebujemy na chleb pracować, kobieta nie schodzi ze sceny: ciągle się na nią patrzy, ustawicznie się wedle niej zabiega, ale też się dyabelnie z nią oswaja, tak, że w końcu liczy się ją do grzechów powszednich żywota. My, czyniąc kobiecie zawód, doznajemy tak mało wy-

rzutów sumienia, że mniej wyrzutów sumienia doznaje chyba tylko kobieta, czyniąc nam zawód. Ja, przy całej wrażliwości swej natury, należę także do sumień pod tym względem przytępionych. Zdarzały się wypadki, żem sobie mówił: «Ot, byłaby pyszna sposobność do zrobienia sobie kilku patetycznych wymówek», ale wolałem zawsze kiwnąć ręką i myśleć o czemś przyjemniejszem. Tym razem tak nie jest. Czasem umysł mój zajęty bywa zgoła czem innem; nagle czuję, że mi czegoś nie dostaje; nadlatuje na mnie jakiś niepokój, jakiś strach, zupełnie jakbym coś ogromnie ważnego pominął, czegoś uczynić zaniedbał — i w danej chwili spostrzegam, że to myśl o Anielce przedostaje się znów ze wszystkich obsłon, aby opanować mnie całego. Kołacze to we mnie dzień i noc, jak ów kołatek w biurku, w Mickiewiczowskim poemacie. Gdy wzruszam ramionami i usiłuję zmniejszyć, albo nawet ośmieszyć to wrażenie, mój sceptycyzm i ironia nie dopisują mi, a raczej dopisują tylko dopóty, dopóki trwają, bo zaraz potem wracam znów do zaklętego koła. Nie jest to, wprost biorąc, zgryzota, ani nawet wyrzuty; to prędzej męczące przytwierdzenie myśli do jednego przedmiotu, a zarazem tak gorączkowa

i niespokojna ciekawość, co dalej będzie, jakby od tego «dalej» zależało moje życie.

Gdybym się mniej biegle analizował, powiedziałbym sobie, że to jest wielkie i niepospolite uczucie, ale spostrzegam, że w tych rozmyślaniach i niepokojach chodzi mi jeszcze o coś innego, niż o posiadanie Anielki w przyszłości. Niezawodnie, uczyniła ona na mnie głębokie i silne wrażenie; Śniatyński ma jednak słuszność, twierdząc, że gdybym ją był pokochał tak mocno, jak naprzykład on swoją żonę, tobym przedewszystkiem zapragnął ją posiadać. Ja zaś — rzecz zupełnie pewna — mniej pragnę ją posiadać, niż boję się ją utracić. Może nie każdy potrafiłby zauważyć tę dziwną i wielką różnicę. Ja jednak mam ustalone przekonanie, że gdyby nie Kromicki, gdyby nie prawdopodobna utrata Anielki, nie doznawałbym ani tego strachu, ani tego niepokoju. Rozwikłuje to poniekąd moje splątane nici, dowodzi mi bowiem względnie jasno, że ja nietyle kocham Anielkę, ile czuję, że mógłbym ją pokochać i tego właśnie, tych widoków szczęścia, tej jedynej sposobności do zapełnienia szczęściem życia, żal mi ogromnie, a jeszcze bardziej strach owej pustki, która się przedemną otworzy, jeśli mi się Anielka usunie.

Zauważyłem, że najwięksi pesymiści, gdy im los lub ludzie chcą odjąć coś z życia, tak dobrze wymachują rękoma i nogami i tak krzyczą w niebogłosy, jak najwięksi optymiści. Jestem właśnie w tem położeniu. Nie krzyczę wprawdzie, ale mnie trwoga ogarnia na myśl, że może za parę dni nie będę wiedział, co z sobą zrobić na świecie.

16 Czerwca.

Miałem uboczną wiadomość o Laurze; dał mi ją mój notaryusz, który prowadzi zarazem sprawy Davisów. Davis już w zakładzie obłąkanych. Ona bawi w Interlaken, u stóp Jungfrau. Ma pewnie zamiar dostać się na szczyt. Wyobrażam sobie, jak się ubiera w Alpy, w ich śniegi, mgły, wschody słońca, jak pływa po jeziorach, staje nad przepaściami. Wyraziłem notaryuszowi moje współczucie dla Davisa, a zarazem dla pani, która w tak młodym wieku pozostała sama i bez opieki. Stary prawnik uspokoił moją troskliwość co do niej, oświadczywszy, że właśnie przed tygodniem wyjechał do Szwajcaryi hr. Maleschi, Neapolitańczyk, krewny pani Davisowej. Znam! znam! Piękne Włoszysko, jak Antinous, ale karciarz i jak mówią, tchórzem

podszyty. Zdaje mi się, że niesłusznie nazwałem w swoim czasie Laurę wieżą pizańską.

Zdarza mi się literalnie po raz pierwszy w życiu, żeby ze wspomnieniem kobiety, której wprawdzie nie kochałem, ale którą okłamywałem, że kocham, łączyła się we mnie taka niechęć. Dla Laury jestem niewdzięczny i niewspaniałomyślny. Aż mi wstyd! Właściwie, jakie mam powody niechęci dla niej i czego jej nie mogę darować? Oto, zawsze, jak powiedziałem, tego, że od początku naszego stosunku, wprawdzie nie wprost z jej winy, ale przez samo zetknięcie się z nią, popełniłem tysiące rzeczy lichych i marnych, których nie popełniałem nigdy w życiu. Nie uszanowałem swej żałoby, nie uszanowałem słabości i niedołęstwa Davisa, zgnuśniałem, popsułem się, wysłałem ten fatalny list... Wszystko to moja wina! Ale jeśli ślepy, potknąwszy się o kamień, upada na drodze, przeklina zawsze kamień, choć w istocie upadł dlatego, że był ślepy.

17 Czerwca.

Zaniosłem dziś pieniądze Łukomskiemu, zostawiłem zupełne pełnomocnictwo notaryuszowi, rzeczy moje spakowane i jestem na wszelki wy-

padek gotów do drogi. Rzym zaczyna mi być nieznośny.

18 Czerwca.

Wyliczyłem, że odpowiedź ciotki mogłaby już tu być. Odkładając na bok najgorsze przypuszczenia, staram się odgadnąć, co mi ciotka doniesie. Żałuję, nie wiem już po raz który, żem nie napisał do niej wyraźniej. Napisałem jednak, że może wybrałbym się do Płoszowa, gdybym był pewien, że moja obecność nie będzie przykrą gościom ciotki, a zarazem przesłałem serdeczne pozdrowienie tym paniom. Wspomniałem i o tem, że w ostatnich dniach mego pobytu w Peli byłem chory i tak rozdrażniony, iż sam nie wiedziałem, co robię. List, gdym go pisał, wydawał mi się bardzo rozumny, teraz zaś wydaje mi się czasem szczytem głupoty. Poprostu miłość własna nie pozwoliła mi odwołać jasno i stanowczo tego, com przedtem napisał z Peli. Liczyłem, że ciotka uchwyci pierwszą sposobność, by wszystko naprawić, a wówczas ja zjadę, jako książe wspaniałomyślny. Natura ludzka jest bardzo marna. Nie pozostaje mi nic, jak trzymać się oburącz tej nadziei, że jednak ciotka powinna domyślić się, o co mi chodzi.

Teraz, gdy niepokój mój powiększa się z każdą chwilą, czuję nietylko to, że mógłbym Anielkę kochać ogromnie, ale że wogóle, mógłbym być bez porównania lepszy, niż jestem. Właściwie, dlaczego ja tak postępuję, jakby poza egoizmem i rozdrażnionemi nerwami nie było we mnie nic więcej! A jeśli niema nic więcej, czemu moja auto-analiza nie wykryje mi tego niewątpliwie? Posiadam odwagę do wyprowadzania ostatecznych wniosków i nie taję przed sobą prawdy, a jednak ten wniosek stale odrzucam. Dlaczego? Bo mam niezachwianą pewność, że jestem lepszy od moich postępków. Przyczyną ich jest jakaś nieudolność życiowa, płynąca po części z rasy, po części z choroby wieku, którego jestem dzieckiem — z tego właśnie przeanalizowania się, które nie pozwala nam nigdy pójść za pierwszym, prostym porywem natury ludzkiej, ale krytykuje wszystko, aż do zupełnego ubezwładnienia duszy. Kiedym był dzieckiem, bawiłem się w ten sposób, żem nakładał pieniądze, jeden na drugi, dopóki słupek, przechylony własnym ciężarem, nie upadał, i nie zmieniał się w bezładną kupkę. Teraz robię to samo z myślami i zamiarami, także dopóty, dopóki nie zwalą się chaotycznie. Stąd daleko łatwiej zdobyć mi się na czyn uje-

mny, niż dodatni; zniszczyć coś, niż stworzyć. Zdaje mi się, że wielu ludzi inteligentnych choruje na tę chorobę. Krytyka wszystkiego i samych siebie, wyżarła w nas siły dodatnie; brak nam podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie. Oto, dlaczego ja naprzykład nie tyle chcę posiadać Anielkę, ile boję się ją utracić.

Ale, gdy mówię o chorobie wieku, nie chcę się ograniczać na mówieniu wyłącznie o sobie. Że ktoś kładzie się do łóżka w czasie epidemii, to jest rzecz bardzo zwyczajna — a dziś, krytyka wszystkiego jest epidemią, grasującą w całym świecie. Prosty stąd wynik, że rozmaite dachy, pod któremi ludzie żyli, zapadają im się na głowy. Religia, której sama nazwa oznacza wiązanie, rozwiązuje się. Wiara, nawet w wierzących jeszcze, stała się niespokojna. Przez ten dach, który się nazywa ojczyzną, poczynają przeciekać prądy socyalne. Pozostał tylko jeden ideał, przed którym nawet bardzo zuchwali sceptycy czapki zdejmują — lud. Ale na cokóle posągu zaczynają już różni psotnicy wypisywać mniej więcej cyniczne koncepta — a co dziwniejsze: pierwsze mgły zwątpienia podnoszą się z tych głów, które z natury rzeczy powinny się chylić najniżej. Przyjdzie w końcu jaki genialny sce-

ptyk, jaki drugi Heine, oplwa i spoliczkuje tego bożka — jak to w swoim czasie uczynił Arystofanes — ale oplwa go nie w imię żadnych starych ideałów, tylko w imię wolności myśli, w imię wolności wątpienia — i co wówczas nastąpi — nie wiem. Prawdopodobnie na tej ogromnej, pustej karcie dyabeł będzie pisał sonety.

Czy na to jest rada? Przedewszystkiem co mi do tego. Chcieć czegokolwiek, to nie moja rzecz. Jestem na to zbyt dobrze wychowanem dzieckiem wieku. Jeśli jednak to wszystko, co się myśli, co się dzieje i staje, ma służyć do powiększenia sumy szczęścia, to pozwolę sobie na jedną osobistą uwagę, nadmieniając przytem, że nie mam na względzie położenia materyalnego, ale spokój wewnętrzny, którego może tak dobrze brakować mnie, jak każdemu innemu: oto dziad mój był szczęśliwszy od mego ojca, mój ojciec odemnie, a mój syn, jeśli go będę miał, będzie wprost litości godną figurą.

Florencya, 20 Czerwca.

Dom z kart runął. Odebrałem list od ciotki. Anielka wychodzi za Kromickiego i ślub ich za kilka tygodni. Ona sama żądała tak krótkiego terminu. Po odebraniu tej nowiny, siadłem do

wagonu i chciałem jechać do Płoszowa, mając jednocześnie świadomość, że ten wyjazd jest głupstwem i awanturą, która do niczego nie doprowadzi. Oto dlaczego jestem we Florencyi. Porwało mnie i niosło, ale zebrawszy resztki przytomności i rozwagi, ulgnąłem tu.

Florencya, 22 Czerwca.

Jednocześnie z listem ciotki, odebrałem «faire part», zaadresowane ręką kobiecą. Nie jestto charakter Anielki, ani jej matki. Żadna z nich by tego nie zrobiła. Prawdopodobnie to koncept i złośliwość pani Śniatyńskiej. Zresztą, wszystko mi jedno. Dostałem pałką w głowę, więc jestem odurzony. Ale widzę, że to więcej wstrząsa, niż boli. Nie wiem, jak będzie później: kuli podobno się także zrazu nie czuje. Jednakże nie strzeliłem sobie w łeb, nie zwaryowałem; patrzę sobie na Lung, Arno, układałbym nawet pasyanse, gdybym umiał, słowem: mam się dobrze... Że wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły, to stara historya... Ciotka poczytywała sobie za chrześcijański obowiązek powtórzyć Anielce to, co napisałem z Peli.

Florencya, 23 Czerwca.

Zrana, gdy się budzę, a raczej, gdy otwie-

ram oczy, muszę sobie powtarzać, że to ta sama Anielka idzie za Kromickiego — taka dobra, kochająca, która nie kładła się spać, by mnie przywitać, wracającego z Warszawy do Płoszowa, która patrzyła mi w oczy, słuchała tego, com mówił i każdem spojrzeniem mówiła mi sama, że jest moja. I ta sama będzie nietylko panią Kromicką, ale w tydzień po ślubie nie będzie jej się chciało w głowie pomieścić, jak mogła wahać się w wyborze między takim Płoszowskim, a takim Jowiszem, jak Kromicki. Dzieją się jednak rzeczy dziwne na świecie i tak strasznie nieodwołalne, że się traci tę podłą resztę ochoty do życia. Pani Celina i pani Śniatyńska przyjmują teraz zapewne «al pari» Kromickiego i wynoszą go umyślnie moim kosztem. Żeby już zostawiły lepiej w spokoju tę Anielkę! Jednak ciotka pozwoliła na to wszystko! Mniejsza o mnie, ale przecież ciotka wie i widzi, że Anielka nie może z nim być szczęśliwa. Sama mówi mi, że Anielka wychodzi za niego z rozpaczy.

Oto ten długi przeklęty list:

«Dziękuję ci za ostatnie wiadomości, tembardziej, że tamten pierwszy list z Peli był nietylko stanowczy, ale i okrutny. Trudno mi było

wierzyć, żebyś ty nie miał dla tej dziewczyny, nietylko ani trochę przywiązania, ale ani przyjaźni, ani litości. Ja przecie, mój Leonie, nie żądałam i nie namawiałem cię, byś się zaraz oświadczał Anielce, prosiłam cię jedynie o to, abyś napisał jakieś słowo serdeczniejsze dla niej, choćby nie wprost, ale w liście do mnie. I wierzaj mi, że byłoby to wystarczyło, bo ona tak cię kochała, jak tylko podobna dziewczyna kochać może. Wejdź jednak w moje położenie, co miałam robić po odebraniu twego listu? jakiem sumieniem mogłam utrzymywać dłużej Anielkę w tych złudzeniach i zarazem w niepokoju, który truł widocznie jej zdrowie? Po listy Chwastowski zawsze posyła umyślnego do Warszawy i przynosi je sam zrana na herbatę. Anielka wiedziała, że jest list od ciebie, bo to biedactwo czyhało zawsze na Chwastowskiego i zabierało mu z rąk listy, niby dlatego, żeby je ułożyć na mojej serwecie, a w rzeczy, by zobaczyć, czy od ciebie czegoś niema. Otóż spostrzegła, że list jest. Zauważyłam, że już herbatę nalewała nam tak, iż wszystkie łyżeczki dzwoniły w filiżankach. Mnie tchnęło jakieś złe przeczucie; wahałam się, czy nie odłożyć czytania, póki nie znajdę się w swoim pokoju, ale

byłam niespokojna, czyś nie chory i nie mogłam wytrzymać. Bóg widzi, ile mnie kosztowało nie pokazać po sobie niczego, zwłaszcza, że czułam oczy Anielki, wlepione we mnie. Ale jakoś się przemogłam; powiedziałam nawet: «Leon zawsze zbolały, chwała jednak Bogu, zdrów i przesyła wam ukłony». Anielka spytała niby zwyczajnym głosem: «Czy długo jeszcze zabawi we Włoszech?» Widziałam, ile się mieści w tem pytaniu i nie miałam odwagi powiedzieć prawdy, zwłaszcza, że to było przy Chwastowskim i służbie; powiedziałam więc tak: «Niedługo; myślę, że się wkrótce tu wybierze». Żebyś ty, widział te ognie, które przez nią przeleciały, tę radość, te wysiłki, żeby się nie rozpłakać. Biedactwo! Mnie się dziś chce płakać, gdy o tem wspomnę. Co przeszłam, wróciwszy do siebie, to nie uwierzysz; aleś ty napisał wyraźnie: «Życzę jej szczęścia z Kromickim« — i trzeba było — sumienie kazało, otworzyć jej oczy. Nie potrzebowałam jej wołać, bo nadeszła sama; wówczas powiedziałam jej tak: «Anielciu, ja wiem, że ty jesteś dzielna, poczciwa dziewczyna, która się zawsze zgodzi z wolą Bożą. Musimy pomówić otwarcie. Wiem, moje dziecko, że między tobą i Leonem zaczynało się coś po-

dobnego do przywiązania, i powiem ci, żem sobie tego najmocniej życzyła; ale widocznie woli Bożej nie było; jeśliś miała pod tym względem jakie złudzenia, to się ich wyrzecz!» Poczęłam ją ściskać, bo pobladła jak papier, myślałam, że zemdleje, na szczęście, nie przyszło do tego. Schyliła się tylko do moich kolan i poczęła powtarzać raz po razu: «Co on mi kazał, ciociu, powiedzieć? co on mi kazał, ciociu, powiedzieć?» Broniłam się, nie chciałam cytować twoich słów — ale przyszło mi na myśl, że będzie lepiej dla niej dowiedzieć się całej prawdy i powiedziałam jej wreszcie, że jej życzysz szczęścia z Kromickim. Na to wstała i po chwili rzekła mi zupełnie już innym głosem: «Niech mu ciocia podziękuje» — poczem zaraz odeszła. Boję się, że będziesz nierad, żem tak wiernie powtórzyła twoje słowa, nie obwijając ich w żadne uprzejmości; skoro jednak Anielki stanowczo nie chcesz, to nie można jej było tego dość wyraźnie powiedzieć. Im bardziej będzie przekonana, żeś się źle z nią obszedł, tem prędzej cię zapomni. Wreszcie, jeśli ci to będzie przykro, pomyśl przez ile, nietylko przykrości, ale cierpień, przeszłyśmy tu wszystkie trzy, a zwłaszcza Anielka. Ma ona wprawdzie tyle mocy nad so-

bą, że ani się spodziewałam. Cały dzień miała oczy suche i nie dała nic poznać matce, o której zdrowie bardzo się boi; tuliła się tylko do niej więcej, niż zwykle, a i do mnie, co mnie tak rozczulało, aż mi się broda trzęsła. Pan Śniatyński, który tego samego dnia przyjechał, nic po Anielce nie poznał; dopiero sama mu powiedziałam, bo wiem, że to twój przyjaciel — to też zmartwił się okropnie i począł się na ciebie tak złościć, ażem się na niego rozgniewała. Bóg wie, co nie wygadywał — wiesz, jak to on. Ty, który Anielki nie kochasz, nie możesz ocenić, jaki byłbyś z nią szczęśliwy; źle jednak zrobiłeś, mój Leonie, żeś ją zostawił w tem mniemaniu, że ją kochasz. Nam wszystkim się to zdawało, nietylko jej, a to było źle, bo naprzód Bóg jeden policzył, ile ona się nacierpiała, a powtóre, to było powodem, że zaraz postanowiła przyjąć Kromickiego. Rozumiem doskonale, że ona to zrobiła z desperacyi. Musiały mieć z matką jakąś o nim rozmowę, po której zapadło postanowienie. Kromicki przyjechał nazajutrz po twoim liście. Była odrazu dla niego taka inna, niż zwykle, że w tydzień później się oświadczył i został przyjęty. Pan Śniatyński dopiero przed paru dniami dowiedział się o tem i wło-

sy sobie z głowy wyrywał, a co się ze mną od początku działo, tego ci nawet nie piszę.

«Byłam tak rozżalona na ciebie, jak nigdy w życiu i dopiero twój drugi list złagodził trochę urazę, chociaż przekonał mnie ostatecznie, że z moich zamków na lodzie nic nie będzie. Bo ci się przyznam, że po tym pierwszym liście, póki Kromicki się nie oświadczył, przychodziło mi do głowy: «A nuż Bóg wejrzy na nas łaskawie i odmieni jego serce! Nuż Leon z gniewu tylko tak napisał!« Ale gdy potem znalazłeś już kilka słów serdecznych dla Anielki, a nie odwołałeś nic z tego, co było w pierwszym liście, poznałam, że już niema się co łudzić. Ślub Anielki ma być 25-go Lipca i powiem ci, dlaczego tak prędko. Celina naprawdę bardzo chora, przewiduje swój bliski koniec i nie chce, żeby potem, z powodu żałoby po niej, zaszła długa zwłoka; chce przed śmiercią zobaczyć dziecko pod męską opieką. Kromickiemu pilno, bo on ma interesa na Wschodzie, których nie może zaniedbywać, a Anielka pragnie jaknajprędzej wypić ten kielich. Ach! mój Leonie, czemu to wszystko tak poszło i czemu to dziecko jest tak nieszczęśliwe?

«Nie pozwoliłabym nigdy w świecie, żeby

ona wyszła za Kromickiego, ale jak ja mogę choć słowo powiedzieć, ja, która czuję się i tak winną względem Anielki. Mnie opanowała zanadto chęć ożenienia cię i nie obliczyłam, co za następstwa mogą wyniknąć stąd dla Anielki. Moja wina, ale też cierpię niemało i modlę się codzień za to dziecko.

«Oni wyjeżdżają po ślubie na Wołyń. Celina zamieszka u mnie w Warszawie; gadała o Odesie, ale nie puszczę jej za nic. Ty, mój drogi, wiesz, jakam szczęśliwa, gdy cię widzę, ale nie przyjeżdżaj teraz do Płoszowa, zrób to dla Anielki. Jeśli chcesz, to ja zaraz potem przyjadę do ciebie; Anielkę trzeba teraz oszczędzać».

Po co ja mam się oszukiwać!? Ilekroć odczytuję ten list, chce mi się głową o ścianę tłuc — i to już nie z gniewu, nie z zazdrości, ale z żalu!

23 Czerwca.

Niepodobna mi było założyć rąk i dać już zupełnie za wygraną. To byłoby potworne małżeństwo. Dziś, we czwartek, wysłałem do Śniatyńskiego depeszę, w której zakląłem go na wszystkie świętości, by w niedzielę był w Krakowie. Sam wyjeżdżam tam jutro. Prosiłem go,

żeby o depeszy nikomu nie wspominał. Pomówię z nim, a raczej będę go błagał na wszystko, żeby się rozmówił w mojem imieniu z Anielką. Liczę wiele na jego wpływ. Anielka szanuje go i lubi ogromnie. Nie udałem się do ciotki, bo my, mężczyźni, lepiej się rozumiemy. Śniatyński, jako psycholog, łatwiej uwzględni ten cały przeklęty proces psychiczny, przez który przechodziłem w ostatnich czasach. Jemu mogę powiedzieć i o Laurze; gdybym zaś wspomniał o niej ciotce, przeżegnałaby się krzyżem świętym. Chciałem początkowo napisać do samej Anielki, ale list mój zwróciłby uwagę, wywołał zamieszanie. Znam prawość Anielki, wiem, że pokazałaby zaraz list matce — a ta musi mnie niecierpieć i nie omieszkałaby go na swój sposób wytłómaczyć, w czemby jeszcze dopomógł jej Kromicki. Trzeba, żeby Śniatyński pogadał z Anielką sam na sam, co może mu ułatwić jego żona. Mam nadzieję, że on podejmie się misyi, choć widzę doskonale, jak jest drażliwa. Nie spałem już kilka nocy. Gdy przymknę powieki, przypominam sobie Anielkę, jej twarz, włosy, oczy, sposoby mówienia, uśmiech — widzę ją, jak gdyby stała przedemną... Nie mogę tak żyć!

Kraków, 26 Czerwca.

Śniatyński jest. Podjął się. Poczciwy chłop — niech mu Bóg zapłaci! Godzina jest czwarta w nocy, ale że ciągle spać nie mogę, więc siadam do pisania, bo nie mam co ze sobą robić. Gadaliśmy ze Śniatyńskim do trzeciej, kłóciliśmy się, rozprawiali! Teraz on przewraca się na drugi bok w sąsiednim pokoju. Nie odrazu udało mi się go namówić. Powtarzał mi ciągle: «Mój kochany, jakiem prawem, ja, obcy człowiek, mam wtrącać się w wasze stosunki rodzinne, jeszcze w sprawie tak drażliwej. Panna Aniela może mi zamknąć usta jednem pytaniem: Co panu do tego?» Przysięgałem mu, że Anielka tego nie powie, tak zupełnie, jakbym miał na to jej podpis. Przyznawałem słuszność jego uwagom, ale mówiłem, że są położenia, w których się nawet z takiemi względami nie powinno liczyć. Trafił mu do przekonania ten mój argument, że tu nie chodzi o mnie, tylko o Anielkę, ale wogóle, jeśli się podjął mówić z nią, to dlatego, że mu żal mnie. Zmizerniałem okrutnie przez tę parę dni; sam mi to powiedział i widziałem, że go to wzruszyło. Przytem nie cierpi Kromickiego, bo to są dwa typy zupełnie różne. Śniatyński utrzymuje, że spekulacye pie-

nieżne równają się wygarnianiu pieniędzy z cudzych kieszeni do swojej. On różne rzeczy ma Kromickiemu za złe i powiedział o nim tak: «Gdyby miał jakiś wyższy i uczciwszy cel, robiąc pieniądze, tobym mu wybaczył, ale on je robi dlatego tylko, żeby je mieć!» Małżeństwo Anielki oburza go bez mała, jak i mnie — i jest tego zdania, że Anielka gotuje sobie nieszczęście. Na moje prośby wyjeżdża Śniatyński zaraz jutro, rannym pociągiem.

Pojutrze oboje z żoną będą w Płoszowie i jeśli nie będzie można rozmówić się swobodnie z Anielką, to zabiorą ją na parę godzin do siebie. Ma przedstawić Anielce moją mękę, powiedzieć jej, że całe życie moje jest w jej ręku. On to potrafi. Przemówi do niej z powagą, słodyczą i rozumnie; przekona ją, że kobieta, choćby z najbardziej zranionem sercem, niema prawa oddawać ręki człowiekowi, którego nie kocha; że postępując tak, postępuje nierzetelnie i nieuczciwie; że również niema słuszności odpychać człowieka kochanego i łamać jego życia dlatego, że ten w uniesieniu zazdrości uczynił coś, czego żałuje z całej duszy.

Na zakończenie powiedział mi Śniatyński tak:

— Zrobię to wszystko pod jednym warun-

kiem: oto, jeśli mi dasz słowo honoru, że w razie niepomyślnym, nie wpadniesz do Płoszowa i nie narobisz awantur, które twoja ciotka, pani Celina i panna Aniela mogłyby przypłacić zdrowiem. Możesz do panny Anieli pisać, jeśli chcesz — ale osobiście nie przyjedziesz, chyba, że otrzymasz jej upoważnienie.

Za kogo on mnie ma? Przyrzekłem, choć mnie to zaraz zaniepokoiło. Ale liczę na serce Anielki i na wymowę Śniatyńskiego. Ach! jak on umie mówić! Nie robił mi niby wielkiej nadziei, widzę jednak doskonale, że sam ją ma. W ostatnim razie obiecuje sobie wymódz na Anielce przynajmniej to, żeby termin ślubu odłożyła na pół roku. W takim razie zwycięstwo, bo Kromicki sam się pewnie cofnie. Pamiętam dzień dzisiejszy długo! Śniatyński, gdy widzi prawdziwy ból, jest delikatny, jak kobieta i oszczędzał moją miłość własną. To jednak dużo kosztuje przyznać się do swych szaleństw, win, słabych stron i złożyć swoje losy w cudze ręce, zamiast samemu się z nimi borykać. Ale co mi to wszystko, gdy chodzi o Anielkę?

27 Czerwca.

Śniatyński wyjechał rano. Odprowadzałem go na kolej. Powtarzałem mu tak rozmaite zlecenia, jak gdyby był idyotą. On, drażniąc się ze mną, mówił, że jeśli mu się misya uda, to znowu zacznę filozofować. Miałem ochotę go wytuzać. Odjeżdżał pełen dobrej otuchy; przysiągłbym, że jest pewien, iż wszystko pójdzie jak najlepiej. Po jego odjeździe, poszedłem do kościoła Panny Maryi i ja, sceptyk, ja filozof, ja, który: *nie wiem, nie wiem, nie wiem!* — dałem na mszę na intencyę Leona i Anieli. Nietylko wysłuchałem mszy, ale teraz piszę oto czarno na białem: niech piorun trzaśnie sceptycyzm, filozofię z nim razem i moje *nie wiem* w dodatku!

28 Czerwca.

Godzina pierwsza po południu. O tej porze Śniatyńscy mieli właśnie wyjechać do Płoszowa. Na jedno przynajmniej Anielka powinna się zgodzić, to jest na odłożenie ślubu. Ona nie ma prawa mi tego odmówić... Przez cały dzień rozmaite myśli przychodzą mi do głowy. Kromicki jest chciwy na pieniądze — to nie ulega wątpliwości — czemu on nie szuka bogatszej partyi?

Majątek Anielki jest duży, ale obdłużony — może on być Kromickiemu potrzebny dlatego, by, go nie uważano za przybłędę, którego niema na czem poszukiwać, może mu dopomódz do uzyskania poddaństwa — prawda! — jednak Kromicki, przy swej opinii bogacza, mógłby to wszystko znaleźć — plus posag. Widocznie ona mu się jednak podoba — i podoba się oddawna. Co dziwnego, że Anielka się podoba!

I powiedzieć, że ona czekała, jak szczęścia, jak zbawienia, jednego słowa z moich ust! Przecie ciotka pisze, że «czyhało biedactwo na Chwastowskiego, by mu zabierać listy z rąk». Strach mnie bierze, że mi to wszystko może nie być darowane i że tak nademną, jak nad podobnemi do mnie ludźmi, wisi zatrata.

Godzina 10 wieczorem.

W dzień dostałem szalonej newralgii w głowie; teraz to przeszło, ale z tego bólu, z bezsenności i niepokoju, jestem w takim stanie, jakbym był zahypnotyzowany. Umysł mój, otwarty i podniecony w jednym kierunku, skupiony całą siłą w jednej tylko myśli, widzi tak jasno, co będzie, jak nigdy w życiu nie widział. Zdaje mi się poprostu, że jestem w Płoszowie, że słu-

cham tego, co Anielka odpowiada Śniatyńskiemu — i nie rozumiem, jak mogłem się łudzić. Ona nie zmiłuje się nademną. Nie są to przypuszczenia, ale zupełna pewność... Istotnie, dzieje się ze mną coś szczególnego. Czuję w sobie taką przeraźliwą powagę, jakbym dotąd był dzieckiem — i zarazem smutno mi ogromnie. Przypuszczam, że mogę zachorować. Na Śniatyńskim wymogłem, że będzie zaraz telegrafował. Dotąd depeszy niema, chociaż właściwie nie przyniesie mi ona nic nowego.

29 Czerwca.

Depesza od Śniatyńskiego nadeszła — i, oto com w niej znalazł:

«Wszystko na nic — zbierz siły i ruszaj w świat».

Tak też i zrobię — moja Anielko!

Koniec tomu pierwszego.

Princeton University, Library
32101 063971392

304
.856
189
V.20

3048.856.1891 V. 20-21
Sienkiewicz
Pisma Henryka Sienkiewicza

Annex A size 3

DATE | ISSUED TO

DATE ISSUED | DATE DUE | DATE ISSUED | DATE DUE

ANNEX
Fall 1984